

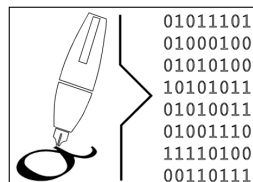
# MICHAEL MOORCOCK

## ZEMSTA RÓŻY

Sagi o Elryku

Tom VI

Przełożył: Radosław Kot



Tytuł oryginału:

*The Revenge of the Rose*

Data wydania polskiego: 1995 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

*Dla Christophera Lee — Arioeh waści oczekuje!*

*Johny i Edgarze Winter — trzymajcie tak dalej!*

*Anthony'emu Skene — z wdzięcznością.*

*Niedługo było dane cieszyć się Elrykowi spokojem Tanelorn. Zmuszony raz jeszcze wyruszyć w drogę, skierował się na wschód, ku krainom znanym jako Dyrektoriaty Veledrian. Doszły go bowiem wieści, że tam właśnie znajduje się kula, we wnętrzu której dojrzyć można wizje tyczące narodów przyszłości. Miał nadzieję dowiedzieć się z niej czegoś o swych własnych losach. W trakcie poszukiwań tak się jednak zdarzyło, iż dzika horda Haghan'iin, uznawszy go za wroga, pojmąła księcia, torturowała go nawet, nim zdołał umknąć jej, by dołączyć do sił szlachetnie urodzonych z Anakhazhan, prowadzących z ową hordą zażartą walkę...*

Kronika Czarnego Miecza

**KSIĘGA PIERWSZA**  
**TYCZĄCA LOSU IMPERIÓW**

*Co? Zwiesz dekadentami  
Nas i takó¿ naszą nację?  
Przyjacielu, ciężko myślisz,  
W innych czasach miałbyś rację.  
Czyżbyś sądził, żeśmy tylko  
Tępo w siebie zapatrzeni?  
Nie wiesz, lecz to się nazywa  
Ironia i doświadczenie.*

Wheldrake,  
*Bizantyjskie Konwersacje*

# Rozdział 1

**O miłości, śmierci, bitwie i wygnaniu;**

**Biały Wilk napotyka echa przeszłości i nie jest mu to tak całkiem niemiłe.**

Zostawiając za sobą nierzeczywisty niemal spokój Tanelorn, mijając Baslk i Nish-valni-Oss, coraz dalej od Valaderii, wciąż na wschód podąża Biały Wilk z Melniboné zawodząc pieśń okrutną i szkaradną, która ukoić ma gorycz rozlewania krwi...

... Już po wszystkim. Elryk siedzi w kulbace zgarbiony, jakby wciąż jeszcze przygniatała go własna, rozbuchana żądza zabijania, jakby wstydził się spojrzeć na swe sprawnie tak i w uniesieniu uczynione krwawe dzieło.

Ledwie godzina minęła od zwycięstwa nad hordą Hag-han'iin, a już nikt nie pozostał żywy z tej potężnej niegdyś hordy (która nie miała zresztą żadnych szans na zwycięstwo, skoro stanęła jej na drodze armia mająca księcia Elryka w szeregach).

Nienawiść już go opuściła, nie żałuje jednak zbyt wielu pokonanych. Byli arogancy i ślepi na moc magii, brakowało im wyobraźni. Zlekceważyli wszystkie ostrzeżenia, dalej szydzili z byłego swego więźnia, uznając go za wynaturzone dziwadło. Stworzenia tak okrutne i głupie nie zasługują na nic więcej niż westchnienie nad losem tych, którzy nie dorośli do tego świata.

Biały Wilk przeciąga się, zsuwa z głowy czarny hełm. Zdyszany zażywa odpoczynku w swym obszernym, malowanym siodle, potem chowa swe mrużące wciąż unisono, czarne ostrze do wyściełanej aksamitem pochwy. Słyszcząc jakiś hałas za plecami, odwraca smutne, karmazynowe oczy ku kobiecie, która pojawia się obok niego prowadząc konia za uzdę. I kobieta, i ogier są stworzeniami dumnymi, oboje wyraźnie przeżywają wciąż zwycięstwo, oboje też są piękni.

Albinos ujmuje jej dłoń, już bez rękawicy, i całuje.

— Zwycięstwo przypadło nam dziś w udziale, księżniczko Guyë.

Mówi, i uśmiecha się przy tym w sposób tak uroczy, aż ciarki chodzą po krzyżu.

— Zaiste, panie Elryku!

Kobieta naciąga z powrotem rękawicę i krócej przytrzymuje niespokojnego wierzchowca.

— Ale niezależnie od mych czarów, niezależnie od męstwa moich żołnierzy, i tak nim noc zapadnie, oboje ulegniemy potędze Chaosu! Nieszczęśni po dwa-kroć, jeśli jeszcze żywi do tej pory!

Odpowiada jej westchnieniem i machnięciem dłoni, ona zaś ciągnie dalej głosem pełnym satysfakcji.

— Ta horda nikogo już nie napadnie, a ich kobiety nie zrodzą już dalszych, kalających świat barbarzyńców.

Odrzuca ciężki czarny płaszcz i przesuwając podłużną tarczę na plecy. Długie włosy lśnią w karmazynowym świetle wieczoru, usta śmieją się, w oczach jednak czai się bezbrzeżny smutek. Gdy dzień się zaczynał, nie liczyła na nic więcej niż na szybką śmierć.

— Jesteśmy teraz twoimi dłużnikami, panie. Wszyscy. W całym Anakhazhan znany będziesz jako bohater.

Elryk uśmiecha się wymuszenie.

— Mieliśmy wspólny cel, pani. Ja chciałem odplacić moim porwaczom pięknym za nadobne.

— To akurat mogłeś uczynić na tysiąc innych sposobów. Pozostajemy wdzięczni.

— Chybną jest sugestia, by choć po części kierował mną altruizm.

Spogląda na purpurową krechę horyzontu.

— Ja widzę to inaczej.

Kobieta przemawia spokojnie i łagodnie, jako że cisza zaległa już nad polem bitwy, tylko wiatr targa jeszcze skrawione strzępy szat, zmatowiałe kępy włosów, kołysze oderwanymi płatami skóry. Wokoło poniewierają się wszelkie rodzaje oręża, czasem bogato zdobionego szlachetnymi metalami i klejnotami. Szczególnie wielkie stosy piętrzą się tam, gdzie przywódcy hordy usiłowali utworzyć sobie drogę ucieczki. Ale nikt z poddanych księżnej Guyë, żaden z kupców czy wolnych Anakhazhanów nie poślakom się na te bogactwa. Zmęczeni wojownicy pragnęli tylko jednego: oddalić się jak najszybciej z pola walki. Dowódcy ani im tego nie nakazują, ani nie próbują powstrzymać.

— Tak czy tak, mam wrażenie, że kierujesz się jednak jakimiś zasadami.

Elryk czym prędzej potrząsa przecząco głową. Jest wyraźnie coraz bardziej niecierpliwy.

— Nie służę nikomu. Nie głoszę żadnych zasad. Sam sobie stanowią prawo. To, co ty pani, możesz brać za lojalność wobec osoby lub zasady, nie jest niczym innym, jak postanowieniem, które sobie uczyniłem. Postanowieniem, by brać na siebie odpowiedzialność jedynie za me własne czyny. By odpowiadać tylko za siebie.



Spogląda na niego ukradkiem, trochę niedowierzająco, po dziewczęcemu. Potem krzywi się jak kobieta już doświadczona.

— Noc będzie pogodna — zauważa, wskazując ciemną, złocistą dłońią ku mroczniejącemu, nocnemu niebu.

— Za kilka godzin nie będzie tu czym oddychać. Smrodliwa wylęgarnia chorób. Lepiej ruszajmy, nim zlecą się wszystkie muchy.

Słyszą łopot skrzydeł i widzą nadciągające właśnie ku szczątkom pierwsze kruki. Ptaszyska skaczą po stopionej w jedno krwawej masie ciał, kończyn i wyprutych wnętrzności, czasem przystając przy wyglądającym ze zwałów, okaleczonym obliczu kogoś wciąż wołającego o litość. Ale miłosierdzia nie dane było znać nikomu, kto stanął twarzą w twarz z patronem Elryka, Ariochem, Księciem Piekieł, który w tej potrzebie przybył swemu ulubieńcowi na odsiecz.

*Zdarzało się już tak, że Elryk zostawiał w Tanelorn swego przyjaciela, Monogluma, a sam ruszał w świat na poszukiwanie krainy dość podobnej do jego dawnej ojczyzny, by móc tam osiąść, ale niczego porównywalnego do Melniboné nie odnalazł. Wszystkie strony świata zamieszkiwali już teraz zwykli śmiertelnicy.*

*Dotarło do niego w końcu, że wszystko, co stracił, stracił bezpowrotnie: kobietę, którą kochał, naród, który zdradził. Wraz z nimi, na ile potrafił orzec, zniknęła również część jego samego oraz wszelkie uzasadnienie i cel jego bytowania na Ziemi.*

*O ironio, dylematy, które legły u podstaw tych strat, były niegdyś zasadniczym elementem odróżniającym Elryka od jego ludu, od okrutnych i ogarniętych żądzą władzy Melnibonéan. Może zresztą byli oni niegdyś łagodniejsi, jednak zmieniło ich pragnienie zapanowania nie tylko nad światem postrzeganym, ale również nad potęgą magii. Gdyby tylko potrafili zrozumieć naturę zjawisk i wytyczyć sobie jasną drogę do celu, mogliby władać teraz całym multiwersum. Ale cóż, nawet Melnibonéanie nie są Bogami. Niektórzy twierdzą, że nie stać było tego ludu nawet na zrodzenie półboga.*

*Ziemska potęga przywiodła owo plemię do zguby, jak to zresztą dzieje się ze wszystkimi imperiami, które nazbyt zagustują w złocie i podbojach, które zżerane są ambicjami nie do zaspokojenia.*

*Gdyby jednak nie zdrada wygnanego Elryka, szalone wprowadzie, ale nadal mogłoby Melniboné istnieć na Smoczej Wyspie.*

*I niezależnie od tego, jak silnie Elryk próbował przekonywać samego siebie, że dumne imperium i tak skazane było na żałosny koniec, zawsze powracała myśl, że to jego wiosnę pragnienie zemsty, tragiczna miłość do uwięzionej przez Yrkoona Cymoril, własne jego żądze, że to wszystko obróciło w gruzy dumne wieże Imrryr, że to właśnie zmasakrowało i włoczyło w niebyt mieszkańców stolicy, która niegdyś rządziła światem.*

*Więc nieustannie ciąży Elrykowi świadomość, że sprowadzenie zagłady na Melniboné nie było zamierzonym aktem sprawiedliwości, a jedynie skutkiem ulegnięcia atakowi ślepego gniewu. . .*

Elryk zęgnął się już ze swą tymczasową sojuszniczką, gdy coś jednak przyciągnęło jego uwagę, jakiś dziwny błysk w jej oku. Tak zatem, gdy zaproponowała mu, by podążał jeszcze czas jakiś u jej boku, skłonił się przyjmując propozycję. I nie trwało długo, a księżna zaprosiła go do swego namiotu na puchar wina.

— Chciałabym porozmawiać jeszcze nieco o filozofii — stwierdziła. — Z dawna brakuje mi tu kogoś, kto byłby mi dorównywał intelektualnie.

Tak i poszedł, by spędzić z nią tę noc i jeszcze wiele następnych. Później miał wspominać te dni jako czas beztroski, czas spędzony pośród zielonych wzgórz porośniętych cyprysami i topolami, których wiele było w majątku Guyë w Zachodniej Prowincji Anakhazhanu. Nadeszły lata z trudem wywalczonego pokoju. . .

Gdy jednak oboje już wypoczęli i mając wreszcie po temu partnera, zaczęli wieść coraz dłuższe dysputy, widowym się stało, że każde z nich inaczej postrzega swe miejsce na ziemi. Tak zatem pożegnał się Elryk z księżną i przyjaciółmi, wziął mocnego wierzchowca z solidnym rzędem i dwa wytrzymałe juczne zwierzaki, by skierować się najpierw do Elwheru, a potem dalej na wschód, ku terenom, których nie ma na żadnej mapie. Może tam jego oko zatrzyma się wreszcie na jakimś znajomym krajobrazie. . .

Tęsknił za wieżami, kamiennym ukojeniem wyciągającym smukłe palce w wiecznej straży nad Imrryr, brakowało mu bystrych umysłów jego pobratymców, tej łatwości rozumienia wszelkiej rzeczy, jak i okrucieństwa, tak oczywistego dlań niegdyś, nim stał się człowiekiem.

Wprawdzie coś buntowało się w nim nieustannie, przypominając mroczne strony imperium rozciągającego niegdyś swą władzę na północ i zachód, tam gdzie teraz kwitły Młode Królestwa, jednak nie potrafił uwolnić się od myśli, że jest spadkobiercą, ostatnim z rodu władającego tymi włościami zanim wyzwoły się one, chociaż obca im była biegłość w magii i niewiele wiedziały o sztuce prowadzenia wojny.

I na nic była świadomość, że przecież nie cierpiał arogancji przejawianej przez rodaków godzących się łatwo na wszelką niesprawiedliwość, jego arogancja przydawała im tylko potęgę.

Niczego nie zmieniał wstyd, nowe odczucie, obce dotąd wszystkim Melnibonéanom. Zew krwi był silniejszy i Elryk bez wytchnienia szukał wciąż domu, szukał chociaż cienia tego wszystkiego, co niegdyś pokochał czy znienawidził. To ostatnie upodabniało go do ludzi, pomiędzy którymi od lat się obracał, jednak wciąż pragnął widoku rzeczy znajomych, nawet jeśli były mu one brzemieniem, jeśli naznaczały go piętnem dziedzictwa. Dziedzictwa, które musiało ostatecznie

przywieść go do zguby. . .

Tęsknota narastała w Elryku wraz z na nowo zaznaną samotnością. Zostawivszy zachodzące z wolna mgłą wspomnienie Guyë za plecami, ruszył ku krainie Elwher, nieznanym mu jeszcze ojczystym stronom przyjaciela.

W polu widzenia Elryka pojawił się łańcuch wzgórz zwanych przez miejscowych Zębami Shenkha, lokalnego bożka czy demona. Szlak karawan wnikał tutaj pomiędzy skupisko szałasów i obrzuconych gliną chat, które nosiło dumną nazwę Toomoo-Kag-Sanapet, Wielkiego Miasta Niewidzialnej Świątyni, Stolicy Grzechu i Nieodgadnionych Bogactw. Książę już miał ruszyć dalej, gdy usłyszał jakiś krzyk za plecami. Obejrzał się. Po stoku wzgórza staczała się bezładnie niewielka postać, a nagle wykwitła na niebie burzowa chmura sypać zaczęła piorunami tak obficie, aż koń Elryka zarżał i cofnął się, spłoszony. Potem okolicę obmyło złotoczerwone światło, które najpierw załśniło jak niespodziewany świt, potem pociemniało w błękit i ciemną czerwień, by ostatecznie zwinąć się w smugę jak wąż i wartkim prądem zniknąć za horyzontem. Świat uspokoił się i tylko nisko zawieszane chmury zdawały się nosić ciągle kilka osobliwych szram.

Uznawszy wydarzenie za dość dziwne, by poświęcić mu kilka chwil, Elryk zawrócił ku niezbyt roślemu, rudemu indywiduum, które wygrzebywało się właśnie z rowu okalającego srebrzystozielone pole zboża. Obcy spoglądał przy tym niespokojnie na niebo i otulał się płaszczem, nie dość że wytartym, to jeszcze mającym liczne kieszenie tak dokładnie wypchane papierzyskami i książeczkami, że odzienie nie miało prawa dopiąć się na brzuchu właściciela. Nogi okrywały poszarzałe i wyświechtane spodnie w szkocką kratę oraz czarne buty. Gdy obcy uniósł kolano, by sprawdzić widniejącą tam w odzieniu dziurę, dały się dojrzeć jeszcze równie jaskrawe jak czupryna skarpetki. Oblicze miał blade i pomarszczone, z chorobliwie wręcz prezentującą się brodą, ponad którą lśniły błękitne, czujne jak u ptaka oczy. Całości obrazu dopełniał przypominający kształtem dziób, okazały nos, nachalnie wręcz kojarzący personę obcego z dziwnie wyrosłą i osobliwie poważną ziębą. Osobnik pozbierał się w końcu i skierował się na spotkanie Elryka.

— Czy myślisz pan, sir, że może padać? Wydawało mi się, że piorun rąbnął gdzieś tu ledwo chwilę temu. Zupełnie zbiło mnie to z pantałyku. — Przerwał i spojrzał za siebie. — Przysięgłbym, że ledwie co trzymałem w ręku puchar ale. — Podrapał rozczochraną głowę. — Tak, właśnie, siedziałem na ławie przed gospodą, przed Zielonym Człowiekiem. No, no, rzadko spotyka się kogoś takiego, jak ty, panie. — Nagle usiadł z rozmachem w bujnej trawie. — Wielki Boże! Znów mnie przerzuciło? — Nagle jakby rozpoznał Elryka. — Mam wrażenie, sir, że gdzieś się już kiedyś spotkaliśmy. A może jedynie słyszałem o waszmości?

— To i tak jesteś lepszy ode mnie, sir — stwierdził Elryk, zsiadając z konia. — Nazywam się Elryk z Melniboné, w tej chwili wędrowiec.

— Ja zaś Wheldrake, sir. Ernest Wheldrake. Podróżowałem nieco ostatnio,

głównie zresztą wbrew mej woli, a trwa to od chwili, gdy opuściłem Albion. Najpierw trafiłem do wiktoriańskiej Anglii, gdzie zacząłem sobie nawet wyrabiać z wolna nazwisko, gdy rzuciło mnie do Anglii elżbietańskiej. Prawdę mówiąc, przyzwyczajam się już chyba do nagłych przemieszczeń. Czymże się zajmujesz, panie Elryku, o ile nie jesteś komediantem?

Elryk zrozumiał tylko połowę z tej perory, ale potrząsnął przecząco głową.

— Ostatnio moim narzędziem pracy był miecz. A pan, sir?

— Ja, proszę waszeci, jestem poetą! — Mistrz Wheldrake rzucił się na poszukiwanie jakiegoś tomiku, ale spenetrowawszy kilka kieszeni, musiał uznać próbę za daremną. Ostatecznie strzelił palcami, jakby chciał powiedzieć, że w tym fachu nie potrzeba zaświadczeń z pieczętą, i założył ręce na piersi. — Poetą byłem dla całego dworu i dla prostego ludu, wiadomo przecie. Wciąż byłbym bawił dwór, gdyby nie pomysł doktora Dee, który uparł się pokazać mi naszą antyczną, grecką przeszłość. Poniewczasie przekonałem się, że to niemożliwe.

— Zatem nie wie pan, jak się tu znalazł?

— Nader mgliście, sir. Ale! Wiem już, skąd znam waści. — Znów strzelił długimi palcami. — Opowiadano mi o waszeci, pamiętam!

Elryk zupełnie stracił serce do dalszego przepytывania.

— Podążam właśnie do tej tam metropolii, sir, i jeśli zechcesz dosiąść jednego z mych jucnych rumaków, z miłą chęcią zabiorę cię ze sobą. Jeśli brakuje waszmości akurat pieniędzy, oferuję zapłacić za pokój i kolację.

— Nader mnie waść cieszysz, mówiąc takie słowa. Dzięki. — Poeta skoczył lekko na luzaka, znajdując sprawnie miejsce pomiędzy pakami i tobołkami, których Elryk zabrał niemało, przewidując długą podróż. — Najbardziej obawiam się deszczu, bo łatwo ostatnio łapie mnie katar i dreszcze. . .

Elryk ruszył dalej krętą drogą ku błotnistym uliczkom i nadgniętym drewnianym murom Toomoo-Kag-Sanapet,

Wielkiego Miasta Niewidzialnej Świątyni, Stolicy Grzechu i Nieodgadnionych Bogactw. Nagle za jego plecami rozległ się wysoki głos przypominający nieco kwilenie ptaka. To Wheldrake zajął się wygłaszaniem jakiegoś utworu, najpewniej własnego autorstwa.

— *Jego serce nabrzmiało zapałem, ostrze mocniej ścisnął w dłoni. Honor zmagił się w nim z zemstą, zemstą okrutną, zimną. Tkwiał w Dawnych Mrokach, żył w Nowej Erze, posiadał moc pradawną, chociaż inaczej patrzył już na świat. Ale nie potrafiło to powstrzymać go od zabijania, zabijania i raz jeszcze zabijania.* To idzie jeszcze dalej, sir! On wierzy, że jest panem tak samego siebie jak i swego miecza. Krzyczy nawet w pewnej chwili: „Patrzcie, moi władcy! Narzuciłem mą wolę śmiertelnika temu ostrzu piekielnemu i nie służy już ono Chaosowi! Prawdziwy cel teraz mu przyświeca, niech Sprawiedliwość rządzi wespół z Harmonią i Sercem tym najwspanialszym ze światów.” To zdanie kończy moją sztukę. Czy waści historia rzeczywiście tak wyglądała? Może choć trochę jest podobna?

— Trochę zapewne tak, sir. Mam nadzieję, że wkrótce te same tajemne siły, które cię tu przyniosły, zabiorą waszeci z powrotem do owego nieznanego, demonicznego wymiaru, z którego przybyłeś.

— Poczul się pan urażony, sir, ale przecież w moim dramacie jesteście waszmość bohaterem! Zapewniam, że oparłem me dzieło na nader wiarygodnych relacjach pewnej damy. Dyskrecja wymaga, bym nie ujawniał jej imienia. Och, sir! Jakież to wspaniałe moment dla mnie, gdy widzieć mogę, jak metafora staje się rzeczywistością, zaś codzienny kierat nagle wprowadza nas w fantastyczny świat mitów. . .

Puszczając mimo uszu wygłaszane przez mikrusa nonsensy, Elryk ruszył zwa-  
wiej ku miastu.

— No proszę, jakie to osobliwe, taki szmat położonego zboża w polu — stwierdził nagle Wheldrake, przerywając recytację. — Widzisz waść? Zupełnie jakby jakaś wielka bestia się tu czochrała. A może to całkiem normalne w tych stronach?

Elryk spojrział podejrzliwie na pole, gdzie faktycznie dostrzegł całkiem spory placek wygniecionego zboża. Nie wyglądało to na wynik ludzkiej działalności. Ponownie pogonił konia.

— Ja też jestem tu obcy. Może to ślad po jakiejś ceremonii obchodzonej przez tubylców. . .

Przerwało mu ostre, ogłuszające niemal prychnięcie, od którego ziemia za-  
drżała. Zupełnie jakby samo pole dawało znać, że dosłyszało intruzów.

— Czy to nie dziwne, sir? — spytał Wheldrake, drapiąc się w brodę. — Bo jeśli o mnie chodzi, to cholernie mi się to stratowane zboże nie podoba.

Elryk machinalnie wyciągnął dłoń w kierunku miecza. W powietrzu rozszedł się dziwny smród, znajomy wprawdzie księciu, ale skąd właściwie. . . ?

Coś trzasnęło, huknęło, aż echo jak od gromu przetoczyło się nad okolicą, westchnienie jak powiew przeczesало zboże. Całe to zamieszanie musiało być świetnie słyszalne w mieście na dole, a Elryk wiedział już, jakim to sposobem Wheldrake zbłądził do całkiem obcego mu świata porwany mimochodem przez zdolne miotać błyskawice stworzenie. Stworzenie zdolne przedzierać się przez wymiary, najwyraźniej stanęło właśnie na drodze Elryka.

Konie zarżały, spłoszone. Niosąca Wheldrake'a klacz stanęła dęba próbując uwolnić się od uprzęży, skutkiem czego poeta raz jeszcze wylądował z impetem na trawie. Tymczasem spośród zboża unosić zaczął się ciemny kształt mogący зда-  
wać się tworem zrodzonym z samej ziemi. Rozrzucając kamienie i grudy gleby, unosząc ze sobą przynajmniej połowę pola, rósł coraz wyższy i strącał z grzbietu śmieci. Smukły pysk, ostre jak brzytwy zębiska i skapująca z pyska ślina, sykli-  
wie wgrzająca się w podłoże tam, gdzie spadła. Olbrzymi, naznaczony zielenią i czerwienią gad o ognistym oddechu i płomienistych nozdrzach, z długim, po-  
krytym łuską ogonem zamiatającym pole i niszczącym właśnie resztki zasiewów, z których brało się bogactwo pobliskiego miasta. Bestia rozprostowała z hukiem

skórzaste skrzydło i zamachała nim, powiększając jeszcze spowijający okolicę odór. Po chwili przysłała pora na drugie skrzydło. Smok rodził się gniewnie z tajemnego łona ziemi, do którego trafił skutkiem wędrówki przez wymiary. Uniósł łeb i przyznać było trzeba, że piękne jest to stworzenie. Zaskrzeczał raz za razem, demonstrując lśniące w wieczornym świetle, smukłe pazury, każdy dłuższy i mocniejszy niż najlepszy miecz.

Wheldrake stanął jakoś na nogi i rzucił się do ucieczki ku miastu. Elryk mógł tylko patrzeć, jak znika, pociągając za sobą oba juczne konie. Albinos został sam, co uwalniało smoka od rozterek, na kim w pierwszym rzędzie wyładować złość. Z posągową zaiste gracją poruszył wielkie cielsko i spojrzał z góry na Elryka, który w chwilę potem leżał już na ziemi obok krwawych szczątków wierzchowca. Albinos odtoczył się błyskawicznie z pomrukującym coś po swojemu Zwiastunem Burzy w dłoni. Ostrze lśniło już mrocznym blaskiem, zasycając światło krawędziami. Smok zawahał się, zajęty jeszcze przełykaniem końskiego łba. Elryk nie miał wyboru. Podniósł się i ruszył pędem ku bestii! Wielkie ślepia próbowały nadążyć za jego ruchami, gdy przemyczał skryty w zbożu, a szczęki rozwarły się, siejąc wokoło kroplistą śmiercią. Elryk jednak wychował się między smokami i dobrze znał ich mocne i słabe strony. Pamiętał, że zbliżywszy się dostatecznie do stworzenia, można odnaleźć na jego ciele parę miejsc na tyle odkrytych, by w najgorszym razie zranić je dotkliwie. To była jego jedyna szansa.

Monstrum wciąż szukało wzrokiem przeciwnika, sapiąc przy tym i drapiąc ziemię pazurami, Elryk tymczasem dotarł już pod szyję bestii i ciął mocno w miejsce, gdzie łuski były zwykle miękkie, przynajmniej u smoków z Melniboné. Bestia wyczuła uderzenie i orząc pazurami zboże, obróciła się. Pogrzebała niemal przy tym albinosa pod zwałami ziemi, tak że ten musiał teraz w pierwszym rzędzie uwolnić się z pułapki.

W tejże chwili smok poruszył łbem w sposób tak specyficzny, tak znajomo zamrugał skórzastymi powiekami, że w pamięci Elryka ożyło coś, co natchnęło go nową nadzieją.

Pojawiły się słowa, których pozornie nigdy nie znał i dopiero po chwili zrozumiał, że przemawia Szlachetną Mową Dawnego Melniboné, że słowo, które właśnie padło, to „sługa przyjazny”. To było pradawne wezwanie smoków, frazy, na które smoki, o ile akurat chciały, zwykły odpowiadać.

Zdania pojawiały się kolejno w jego głowie, potem raz jeszcze powróciło to jedno słowo, tym razem jednak brzmiało jak szept wiatru w wtkach wierzby, jak woda szmerząca po kamieniach, jak imię.

Smok zatrzaskał szczęki i zaczął poszukiwać źródła głosu. Ostre i twarde jak żelazo kolce na grzbiecie i ogonie zwiotczały, a trująca ślina przestała skapywać z pyska.

Nadal zachowując ostrożność, Elryk wstał powoli i strząsnął z siebie ziemię. Ze Zwiastunem Burzy wciąż w dłoni, odstąpił krok od bestii.

— Pani Bliznopyska! Jestem z twoich, jestem twym strażnikiem i przewodnikiem. Bliznopyska, to ja!

Zielonozłoty pysk, na którym faktycznie widać było dawno już zagojoną, długą szramę poniżej żuchwy, zasyczał z wyraźnym zaintrygowaniem.

Elryk schował miecz i wykonał cały szereg skomplikowanych gestów mających oznajmiać przyjazne nastawienie. Nauczył się ich jeszcze od ojca w czasach, gdy kształcono go na następcę władcy wszystkich smoków Imrryru, Smoczego Cesarza władającego światem.

Smok ściągnął brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć, opuścił masywne powieki skrywając do połowy olbrzymie, zimne oczy, oczy bestii starszej niż wszyscy śmiertelnicy, starszej może nawet niż Bogowie...

Nozdrza tak duże, że Elryk bez trudu mógłby przez nie przepęznąć, poruszyły się nieznacznie i zaczęły węszyć, mignął wilgotny, rozdwojony język, który niemal dotknął twarzy księcia, potem obiegił całe jego ciało. Potem głowa uniosła się i ślepią wpatrzyły się w ludzką postać z ciekawością. Wyglądało na to, że potwór uspokoił się, przynajmniej na razie.

Pograżony wciąż w transie Elryk stał, lekko się chwiejąc, przed smokiem, a wszystkie zakłęcia powodzia napływały mu do głowy. Nie trwało długo, a i łeb bestii zaczął kołysać się, naśladując ruchy albinosa.

I w końcu, zupełnie nagle, smok chrząknął jakoś tak pojednawczo i opuścił głowę, układając szyję niemal na ziemi. Oczy śledziły księcia, gdy podchodził coraz bliżej, zawodząc przy tym stosowną pieśń. Pieśń Podejścia, której nauczył się, gdy w wieku lat jedenastu po raz pierwszy poszedł z ojcem do jaskini smoków, gdzie wielkie gady spały zapewne do dzisiaj. Osobliwy metabolizm smoków sprawia, że muszą one jeden dzień aktywności odsypiać przez sto lat, inaczej ich ognista ślina zdolna normalnie zniszczyć całe miasta, nie nabierze odpowiedniej mocy.

Jakim cudem jednak ta smoczyca się obudziła i skąd właściwie się tu wzięła, pozostawało tajemnicą. Bez wątpienia, stało się to za sprawą czarów, ale jaki mógł być powód jej przybycia? Przypadkowy zupełnie, jak Wheldrake'a, czy może inny?

Elryk nie miał jednak teraz czasu zastanawiać się nad tym wszystkim, zbliżał się już bowiem powoli, w sposób zgodny z rytuałem, do miejsca, gdzie skrzydła łączyły się z barkami stworzenia i gdzie Władcy Smoków mocowali niegdyś swe siodła. To tutaj właśnie, będąc młodzieńcem, siadał na oklep całkiem nagi i ufny w swe umiejętności i dobrą wolę smoka.

Chociaż było to wiele lat temu i niejedno zdarzyło się od tamtej pory, zmieniając oblicze świata, cały ten czas zniknął nagle z pamięci Elryka... Smok poddawał się jego woli, mrużąc niemal z zadowolenia i oczekując komend, cierpliwym jak matka wobec bawiących się dzieci.

— Bliznopyska, siostrze, powinowata, smocza krew zmieszana jest we mnie

i moja jest w tobie, wymieszane, bo jeden tworzymy ród; jednym jesteśmy, jeździec smoczy i sam smok, jedną mamy wolę, honor i ambicję. Smocza siostrzo, matrono. . . — Słowa w Szlachetnej Mowie płynęły z jego ust bez wysiłku i bez wahania, bowiem krew wspomniła krew i nic innego nie było już ważne. Naturalnym całkiem było, że Elryk wspina się na grzbiet bestii, nucąc przy tym radosną pieśń komendy, Smoczą Pieśń ułożoną przez przodków zdolnych zaprząć piękno każdej sztuki do wypełniania codziennych zadań. Elryk przypominał sobie to, co najszlachetniejsze i najlepsze było w dorobku jego ludu i w nim samym, opłakując w ten sposób żalobnie istoty zdegenerowane i nieszczęsne, które z dawnej świetności czerpać potrafiły już tyle tylko, by utrzymać cień niegdysiejszej władzy i trwać w postępującym, jak uważał, rozkładzie ich kultury. . .

Smukła szyja smoczycy unosi się, kołyszac jak zahipnotyzowana kobra, a pysk kieruje się ku słońcu. Długi język próbuje powietrza, a ślina skapuje, z sykiem trawiąc grunt. Smoczyca wzdycha głęboko, jakby z ulgą, porusza jedną tylną łapą, potem drugą, kołyszac się przy tym jak miotany burzą statek. Elryk musi przytrzymać się czegoś, by nie spaść, a i tak miota nim po szerokim grzbiecie bestii, aż w końcu Bliznopyska stoi jak trzeba z wciągniętymi pazurami. Ale waha się jeszcze. Przyciska przednie łapy do miękkiej skóry brzucha i raz jeszcze sprawdza powietrze.

W końcu prostuje gwałtownie tylne łapy, a wielkie skrzydła rozpościerają się, łapiąc wiatr. Ogon miota się przez chwilę dla wyważenia cielska, aż wreszcie bestia wznosi się, przebijając chmury ku idealnemu błękitowi kopuły późnopołudniowego nieba. Białe wzgórza chmur są już w dole, pomiędzy nimi otwierają się białe doliny, doliny spokojne jak miejsce wytchnienia dla niewinnych dusz. Elryka nie obchodzi, gdzie skieruje się smoczyca, jak dziecko cieszy się samym lotem, którego nie zaznał od tak dawna. Cieszy się odzyskaną na nowo jednością z bestią, ową wspólnotą zmysłów i emocji właściwą ujeżdżającym smoki przodkom księcia. Skąd wzięła się ta umiejętność nawiązywania symbiotycznej więzi, nie wiedział już nikt, jedynie stare legendy podsuwały mocno wątpliwe odpowiedzi. Podobno powstała naturalnie i niewymuszenie, z czasem jednak obie strony nauczyły się ją wykorzystywać najpierw do obrony przed potencjalnymi wrogami, a następnie do podbojów. Zaś zapragnąwszy bogactw większych, niż mógł ofiarować świat doczesny, przodkowie zwrócili się ku światom nadprzyrodzonym, wiążąc się w ten sposób z Chaosem i samym Księciem Ariochem. To przymierze pozwoliło im zachować raz zdobytą władzę na całe dziesięć tysięcy lat, lat pełnych wyrafinowanego, ale wcale nie mniej przez to skłonnego do rozlewu krwi okrucieństwa.

Przedtem, myśli Elryk, mój lud nie dążył nigdy do wojny, nie pragnął władzy. Rozumie też, że tym co pozwoliło niegdyś jego przodkom nawiązać tak silną więź ze smokami, musiał być szacunek dla wszelkiego życia. Leżąc jak w naturalnym siodle na smoczym grzbiecie, płacze, odnajdując nagle w sobie pierwiastek nie-



winności, coś uznane za rzecz utraconą wraz ze wszystkim innym. Przez chwilę gotów jest uwierzyć, że może i resztę też da się jeszcze odzyskać...

Jest wolny! Wolny w przestworzach! Jest częścią bestii, która unosi się powietrzem i krąży lekko jak pustułka, przemyka przez mroczniejące niebo, roztaczając wkoło słodką woń. Oblicze bestii jest odbiciem twarzy Elryka, gdy smoczyca wspina się, opuszcza i zakręca, zaś księżę bez żadnego wysiłku utrzymuje się na jej grzbiecie. I śpiewa przy tym stare, dzikie pieśni przodków, którzy jak po świecie całym krążący nomadzi osiedlali się tu i ówdzie, spotykając czasem, jak powiadano, starsze jeszcze rasy, znikające już ze sceny historii, ale mieszające przedtem swą krew z królewską linią następców.

Pogonia Bliznopyska coraz wyżej, jeszcze wyżej, tam gdzie powietrze jest tak rozrzedzone, że ledwo daje wsparcie olbrzymim skrzydłom, a Elryk nie może złapać tchu. Potem nurkują, przymierzając się do lądowania na chmurze, aż chmura rozprasza się ukazując mroczny przeręb, gdzie w świetle księżycy majaczy w dole powierzchnia ziemi. Smoczyca nurkuje w dół i miota błyskawicę, która zdaje się zamykać za nimi dopiero co otwarte przejście, obniża się ku osobliwemu chłodowi, który przenika skórę Elryka, dosięga mrozem nagle zeszywniałych stawów i kości. Wciąż jednak albinos nie czuje strachu, skoro smok się nie obawia...

Chmury nad nimi znikają. Granatowe, rozgwieżdżone niebo nadal trwa skąpane w blasku wielkiego, złotego księżycy. Na ziemi ścielą się długie smugi światła i cienia, na horyzoncie błyszczy mroczne morze. Elryk zaczyna nagle poznawać tę okolicę i wówczas też przychodzi strach.

Smoczyca zaniósł go z powrotem do siedliska zaprzepaszczonej nadziei. Oto była jego przeszłość, jego miłość, ambicje i nadzieja.

Zaniósł go z powrotem do Melniboné.

Zaniósł go do domu.

## Rozdział 2

### O konflikcie lojalności i nie wezwanych duchach oraz o zobowiązaniach i przeznaczeniu.

Niedawna radość opuściła Elryka, pozostał tylko ból. Czy przypadek zrządził jedynie, że smoczyca zaniósła go właśnie tutaj? Może ocaleli pobratymcy postanowili dostać go tym sposobem w swoje ręce, by zaspokoić torturami głód zemsty? Lub też same smoki pożądały jego obecności?

Znajome wzgórza ustąpiły rychło miejsca Równinie Imrryr i w dali zarysowało się miasto, a właściwie jedynie strzępiaste zarysy spalonych i zburzonych budowli. Czy mogło to być to właśnie miejsce, gdzie urodził się, miejsce, które zburzył wraz ze swoją bandą łupieżców?

Im bliżej podlatywali, tym bardziej obce wszystko mu się zdawało. W pierwszej chwili sądził, że zmiany są wynikiem ognia i walki, ale ślady zniszczenia nie rozkładały się równo na całym obszarze miasta. Roześmiał się głośno. Tak, najpewniej to potajemnie wypieszczane marzenia o powrocie do domu sprawiły, że wziął te ruiny za Melniboné.

Ale zaraz ucichł. Przecież poznał i wzgórza, i lasy, linię wybrzeża. To przecież tutaj właśnie wzniesiono niegdyś Imrryr. Bliznopyska zniżyła się powoli, by wylądować, aż stanęła nieruchomo na ziemi. Elryk spojrzął na oddalone o pół mili trawiaste stoki i pewien był już, że widzi Piękne Imrryr, największe ze wszystkich miast, które samo siebie zwało wówczas H'hiu'shan, Miasto Na Wyspie. Wówczas, czyli przed pierwszą i jedyną w dziejach Melniboné wojną domową, kiedy to jego władcy pokłócili się, czy związać swój los z Chaosem, czy pozostać wiernym Równowadze. Wojna owa trwała trzy dni, w pierwszą noc pustosząc miasto i pozostawiając całą wyspę otuloną czarnym, tłustym dymem. Ten dym rozwiął się dopiero po miesiącu, odsłaniając morze ruin, niemniej wszyscy, którym przyszło do głowy skorzystać z zamętu i zaatakować Melniboné, rozczarowali się gorzko, bowiem pakt z Chaosem został ostatecznie zawarty i Arioeh wsparł swe sługi, demonstrując przy tej okazji cały swój różnorodny i grozę budzący arsenał środków zniszczenia. W mieście doszło potem do licznych samobójstw spowodowanych poczuciem hańby po odniesieniu takiego zwycięstwa (pierwszego z licznych),

wielu innych umknęło przez bariery wymiarów do obcych światów. W Melniboné pozostali tylko najokrutniejsi i to oni wyciągnęli ostatecznie pazury po władzę nad wszystkimi znanymi krainami.

Tak przynajmniej głosiła legenda zaczerpnięta podobno z Księgi Martwych Bogów.

Elryk zrozumiał, że Bliznopyska przeniosła go do odległej przeszłości. Ale jakim cudem udało się smoczycy przemknąć tak gładko pomiędzy epokami? No i po co?

Łudząc się, że bestia wystartuje znów do lotu, posiedział jeszcze dłuższą chwilę na jej grzbiecie, w końcu jednak zsiadł niechętnie, mrużąc przy tym pieśń „Podzięko-wać-ci-chcę-i-mam-nadzieję-na-owocną-współpracę-na-przyszłość”, co było stosownym zakończeniem podróży, i ruszył w dół, ku ruinom najwcześniejszej chwały jego ludu.

— Och, H’hui’shan, Miasto Na Wyspie, gdybym tylko trafił tu tydzień wcześniej, by ostrzec przed skutkami takiego przymierza. Ale, z drugiej strony, najpewniej nie przysłużyłbym się w ten sposób dobrze mojemu patronowi. — Uśmiechnął się sardonicznie, przyłapując się na pragnieniu naprawiania przeszłości, czynienia jej taką, w której nie musiałby dźwigać swego brzemienia winy.

— Może zresztą cała nasza historia wyszła spod pióra Ariocha! — Jego prywatny pakt z Księciem Piekieł oddawał temu ostatniemu wszystkie dusze i wszystką krew ludzką, którą Czarny Miecz utoczył, a nie pochłoniął samemu. Niektóre legendy twierdziły zresztą, że Zwiastun Burzy i Arioch to jedność. Samo w sobie wiele to Elryka nie obchodziło, znał jednak dokładnie reguły gry i choć wprawdzie nie miał w sobie nigdy dość siły, by skończyć z tą umową, to Ariochowi było wszystko jedno, co podwładny myśli, jak długo książę sprawnie wywiązywał się z dostaw.

Darń poznaczona była ścieżkami, tymi samymi, które poznawał jako chłopiec. Przemierzał je teraz równie pewnie jak wówczas, gdy usadzony wysoko w siodle ojciec rozkazał jednemu ze sług opiekować się pilnie malcem, pozwalając mu jednak chodzić, gdzie zapragnie. Nim dorośnie, argumentował, musi poznać wszystkie ścieżki, ulice, drogi i gościńce Melniboné, one to bowiem są kluczem do historii tego miasta, jego tradycji, mądrości i sekretów.

Całość tych dróg, jak i ich odbić w innych światach, pozostała jasną mapą w pamięci Elryka. Przebycie niektórych wymagało znajomości pewnych pieśni i gestów, które książę również zapamiętał. Był czarownikiem, mistrzem z linii mistrzów i czuł się dumny z tego faktu, chociaż czasem powątpiewał, czy moc ta wykorzystywana jest w słusznej sprawie. Tak, potrafił czytać w zwykłym drzewie jak w otwartej księdze, ale wciąż nie umiał zrozumieć tego, co miotало nim samym i jego sumieniem, nie znał odpowiedzi na pytanie, czemu właściwie błądzi po świecie.

Czarna magia i zaklęcia, upiorne obrazy przez nie zrodzone, opanowywały

czasem jego myśli i sny, grożąc wręcz wtrąceniem Elryka w otchłań szaleństwa. Mroczne wspomnienia. Dzikie okrucieństwo. Wzdrygnął się, podchodząc bliżej do ruin. Wieże z drewna i cegieł zamieniły się w sterty gruzu, wciąż jednak zapraszały, zroszone tajemniczym blaskiem księżyca.

Wspiął się na rumowisko, będące niegdyś murem miasta, i wkroczył na ulicę, która na poziomie parteru było stosunkowo mało zniszczona. Wciągnął powietrze, wyczuwając woń spalenizny i poczuł, że grunt jest ciągle jeszcze rozgrzany. Tu i ówdzie, głównie w pobliżu centrum, płonęło wciąż kilka pożarów, wszystko zaś pokrywała gruba warstwa popiołu, który niesiony wiatrem, lepił się do ciała, wypychał do nozdrzy, osiadał na ubraniu. To był popiół z unicestwionych ciał jego przodków, których mizerne szczątki leżały najpewniej jeszcze gdzieś wewnątrz domostw. Potencjalne upiory. Elryk szedł jednak dalej, zafascynowany tym nagłym spotkaniem z minionym, i to w zwrotnym momencie dziejów jego rasy. Mijał sale pełne wciąż śladów zamieszkania, spotykał trzymane przez mieszczan zwierzaki domowe, odnajdywał sprzęty, narzędzia. Widział fontanny, w których nie tak dawno szemrała woda, świątynie i gospody, gdzie spotykano się, by pogadać o codzienności, i sale narad, gdzie podejmowano istotne dla wszystkich decyzje. Patrzył, jak toczyło się życie do chwili, gdy cesarze sięgnęli po całość władzy i całość egzystencji Imrryr zależeć zaczęła od rzeszy niewolników imperium, niewolników trzymanyh w oddaleniu dość dużym, by nie zeszpecili miasta swoją obecnością. Przystanął przed warsztatem i straganem szewca. Żał mu było tych, którzy zginęli, chociaż stało się to przecież ponad dziesięć tysięcy lat temu.

Widok ruin poruszył w nim nową strunę. Tęsknotę za Melniboné z odległej przeszłości, Melniboné, które nie znało jeszcze strachu. Tęsknotę za czasami sprzed paktu.

Wieżyczki i poczerniałe, popękane belki, stopy skruszonego kamienia i cegieł, poidła dla zwierząt i wiele porzuconych sprzętów domowych, w tym kołyska czy kołowrotek, natchnęły go melancholią i odsłoniły przed jego oczami zupełnie nieznanne dotąd aspekty życia dawnego, dumnego ludu Melniboné. Aspekty, których istnienia nie podejrzewał, dziwnie bliskie mu jednak i zrozumiałe.

Ze łzami w oczach błądził ulicami, za wszelką cenę pragnąc znaleźć choć jedną ocaloną z pogromu duszę, pamiętał jednak, że miasto stało po owej nocy przez sto lat puste.

— Och, jakbym tak mógł odrodzić H’hui’shan podobnie łatwo, jak zniszczyłem Imrryr! — Stanął pośrodku placu pełnego rozłupanych posągów i roztrzaskanych kawałków ozdobnej murarki i spojrzał na napuchnięty księżyc, który zawisł akurat niemal dokładnie nad jego głową. Księżę ściągnął hełm i poruszeniem głowy ułożył swe długie, mlecznobiałe włosy. Wyciągnął dłonie ku miastu, jakby błagać chciał przebaczenia, usiadł jednak w końcu na pokrytej niegdyś reliefem przez jakiegoś genialnego rzeźbiarza płycie; teraz widać na niej było zaskorupiałe, pyliste ślady spieczonej z gorąca krwi. Zasłonił oczy rękawem koszuli, jęknął,

a ramiona jego zatrzęsły się... Jakież to los rzucił go tutaj i teraz...

Nagle usłyszał za plecami jakiś głos, stłumiony, jakby przez eony lat dobiegał z zapomnianych, głębokich katakumb, tak jednak akustycznych jak Smocze Wodospady, gdzie zginął niegdyś jeden z przodków Elryka (podobno przegrawszy zażartą walkę z samym sobą). Głos dostojny i przywykły do wydawania rozkazów. Elryk poznał go, chociaż przez tyle lat jedynym jego pragnieniem było nie usłyszeć już nigdy więcej tej osoby.

Raz jeszcze naszła go myśl, czy nie popada z wolna szaleństwo. Głos bez wątpienia należał do jego zmarłego ojca, Sadryka LXXXVI, który rzadko za życia interesował się synem.

— Ach, Elryku, widzę cię łkającym. Synem swej matki jesteś, przez co czcziej pamięć, chociaż tyżeś ją zabił, jedyną kobietę, którą kochałem kiedykolwiek, przez co nienawiścią cię darzę ponad ludzkie pojęcie.

— Ojczy? — Elryk opuścił ramię i obrócił białą twarz tam, gdzie oparta o zniszczoną kolumnę stała smukła i zwiewna postać Sadryka. Na jego ustach malował się niezmienny, grozę budzący uśmiech.

Elryk przyjrzał się duchowi ojca z niedowierzaniem i ujrzał jego oblicze dokładnie takim samym, jak wówczas, w czasie pogrzebu.

— Jako że nienawiść moja jest niesprawiedliwa, nie ma dla mnie ukojenia innego, jak śmierć czy spokój wieczny, a tych, jako widzisz, zaznać mi nie dane.

— Myślałem, śniłem o tobie, ojczy, i o tym, jakim byłem dla ciebie rozczarowaniem. Chciałbym być dla ciebie synem takim, jakiego pragnąłeś...

— Żadnej po temu nie miałeś szansy, ani przez chwilę, Elryku. Akt twego stworzenia był zarazem podpisaniem wyroku na nią. Wszystko nas przed tym ostrzegało, każdy znak i omen, ale nic nie można było uczynić, by zmienić złowrogie przeznaczenie... — Oczy zjawy rozjarzyły się takim blaskiem, jaki właściwy jest jedynie tym martwym, którym odmówiono dobrodziejstw śmierci.

— Jak udało ci się tu przybyć, ojczy? Myślałem, że Chaos przygarnął cię i służysz Ariochowi.

— Arioch nie ma nade mną władzy, bowiem inny jeszcze pakt uczyniłem z hrabią Mashabakiem. Arioch nie jest mym patronem. — Duch roześmiał się chrapliwie.

— Twą duszą włada hrabia Chaosu Mashabak?

— Arioch jednak nie zrezygnował z pretensji do niej. Za sprawą ich rywalizacji ma dusza jest zakładnikiem. Czy była raczej, bowiem mając wciąż moc czarnoksięską, przenieśliem się tutaj, do samych początków naszej znanej historii. Tymczasem jestem tu bezpieczny.

— Ukrywasz się, ojczy, przed Władcami Chaosu?

— Wykorzystałem chwilę, gdy pogrążeni byli w sporze, i przybyłem tutaj, bowiem tu właśnie skryte tkwi moje ostatnie, wielkie zaklęcie, które uwolni mnie wreszcie i pozwoli połączyć się z twoją matką czekającą na mnie w Puszczy Dusz.

— Znasz drogę do Puszczy Dusz? Myślałem, że to tylko mit. — Elryk otarł zimny pot z czoła.

— Wysłałem ją tam, by czekała, aż dołączę. Pokazałem jej, jak tam dotrzeć, dałem jej nasz Zwój Mowy Martwych, by była bezpieczna w kojącym schronieniu wieczności, schronieniu, którego wiele dusz poszukuje, ale niewiele tam trafia. Przysiągłem, że wszystko uczynię, aby znów się z nią spotkać.

Cień przybliżył się nieco i sięgnął, by dotknąć twarzy Elryka. Uczynił to nawet z czymś na kształt czułości, ale gdy mglista dłoń opadła, w oczach starca malowało się tylko cierpienie.

Elryk stwierdził, że gotów jest współczuć ojcu.

— Jesteś tu zupełnie sam, ojcze?

— Z tobą jedynie, mój synu. Razem, jako zjawy, nawiedzamy te ruiny.

— To i ja jestem tu więźniem?

— Owszem, za moją sprawą, synu. Teraz, gdy dotknąłem ciebie, związani jesteśmy niezależnie od tego, czy opuścisz to miejsce, czy nie. Takim jest bowiem przeznaczeniem istot mego pokroju, że wiążą się zawsze z pierwszym śmiertelnikiem, którego tkną dłońią. Jesteśmy jednym, Elryku. Lub będziemy.

Elryk wzdrygnął się, słysząc głowie ojca nienawiść i ulgę zarazem.

— Czy nie mogę uwolnić cię jakoś, ojcze? Byłem w R'lin K'ren A'a, gdzie w tym wymiarze narodziła się nasza rasa. Szukałem śladów przeszłości. Wiem. . .

— Nasza przeszłość zawarta jest w naszej krwi i trwa z nami. Ci degeneraci z R'lin K'ren A'a nigdy nie byli naprawdę nami. Ostatecznie ich krew zmieszała się z ludzką i zniknęli. To nie oni ustanowili Melniboné, nie oni zbudowali jego potęgę. . .

— Na ten temat jest wiele opowieści, ojcze. Tyle sprzecznych ze sobą legend. . . — Elryk zapragnął nagle długiej rozmowy z ojcem. Niewiele miał po temu okazji za życia Sadryka.

— Martwi potrafią odróżnić prawdę od fałszu. Tyle przynajmniej zyskują. A ja znam prawdę. Nie wywodzimy się z R'lin K'ren A'a. To jałowe spekulacje. Znamy swe pochodzenie. Głupcem byłbyś, mój synu, na nowo badając naszą historię, kwestionując ją. Uczyłem cię tego.

Elryk wolał zachować milczenie.

— To moja magia wywabiła smoczycę z jaskini. Tylko ją jedną miałem siłę wezwać. Ale przyszła i wysłałem ją po ciebie. Tyle tylko czarów mi zostało. Te najważniejsze naszej rasy czary, pierwotna władza nad smokami. Niczego więcej powiedzieć jej jednak nie mogłem, po prostu kazałem jej szukać ciebie wiedząc, że albo cię rozpozna, albo zabije. Tak czy inaczej, bylibyśmy razem. — Cień pozwolił sobie na przebiegły uśmiech.

— Tylko o to ci chodziło, ojcze?

— To wcale nie tak mało. Tęsknię za twą matką. Naszym przeznaczeniem jest połączyć się na zawsze. Musisz mi w tym pomóc, Elryku, i to szybko, bo moje

siły i czary słabną i nie potrwa długo, nim Arioch czy Mashabak mnie pojماją. Albo i nawet strąca mnie w niebyt w swojej walce!

— Nie masz im już jak uciec? — Elryk poczuł, jak jego lewa noga drży, ale opanował się i uspokoił mięśnie. Zbyt wiele czasu minęło od chwili, gdy ostatni raz korzystał z dobrodziejstw ziół, które pozwalały mu normalnie funkcjonować.

— Pewien sposób istnieje. Jeśli pozostanę związany z tobą, synu, związany z przedmiotem mej nienawiści nieprawej, wówczas moja dusza może skryć się w tobie, oba ciała śmiertelne zajmując, twoje i moje, skryta w krwi twojej, która jest i moją krwią. Tam nigdy nie wyczują mej obecności!

Elrykowi zrobiło się nagle zimno, jakby śmierć wyciągała już po niego kości-ste palce. W głowie mu się zakręciło. Ponad wszystko pragnął uspokoić tę gonitwę myśli. Może gdy słońce wzejdzie, duch ojca zniknie. . .

— Tutaj słońce nigdy nie wzejdzie, Elryku. Nigdy zaś znaczy czas do chwili naszego uwolnienia lub kresu. Oto czemu tu jestem.

— Ale czy Arioch nie będzie miał nic przeciwko temu? Ostatecznie jest wciąż moim patronem! — Elryk spojrział w oczy ojca szukając tam nowego błysku szaleństwa, ale niczego nie dojrzał.

— Gdzie indziej jest zajęty wielce, nie przybędzie do ciebie ani z pomocą, ani z chęcią ukarania. Spór z Mashabakiem pochłania go bez reszty. Oto czemu możesz mi pomóc i uczynić to, czego ja dokonać nie mogłem za życia. Zrobisz to dla mnie, synu? Dla ojca, który nienawidził cię zawsze, ale dopełnił swych ojcowskich powinności?

— A jeśli tak, to czy uwolnię się potem od ciebie, ojcze? Duch ojca przytaknął tylko ruchem głowy.

Elryk położył drżące palce na rękojeści miecza i odrzucił głowę do tyłu, aż białe włosy spowity go niczym halo. Zmęczone spojrzenie wbił w twarz martwego króla.

Westchnął. Pomimo upiornych okoliczności, było dlań rzeczą naturalną wypełniać prośby ojca, także i tę, która samemu Elrykowi przynieść mogła ukojenie. Owszem, wolałby mieć wolny wybór, ale pozostawianie komuś aż takiej swobody nie leżało w naturze Melnibonéan. Nawet najbliższych starano się zwykle związać ze sobą czymś jeszcze poza więzami krwi.

— Wyjaśnij mi, na czym ma polegać moje zadanie, ojcze.

— Musisz odnaleźć moją duszę, Elryku.

— Twoją duszę. . . ?

— Nie ma jej tutaj. — Cień zdawał się ledwo utrzymywać w pozycji pionowej. — To, co porusza mną obecnie, to tylko stara magia. Dusza ma została ukryta, bym mógł połączyć się z twą matką, zdarzyło się jednak, że w trakcie zwodzenia Ariocha i Mashabaka straciłem to, w czym ją zamknęto. To właśnie masz odszukać, Elryku.

— A jak to poznam?

— To szkatułka. Nie jakaś zwykła szkatułka, ale taka zrobiona z czarnego drewna różanego. Rzeźbiona jest cała w róże i taki też zapach nieustannie rozta-  
cza. Należała do twojej matki.

— Jak mogłeś utracić coś tak cennego, ojcze?

— Gdy Mashabak pojawił się, by pojąć mą duszę, zaraz po nim przy-  
był Arioch. Oddałem im wówczas duszę fałszywą, stworzoną słowami z *Zaklęć  
Pośmiertnych*, nauczyłem cię tego. Zaczęli kłócić się o tę niby-duszę, prawdziwa  
umknęła zatem skryta w szkatułce, którą mój dawny strażnik, Diavon Siar, uniósł  
potajemnie zgodnie z moimi instrukcjami.

— Potem jednak zdradził cię, ojcze.

— Owszem. Uciekł przekonany, że posiadał skarb, że zapanował nade mną ma-  
jąc owo puzdro. Ruszył do Pan Tang, pewien, że oto pojmał mego ducha. Pewnie  
zbyt dobrze zapamiętał jakąś bajkę z dzieciństwa. Był bardzo niezadowolony, że  
żaden dzin nie wyleciał z pudełka i nie zgiął się w ukłonie. Potem wpadł na po-  
mysł, by sprzedać szkatułkę Teokracie. Wziął się nawet do realizacji planu, ale  
do Pan Tang nie dotarł. Pojmali go morscy rabusie z Purpurowych Miast, którzy  
potraktowali puzdro jako część zwykłego łupu i tak ślad po mej duszy zaginął. —  
Duch Sadryka uśmiechnął się lekko, jakby wspominając o istnieniu ironii.

— A piraci?

— Wiem o nich tyle tylko, ile Diavon Siar mi powiedział w chwili, gdy zgod-  
nie z obietnicą wywierałem na nim mą zemstę. Najpewniej wrócili do Menii,  
gdzie wystawili łupy na sprzedaż. Moje puzdro opuściło ze szczętem nasz świat.  
— Sadryk poruszył się i nagle przypominać zaczął nie cień, lecz mgiełkę snu-  
jącą się w blasku księżyca. — Ale wyczuwam je wciąż. Wiem, że przemieściło  
się między barierę wymiarów i tylko smoczyca może teraz za nim podążyć. I to  
jest najgorsze, bowiem bez ciebie jestem bezradny, przywiązany do tego miejsca,  
a teraz i do ciebie. Musisz je odzyskać, Elryku, tak bym mógł połączyć się znów  
z twą matką i uwolnić od nienawiści. A wówczas i ty uwolnisz się ode mnie.

— Ojcze, obawiam się, że będzie to próżny trud — odparł Elryk, opanowaw-  
szy się nieco. — Nic na to nie poradzę, ale gotów jestem podejrzewać, iż z samej  
nienawiści wymyśliłeś dla mnie takie zadanie.

— Nienawiść to jedno, synu, ale muszę być znowu z twą matką! Muszę, po  
prostu muszę.

Wiedząc dobrze o obsesji ojca, Elryk poczuł się przekonany o szczerości du-  
cha.

— Nie zawieźdź mnie, mój synu.

— Ale czy to się uda? Co będzie z nami, ojcze?

— Przynieś mi mą duszę, a obaj będziemy wolni.

— A jeśli nie dam rady?

— Wówczas moja dusza opuści swe więzienie i wniknie w ciebie. Będzie-  
my związani aż do twej śmierci. Ja, przez nienawistność, bliski wciąż na dodatek



obiektowi tych uczuć, ty zaś przygnieciony ciężarem tego wszystkiego, czego najbardziej nie cierpiełeś w dumnym Melniboné. — Urwał zamyślony. — To ostatnie będzie mi wówczas jedynym pocieszeniem.

— Osobiście widziałbym to trochę inaczej.

Sadryk przytaknął w milczeniu, jakby nagle i on ujrzał sprawę w innym świetle.

— Zaiste!

— Czy w żaden sposób już nie jesteś w stanie wesprzeć mnie, ojcze? Może jakieś zaklęcie, jakiś czar?

— Tylko to, czego za życia cię nauczyłem. Przynieś puzdro, a obaj będziemy mogli pójść swoimi drogami. Zawieź, a połączysz nasze losy już na zawsze. Nigdy nie uwolnisz się ode mnie, od przeszłości i Melniboné! Ale wówczas może dałoby się przywrócić temu i owemu dawny blask, co?

Coraz bardziej odczuwający brak leków Elryk zaczynał dostawać drgawek. Coraz trudniej było mu przeciwstawić się wyczerpaniu, szczególnie że nie było tu żadnej duszy, którą mógłby Czarnemu Mieczowi rzucić na pożarcie.

— Słabnę, ojcze, muszę już wracać. Moje zioła i leki zostały w jukach konia.

Sadryk wzruszył ramionami.

— Jeśli o to chodzi, rychło odkryjesz źródło dusz, w sam raz dla twego ostrza. Czekaj cię wiele zabijania. I chyba jeszcze coś, chociaż tego wyraźnie nie widzę...

— Zmarszczył brwi. — Ruszaj już...

Elryk zawahał się. W pierwszym odruchu chciał powiedzieć ojcu, że nie znajduje ostatnio żadnej przyjemności w zabijaniu, ale podobnie jak wszyscy Melnibonéanie, Sadryk nie przejmował się losem prostego ludu zamieszkującego cesarstwo. Miecz był dlań jedynie użytecznym narzędziem, jak laska dla okulałego. Poruszając się w świecie nadprzyrodzonym i pakując nos w sprawy Bogów, przyjmował milcząco, jako oczywistość, iż służąc takiemu czy innemu demonowi, należy zachowywać się całkowicie zgodnie z oczekiwaniami patrona.

Wizja Tanelorn, miejsca poza Ładem czy Chaosem, była dla Sadryka czymś absolutnie obcym. Samą istotę kompromisu wyniósł do rangi religii i filozofii zarazem, nie różniąc się w tym wcale od wszystkich innych przedstawicieli prawnego, królewskiego rodu. Elryk pragnął powiedzieć, że świat nie kończy się na wszechwładnym kompromisie, że są jeszcze inne idee, inne sposoby życia. Że można całkiem dobrze i godziwie bytować bez magii, porzuciwszy umiłowanie gwałtu, okrucieństwa i podbojów. I że dowiedział się tego nie tylko poznając mieszkańców Młodych Królestw, ale również historię własnego ludu.

Pojmował jednak, że taki wykład byłby bezcelowy. Nawet teraz Sadryk próbował wskrzesić przeszłość. Nie znał innego sposobu życia. Ani innej śmierci.

— Poszukam twego puzdra, ojcze. Ale gdzie mam zacząć?

— Smoczyca wie. Zawiezie cię do wymiaru, do którego szkatułka, jak wiem, trafiła. Co jednak będzie dalej, przewidzieć nie potrafię. Dalej nie widzę, moja

siła słabnie. Może będziesz musiał zabijać, by je odzyskać. Po wielokroć zabijać. — Głos był coraz słabszy, niczym poszum suchych liści na wietrze. — Może być nawet i jeszcze gorzej.

Elryk zachwiał się. Z chwili na chwilę i z nim było coraz gorzej.

— Ojczy, brak mi sił.

— Smoczy jad... — dobiegło go jeszcze, i duch ojca zniknął nie zostawiając po sobie nic, prócz upiornego wrażenia.

Elryk zmusił się do ruchu. Każdy kawał gruzu jawił mu się teraz jako trudna do przebycia przeszkoda. Powoli odnajdywał drogę pośród ruin i strumieni, aż w końcu, ostatnim niemal wysiłkiem, dotarł na wzgórze, gdzie oczekiwała go smoczyca. Skrzydła miała złożone, sprawdzała językiem wiatr.

Wspomniał ostatnie słowa ojca, co skojarzyło mu się ze starą receptą na lek destylowany ze smoczego jadu. Miał dodawać sił słabym, a kondycji silnym, pozwalając na pięć dni i nocy walki bez przerwy, uwalniał od bólu. Tak zatem, Elryk zdjął hełm i złapał weń kilkanaście kropli jadu. Ciecz posykiwała w zetknięciu ze stalą, szybko jednak stygła i twardniała. W takiej postaci, jak wiedział, da się łatwo pokruszyć. Kilka skrawków rozpuszczonych w dużej ilości płynu mogło być tym, czego potrzebował.

Póki co jednak, musi zwalczyć własną słabość i dać się unieść smoczycy ku tej nieprzyjaznej czerni rozciągającej się poza księżycem. W ciszy nocy rozlegają się powolne, mocne uderzenia skrzydeł, po których następuje uderzenie gromu. Smoczyca unosi łeb, mobilizuje siły do lotu i wydaje głuchy ryk, wyzywając wszelkie wrogie moce...

... Elryk tymczasem zawodzi dawne, dzikie pieśni Smoczycy Władcy i po-graża się, coraz bardziej stopiony umysłem w jedno z bestią, w oślepiający blask letniego popołudnia.

## Rozdział 3

**Osobliwa geografia nieznanego wymiaru; spotkanie z podróżnikami. O znaczeniu wolności.**

Jakby zdając sobie sprawę z coraz marniejszej kondycji jeźdźca, smoczyca płynęła przez przestwór spokojnie, miarowo poruszając skrzydłami, aż w dole zarysowały się drzewa rosnące tak gęsto, o tak zwartym listowiu, jakby nie las tworzyły a jednolitą powłokę zieleni. W końcu puszcza ustąpiła trawiastym pagórkom i polom, pomiędzy którymi toczyła wody szeroka rzeka. Krajobraz był pogodny i też jakby znajomy, ale tym razem nie budził w Elryku najmniejszego niepokoju.

Nie trwało długo, a na obu brzegach rzeki majaczyć zaczęło spowite dymami z kominów miasto wzniesione z cegły, kamienia i drewna. Dachy kryte słomą, łupkami i deskami, a wkoło tysiące zmieszanych woni i odgłosów, mnogość rynków, pomników i posągów... Smok zatoczył koło nad miastem, w dole zaś przerażeni ludzie rozbiegli się jak mrówki szukające instynktownie schronienia. Ostatecznie jednak Bliznopyska uderzyła mocniej skrzydłami uznając, że zbadane właśnie miejsce nie jest tym właściwym.

Więcej jeszcze razy podczas tego letniego dnia smoczyca przymierzała się do lądowania, zmieniając w końcu zamiar i porzucając spenetrowane z powietrza bagnisko, wioskę, jezioro czy porębę.

Elryk zaś czuł się z każdą chwilą słabszy. Przywiązał się nawet długą szarfą do jednego z rogowych wyrostków na grzbiecie bestii. Dawno już nie czuł jednak tak silnej motywacji, by pozostać przy życiu; ewentualne zjednoczenie się na całą wieczność z ojcem byłoby najgorszą z możliwych udręk piekielnych... Korzystając z okazji, że smoczyca przelatywała przez chmury, zdołał w końcu zebrać w hełmie nieco wody, do której wkruszył najdrobniejszy kawałek zestalonego smoczego jadu. Wypił potem tę cuchnącą miksturę uznając, że na nic innego nie może już liczyć. Niemal natychmiast poczuł płynny ogień wlewający się w arterie, mięśnie, przesycający skórę i pełen bólu zastanowił się nawet, czy nie udało mu się popełnić właśnie szczególnie skomplikowanego samobójstwa wiodącego go wprost do Sadryka. Napięty do granic możliwości, czując z osobna cierpienie

każdego nerwu, zapragnął przez moment wybawienia śmierci.

Potem prócz bólu pojawiło się coś jeszcze, a było to poczucie siły tak wielkiej, iż niedługo był już w stanie zignorować cierpienie, a nawet je wyciszyć. Teraz w pełni odbierał płynący weń strumień czystej energii, o wiele przy tym szlachetniejszej niż ta, której dostarczał mu czasem runiczny miecz.

Smoczyca szybowiała przez ciemniejące wieczorem niebo, Elryk zaś wracał do siebie, a nawet więcej, wypełniała go bowiem szczególna euforia, skłaniająca do wyśpiewywania na cały głos zarówno dawnych smoczyczych pieśni jak i soczystych przyśpiewek z Melniboné. Ostatecznie jego pobratymcy, chociaż okrutni, wiedzieli dobrze, jak rozładować napięcie i przynieść sobie ulgę w zabawie i pod tym względem albinos wcale nie był inny pomimo upośledzającej choroby krwi.

Krew ta zresztą zdawała się teraz silnie odmieniona, tak doskonala w swej funkcji, że aż groźna dla nagle nadaktywnego Elryka i jego otoczenia. Skoro tak, najlepiej byłoby pozostać samotnym. . .

Teraz nie było już istotne, ile drogi smoczyca jeszcze ma przed sobą. Jej jad okazał się idealnym lekiem a symbiotyczna więź z gadem niemal doskonala. Wielkie skrzydła biły ciężko powietrze, złociste słońce letniego popołudnia zalewało patoką stojące jeszcze gdzieś na polach, nie zżęte spłachetki miedzianokłosej pszenicy. Nagle w dole ukazała się zdumiona postać w spiczastej, alabastrowej czapce, która krzyknęła zachwycona widokiem i w powietrze wzbiła się chmara szpaków, by zamajaczyć przez chwilę na tle delikatnego błękitu nieba czarnym, znajomym jakby hieroglifem i zniknąć z tyłu za mknącą smoczyca pozostawiając po sobie jedynie ciszę. Bliznopyska zaś skierowała się ku czemuś, co z dala przypominać mogło drogę wyłożoną bazaltem lub innym kamieniem, z bliska jednak okazało się zablźnioną już dawno, szeroką na milę szramą przecinającą uprawne pola. Osobliwy obszar był dziwnie gładki, pusty i nie kojarzył się już z drogą, czym jednak był naprawdę? Wciskał się pomiędzy uprawy jakby wczoraj rzucony na oblicze Ziemi, ledwie wąskim pasem chwastów oddzielony od zboża. Smoczyca obniżyła lot i Elryk poczuł dławiący smród, smród który potwierdził to, co ujrzały jego oczy. Przegniłe kości, odchody, kawałki połamanych mebli, popękane skorupy, pomiędzy którymi biegła gładka, prosta droga ciągnąca się od jednego do drugiego horyzontu. Pole śmieci, wysypisko. . . Elryk zaśpiewał smoczycy, by wzięła go jak najdalej od tego miejsca, by wzleciała wyżej, gdzie powietrze nadaje się do oddychania, ale ona, ignorując żądania, skierowała się najpierw na północ, potem na południe, aż w końcu usiadła gładko pośrodku lśniącego na podobieństwo opalonej skóry wysypiska.

Złożyła skrzydła i ugięła łapy dając jasno do zrozumienia, że ani jej się śni dźwigać Elryka na grzbiecie choć o milę dalej. Nieco niechętnie, książkę zszedł na dół owijając się na nowo naddartą nieco szarfą, jakby materia była skutecznym amuletem. Odśpiewał jeszcze stosowną pieśń podziękii, a gdy dochodził do ostatnich wersów, smoczyca podniosła swój piękny, gadzi łeb i przyłączyła się do

wtóru. Zahuczało, jakby sam Czas nagle przemówił.

Ostatecznie smoczyca zatrzasnęła paszczę, spojrzała raz jeszcze łaskawie, jakby z uczuciem, spod na wpół przymkniętych powiek na Elryka, spróbowała językiem wieczorne powietrze, zamachała skrzydłami z taką mocą, aż grunt się zakolebał i najpewniej popękał, po czym wzbiła się w górę, zmierzając skrętami cielska ku wschodowi. Jej upiorny cień przemykał się po polach, aż gwałtowny błysk na horyzoncie oznajmił księciu, że jego wierzchowiec wrócił do swego wymiaru. Albinos pomachał jeszcze hełmem na do widzenia, wdzięczny zwierzowi zarówno za jad jak i za cierpliwość.

Teraz pozostało wydostać się z tych cuchnących wądołów. Wprawdzie w tym miejscu powierzchnia blizny gładka była i lśniący jak marmur, ale bez wątpienia tworzyła ją zaschnięta i stwardniała niemal w kamień ziemia. Zwykłe klepisko. Może wszędzie tu pod spodem są śmieci? Elrykowi czemuś się ta wizja bardzo nie spodobała i ruszył żywo ku południowej miedzy. Ocierając pot z czoła, nie ustawał w dociekaniach, czemu niby miało służyć owo miejsce. Po kilku krokach otoczyła go chmura bzykliwych muszek. Smród dusił w gardle i prowokował do kaszlu, ale nie było innej drogi ku świeższemu powietrzu.

— Bezpiecznej drogi do domu, kochana Pani Bliznopyska — mruknął pod nosem. — Wygląda na to, że zawdzięczam ci i życie i zgubę, ale nie żywię do ciebie urazy.

Przewiązawszy szarfę wokół nosa i ust, zaczął wspinać się na sterty śmieci, każdym krokiem roztrzając kości i płosząc robactwo. Szło mu powoli, tymczasem wkoło krążyły wzburzone ścierwojady, sykały i powarkiwały nań rozszoszczone skrzydlate szczury. Któż mógł być twórcą tego klepiska, bo na pewno nie człowiek? Skoro maczać musiały tu palce siły obce ludziom, uznał, tym bardziej należy jak najrychlej znaleźć się w pszenicy.

Dobrnął do skraju pola i obchodząc co większą zgniliznę i nieco agresywnie powarkujące gryzonie, zaczął szukać dogodnego wejścia na górę, cały czas zgadując, jakaż to kultura mogła wytworzyć owe śmieci, by zrzucić je obok nadnaturalnie uformowanej linii? Przez chwilę zdało mu się, że widzi jakiś ciemny kształt poruszający się tuż obok pola pszenicy, ale uznał to za imaginację wyobraźni. Chociaż, jeśli ludzie w tym wymiarze czczą Boga pod postacią wędrującego po kraju węża i składają mu śmieci w ofierze?

Coś jeszcze się poruszyło. Elryk obsunął się właśnie kilka stóp po zboczu i postanowił odpocząć nieco w starym zbiorniku na wodę, gdy ujrzał kapelusz wyłaniający się zza sterty łachmanów, pod kapeluszem zaś wpatrzoną ze zdumieniem w albinosa ptasią twarz.

— Wielkie nieba, sir. To nie może być przypadek! Ale po cóż niby los miałby krzyżować wciąż nasze drogi, nie wiesz waść? — To był Wheldrake, który właśnie stoczył się w dół, ku śmieciom. — A nie wiesz waść, co jest po drugiej stronie? Ta sama monotonia zbożowych pól? No tak, wygląda na to, że ten świat

w całości pokryty jest pszenicą!

— Pszenicą, śmieciami i wymykającą się rozumowi drogą niewiadomego Przeznaczenia, która biegnie sobie przez to wariatkowo ze wschodu na zachód. Całość nader mi się nie podoba.

— A, to waść idziesz w przeciwną stronę?

— Idę gdziekolwiek, byle tylko nie spotkać tego czegoś, z Chaosu rodem, co stworzyło ten tu bałagan. Skłonny jestem podejrzewać, szanowny panie, że moje konie nie Przywędrowały tu za tobą?

— W każdym razie nic o tym nie wiem. Do tej chwili pewien byłem, że waści pożarło. Ale teraz widzę, że bestia cię oszczędziła. Musiała widać mieć słabość do bohaterów. Czasem im się to zdarza.

— Coś jakby — uśmiechnął się Elryk, poniekąd wdzięczny rudemu poecie za dawkę ironii. Wolał już to niż niedawną konwersację z ojcem. Przepchnąwszy się najpierw przez coś, co się rozsypało, i jeszcze coś, co się rozpadło na kawałki siejąc wkoło żywymi robakami, dobrnął do przybysza i objął go serdecznie. — Tak w ogóle, to cieszę się ze spotkania!

Ramię w ramię ruszyli przez zboże w kierunku widzianej przez Elryka ze smoczego grzbietu rzeki. Najpewniej nie dalej, niż dzień drogi, powinno nad tą rzeką rozciągać się miasto. Elryk wspomniał o tym Wheldrake'owi, dodając, iż może tam zdołają dostać jakiś prowiant. Na razie pozostawało im przeżuwanie wyłuskiwanych z kłosów ziaren pszenicy.

— Jakże żałuję, iż minęły już te dni, gdym był kłusownikiem w Northumberland, sir, przyznać jednak muszę, że choć chłopcem wówczas, niezłe wprawilem się we władaniu J fuzją i zakładaniu sideł. Biorąc pod uwagę, że szarfa waści jest i tak już zszargana, może nie uczyni to różnicy, jeśli jeszcze bardziej ją spostponuję, bo niewykluczone, iż mogłem coś z dawnych talentów do dziś zapamiętać.

Wzruszywszy ramionami, Elryk oddał poecie część swego odzienia i przyjrzał się, jak drobne palce tak długo ją układały i wiązały, aż ukazał się kawałek cienkiego sznurka. — Biorąc pod uwagę, że wieczór się zbliża, mądrze będzie chyba działać bez zwłoki.

Byli już dość daleko od śmieciowiska i w nozdrzach; królował bogaty, miły bukiet zapachów letniej łąki. Elryk spoczął sobie pomiędzy zbożem, Wheldrake zaś wziął się do dzieła, udeptując uprawę i kopiąc dziury, skutkiem czego dokopał się w końcu młodego królika. Kontemplując obracające się na rożnie (także pomysłu poety) pieczone, zastanawiali się potem głośno nad tym osobliwym światem, gdzie pola rozciągają się jakby w nieskończoność i nie ma żadnych farm czy wiosek. Elryk przyznał się w końcu, że absolutnie nie czuje się równie otrzaskany z podróżami poprzez wymiary, jak Wheldrake.

— Ależ ja tak nie z własnego wyboru, sir, naprawdę. Wszystko przez takiego jednego, przez doktora Dee, którego chciałem poradzić się w pewnych sprawach dotyczących Greków, konkretnie chodziło o metrum, chciałem bowiem usły-

szeć mówiącego Platona. Cóż zresztą, długa to historia i niezbyt porywająca dla tych, którzy, chcąc nie chcąc, podróżują przez multiwersum, alem spędził nieco chwil w jednym z wymiarów, poruszając się wówczas jedynie w czasie. Wówczas, w Putney, sądziłem, że nadeszła wreszcie chwila wytchnienia...

— Chciałbyś tam wrócić, panie Wheldrake?

— Jasne, że tak. Trochę przechodzi mi ostatnimi czasy ochota na takie ekstrordynaryjne przygody, marzy mi się nieco bardziej osiadły tryb życia. Poza tym brakuje mi starych przyjaciół.

— Rozumiem i mam nadzieję, że odnajdziesz ich jeszcze.

— A i ja waści dobrze życzę, niechby sukcesem skończyły się te poszukiwania, które prowadzisz, czegokolwiek dotyczą. Chociaż podejrzewać jestem skłonny, iż obiekt twej mordęgi charakter ma zgoła duchowy, metafizyczny i nadprzyrodzony.

— Najpewniej — odparł spokojnie Elryk, biedząc się nad obieraniem udka z mięsa. — Podejrzewam na dodatek, iż doza spirytyzmu zawarta w moich poszukiwaniach zdziwiłaby cię niepomernie...

Wheldrake miał już zamiar wziąć albinosa na spytki, ale rozmyślił się. Nie wtykając nosa w cudze sprawy, zajął się swoją porcją, Elrykowi zaś ulżyło wyraźnie na duszy za sprawą towarzystwa tego niewielkiego a bystrego człeczyny.

Po posiłku Wheldrake znalazł jakimś cudem właściwy tomik i zapaliwszy podróżny lichtarzyk, zaczął czytać ostatniemu księciu Melniboné o jakimś półbogiu jego rodzinnego świata, który to półbóg, odczuwając nieokreślony zew, przymierzał się uporczywie do funkcji monarszej, gdy obaj dosłyszeli nagle stąpanie końskich kopyt. Rumak przedzierał się przez zboże, a czynił to ostrożnie, jakby pod doświadczonej jeźdźcem.

— Witaj, przybyszu — krzyknął Elryk. — Czy przyłączysz się do nas przy skromnej przekąsce?

Zapadła chwila ciszy, po której rozległa się odpowiedź stłumiona nieco odległością, ale dworna:

— Chętnie usiądę z wami przy ogniu, panowie, bo chłód solidnie mi już dokuczył.

Wierzchowiec ruszył ku nim tym samym, ostrożnym krokiem, przystając od czasu do czasu, aż w końcu w blasku ogniska ukazał się cień przybysza. Jeździec zsiadł i niespiesznie podszedł bliżej ukazując swą niepokojąco symetryczną sylwetkę. Był to rostry mężczyzna, od stóp do głów zakuty w pancerz, którego blachy lśniły srebrzyście, złoto i szarobłękitnie. Na hełmie nosił ciemnożółty pióropusz, a napierśnik oznaczony miał żółtoczarnym znakiem Chaosu, ośmioma strzałami rozchodzący się promieniście ze wspólnego środka, strzałami mającymi symbolizować różnorodność i wielopostaciowość Chaosu. Stojący za nim rumak odziany był w kaptur i derkę z lśniącego czernią i srebrem jedwabiu, na grzbiecie nosił wysokie siodło z rzeźbionej kości słoniowej i hebanu, a rząd był srebrny, nabijany

złotem.

Elryk wstał, ponieważ na wszelki wypadek, przede wszystkim jednak zdumiony wyglądem przybysza, którego hełm pozbawiony był ruchomej przyłbicy i stanowił jednolitą całość, gładź stali maciły jedynie wąskie szparki wizjerów. Książę odniósł przy tym dziwne wrażenie, jakby zaraz pod warstwą lśniącej stali kłębiła się, niczym pod skórą, żywa materia, materia niestała, groźna swą siłą. Ze szczelin patrzyła para oczu pełnych gniewnego bólu, które to odczucia wydały się naraz Elrykowi dziwnie znajome. Nie mając pojęcia, czemu właściwie, bez wstępów skłonny był uznać osobnika za bratnią duszę. Tymczasem zbrojny podszedł do ognia i wyciągnął ręce do płomieni. Szkarłatne palce liznęły metal i znów wróciło wrażenie, iż w żelaznych rękawicach uwięzione jest coś, jakaś siła tak potężna, iż manifestować potrafi się nawet przez pancerz. Niemniej rękawica poruszyła się jak zwykłe palce, w których ktoś pragnie odzyskać czucie po długim zaciskaniu ich na wodzach. Obcy westchnął z ulgą.

— Może królika, sir? — Wheldrake skinął ku reszcie pieczystego.

— Dziękuję, nie.

— A może uwolnisz się waść od ciężaru tego hełmu i spocziesz przy nas? Nic tu waści nie grozi.

— Wierzę twym słowom, sir. Ale nie potrafię, obecnie przynajmniej, zdjąć tego hełmu. Szczerze mówiąc, od pewnego czasu nie odżywiam się też w ogólnie przyjęty sposób.

Wheldrake uniósł rude brwi.

— Czyżby Chaos werbował ostatnio sługi spośród kanibali, sir?

— Och, wielu ma i takich w swych szeregach — odparł zbrojny, wystawiając się do ognia odwrotną stroną medalu. — Ale ja do nich nie należę. Nie jadam ani mięs, ani owoców ni żadnej zieleniny, i trwa to już od jakichś dwóch tysięcy lat. A może i dłużej. Już dawno przestałem odmierzać czas. Zresztą, są takie wymiary, w których trwa wieczna noc, i takie, gdzie dzień się nigdy nie kończy. A nawet takie, gdzie dzień i noc zamieniają się miejscami w tempie, które umyka naszemu postrzeganiu.

— A zatem związany jesteś jakąś przysięgą, sir? — spytał ostrożnie Wheldrake. — Służysz jakiejś świętej sprawie? Wypełniasz misję?

— Służyć służyć, to owszem, i jestem w drodze, ale bardziej to wszystko jest prozaiczne, niż mógłbyś waść przypuszczać.

— A czego waść poszukujesz? Może skradzionej narzeczonej?

— Spostrzegawczy jesteś, sir.

— Tylko odczytany. Ale na tym sprawa się nie kończy, co?

— Nie szukam niczego innego, jak samej śmierci, sir. Niestety me na tym polega, że gdy tysiące lat temu zdradziłem Równowagę, nie spotkała mnie kara ostateczna, miast tego walczyć muszę ze wszystkimi, którzy jej obecnie służą. Sam zresztą też nigdy nie porzuciłem żarliwego umiłowania cnót Równowagi, co



tylko cięższym czyni me brzemień. Przepowiedziano, chociaż trudno mi dać wiarę temu, kto wygłosił te słowa, że śmierci mogą wypatrywać jedynie z ręki takiego sługi Równowagi, jakim ja sam niegdyś byłem.

— A kimże właściwie byłeś — dociekał Wheldrake, który wyraźnie lepiej znał zagadnienia heroizmu niż albinos.

— Byłem Księciem Równowagi, sługą i zaufanym tej niezwyklej inteligencji, która uczy tolerancji, miłości i poszanowania wszelkiego życia i której Ład i Chaos po równo nie cierpią. Gdyby tylko mogły, chętnie by się od niej uwolniły. Nie mając obeznania dostatecznego z wielorakością i skalą przemian multiwersum, przeczując jednak zbliżającą się wielką koniunkcję, która dotknąć miała i Kluczowe Wymiary, zmieniając ich realia na niezliczone eony lat, być może w ogóle usuwając z nich Równowagę, porwałem się na eksperymentowanie w tej materii. Ale zadanie mnie przerosło, zaś duma, ciekawość i zarozumiałość nie pozwoliły mi dojrzeć tego na czas. Dalej trwałem w zaślepieniu przekonany, iż dobrze służę sprawie Równowagi. Nie wiedziałem jeszcze, że niezależnie od wyniku, wygrany czy pokonany, będę musiał za mój postępek zapłacić. I czynię to teraz.

— Sporo jest luk w twojej opowieści, sir — stwierdził Wheldrake, i tak już wyraźnie zafascynowany postacią herosa. — Gdybyś tak zechciał dorzucić jeszcze nieco szczegółów, znalazłbyś we mnie wdzięcznego słuchacza.

— Nie mogę, sir. Mówię tyle, ile wolno mi powiedzieć. Resztę muszę na razie zachowywać dla siebie. Na razie, czyli do chwili mojego uwolnienia.

— Czyli do śmierci, sir? Czy nie uważasz waść, że takie postawienie sprawy może nieco utrudnić ci ujawnienie pełnej wersji opowieści?

— To już pozostaje w gestii Równowagi — mruknął ponurym głosem przybysz.

— Czy szukasz śmierci jako takiej, sir, czy może szczególnej postaci takowej? — spytał cicho Elryk nie kryjąc współczucia.

— Poszukuję trzech sióstr. Najpewniej przejeżdżały tędy kilka dni temu. Nie widzieliście ich przypadkiem? Podróżują razem.

— Żałuję, sir, ale dopiero co rzuciło nas do tego wymiaru, chociaż wcale nie wyrażaliśmy takiego pragnienia. Nie mamy nawet żadnej mapy tych okolic. — Elryk wzruszył ramionami. — Miałem nadzieję, że może waść oświecisz nas w tej materii.

— Jesteśmy w tym, co tutejsi magowie nazywają Dziewięćmilionowym Pierścieniem. Zgodnie z obecnymi ustaleniami stanowi on część Centralnych Wymiarów, chociaż trudno powiedzieć na razie, który z nich jest tym centralnym. Niemniej i tak nie jest to prawdziwe centrum, a raczej quasi-centrum, jak bym to określił, bowiem w wymiarze tym rządzi Równowaga. . . Wybaczcie mi, panowie, ten żargon filozofa, ale przez kilka pokoleń byłem alchemistą w Pradze i coś mi z tego czasu zostało. . .

— Ach, Praga! — krzyknął Wheldrake z zachwytem, wspominając najwyraź-

niej miasto. — Te dzwony, te wieże! A znasz może waść Mirenburg? Jest jeszcze piękniejszy!

— Wspomnienia potrafią zaiste być miłe — odparł pancerny — o ile nazbyt ich nie przywoływać. Rozumiem, że i waszmościowie mają tu jakieś zadanie do wypełnienia?

— Ja nie, sir — mruknął Wheldrake. — Chyba żebym ruszył na poszukiwanie tej pół pinty piwa, którą zostawiłem raptownie i wbrew mej woli w gospodzie w Putney.

— A ja owszem, szukam czegoś — zgodził się ostrożnie Elryk. Miast metafizycznych rozważań, wolałby usłyszeć nieco o fizycznym ukształtowaniu tej krainy. — Jestem Elryk z Melniboné.

Jego imię zdawało się nic nie mówić obcemu.

— Ja jestem Gaynor, niegdyś Książę Wszelkich Światów, obecnie zwany Przeklętym. Może być, że spotkaliśmy się już kiedyś. Pod innymi imionami, inne nosząc oblicza, w innych wcieleniach. . .

— Wspominanie innych żywotów zostało mi szczęśliwie oszczędzone, sir — odparł spokojnie Elryk, poruszony domysłami Gaynora. — Zresztą, obawiam się, że nie do końca rozumiem twoje słowa. Jestem zaledwie zaciężnym żołnierzem, aktualnie w podróży z nadzieją na znalezienie nowego patrona. Sprawy nadprzyrodzone są mi niemal zupełnie obce.

Wdzięczny był w tej chwili Whedrake'owi, głównie za to, że poeta siedział za plecami Gaynora i zdumione uniesienie brwi umknęło uwadze obcego. Sam Elryk jednak nie widział, czemu właściwie zdecydował się na takie oszustwo, przecież wszystko przemawiało za Gaynorem, bratnim sługą Chaosu. Ale jednak w głębi duszy albinosa cził się niesprecyzowany lęk. Owszem, obcy nie miał żadnego powodu, by szkodzić Elrykowi, nie gustował też najpewniej w zabijaniu czy próżnych utarczkach, coś jednak kazało Elrykowi pohamować język. Zupełnie, jakby i on został przez Równowagę zobowiązany do zachowania milczenia w kwestii własnych losów. . . Ostatecznie wszyscy trzej ułożyli się do snu, trzy drobne postaci w nieskończoności pól.

Wczesnym rankiem Gaynor obudził się i od razu wdrapał na siodło.

— Miło mi było was poznać, panowie. Jeśli podążycie dalej w stronę, z której przybyłem, napotkacie uroczą osadę kupiecką, której mieszkańcy życzliwie witają obcych. Mnie potraktowali z niezwykłym zaiste szacunkiem. Ja zaś ruszam dalej swoją drogą. Poinformowano mnie, że trzy siostry zmierzają ku miejscu określonemu jako Państwo Cygańskie. Słyszeliście o tym może kiedykolwiek?

— Przykro mi, sir — odparł Wheldrake, wycierając dłonie w groteskowych rozmiarów, bawełnianą chustkę. — Nasza wiedza o tym świecie prezentuje się dokładnie dziewiczo. Nieoświeceni jesteśmy w tej kwestii i niewinni jako noworodki. Niedawno tu przybyliśmy, pojęcia nie mając, kto tu zamieszkuje ani jakich czci bogów. Zresztą, niewiele brakowało, bym i ciebie, panie, uznał za tutejszego

bożka, a przynajmniej herosa. . .

Gaynor roześmiał się w odpowiedzi, od czego echo poszło takie, jakby wnętrze jego hełmu było o wiele obszerniejsze, niż na to wyglądał, jakby przejściem było do jakiejś otchłani.

— Powiedziałem ci już, mistrzu Wheldrake, że byłem niegdyś księciem Równowagi, ale już nim nie jestem. Obecnie, zapewniam cię, nie ma nic boskiego w postaci Gaynora Przekłętego.

Mrucząc wciąż pod nosem, że za diabła nie da się zrozumieć, co ten przydomek ma właściwie oznaczać, Wheldrake dał spokój dochodzeniu.

— Jeśli możemy być waści jakoś pomocni. . .

— Kim są te kobiety, których szukasz? — spytał Elryk.

— Trzy siostry, podobne i wyglądem, i prędkim usposobieniem. Domyślam się, że poszukują zaginionego rodaka, a może nawet i brata, bowiem wszędzie rozpytują o Państwo Cygańskie. Gdy ludzie słyszą, o co chodzi, odmawiają dalszej rozmowy, chociaż w podróży im nie przeszkadzają. Osobiście uważam, że lepiej się od obiektu ich poszukiwań trzymać z daleka, przynajmniej dopóki one same nań nie trafią. Coś mi podpowiada, że kto raz zetknie się z tą bandą nomadów, małe ma szansę wyjść ze spotkania bez szwanku.

— Wdzięczny ci jestem za radę, książę — stwierdził Elryk. — A nie wiesz przypadkiem, czemu wszędzie rośnie tu tak wiele pszenicy? I kto ją uprawia?

— Nazywa się ich szalonymi dzierżawcami. Też zadałem im to pytanie, a wówczas, przy wtórze ponurego śmiechu, usłyszałem, że to po to, aby wykarmić szarańczę. Zetknąłem się już z dziwniejszymi praktykami. Poza tym mam wrażenie, że tutejsi rolnicy mają czemuś na pieńku z Cyganami. Nie chcą za bardzo o tym mówić, ale temat wyraźnie napełnia ich niepokojem. Ten świat zwą Salish-Kwoonn, co jest nazwą, jak pamiętacie zapewne, miasta opisywanego w Księdze z Kości Słoniowej. Dziwna w tym tkwi ironia.

Po czym skierował konia i oddalił się, pogrążony w rozmyślaniach, ku odległej bruździe śmieciowiska, której obecność zdradzały krążące nad nią chmary wron i kani, jak i ciemna chmura wiecznie niespokojnych much.

— Uczony — mruknął Wheldrake. — Tyle że trochę tajemniczy. Waść rozumiesz go lepiej niż ja. Szkoda, że nie dotrzyma nam towarzystwa po drodze. Co o nim sadsisz, książę Elryku?

Elryk długo szukał właściwych słów, w zamyśleniu gładząc palcami kłamię pasa.

— Boję się go. Boję się go, jak jeszcze nie obawiałem się żadnej istoty ludzkiej, śmiertelnej czy nieśmiertelnej. Okrutna kara go spotkała, szczególnie skoro poznał niegdyś sanktuarium Równowagi, a potem je utracił. I za nim teraz tęskni. . .

— No nie, sir, przesadzasz waść, jak dwa razy dwa. . . Owszem, to cudak, bez dwóch zdań, ale raczej przyjazny, biorąc zaś pod uwagę wszystkie okoliczności. . .

Elryk wzdrygnął się rad, że księżę Gaynor już ich opuścił.

— Niemniej boję się go bardziej niż czegokolwiek do tej pory.

— Tak jak lękasz się siebie samego, co? — Wheldrake zaraz pożałował swych słów. — Przepraszam, sir. Chyba przesadziłem ze śmiałością języka. . .

— Nie dorównuję waści inteligencją, mistrzu Wheldrake. Poza tym jako poeta widzisz o wiele więcej, niżbym pragnął ci ukazać.

— Rzadki to talent, zapewniam waści. Niczego nie rozumiem, niczego nie mówiłem. To moje przekleństwo, sir! Nie tak dotkliwe, jak to innym się zdarza, na pewno nie tak straszne, ale na równi wpędza mnie czasem w kłopoty.

Wypowiedziawszy to, mistrz Wheldrake upewnił się, czy ognisko zostało należycie wygaszone, splunął w popiół i zagrzebał ślad. Potem schował sidła do tej samej kieszeni, w której trzymał pozbawiony jakimś zrządzeniem losu okładek tomik o kartach z marmurkowanego papieru. Ostatecznie przerzucił surdut przez ramię i śladem Elryka ruszył przez zboże.

— Czy słyszałeś już może ode mnie mą opowieść epicką o miłości i śmierci sir Tancreda i lady Mary? Ma ona postać ballady typowej dla Northumberland, pierwszego skrawka poezji, który dane było mi poznać. Dobra me rodzinne daleko są stamtąd, ale nigdy nie bywałem tam samotny.

Głosem niepewnym i jakby nieco sztucznym, ruszył w pojedynek z kadencjami prymitywnej zaiste pieśni pogrzebowej, mocno przy tym wyciągając nogi, by nadażyć za wysokim albinosem.

Gdy cztery godziny później doszli do szerokiej, wolno toczącej wody rzeki, Wheldrake brnął już z wolna ku finałowi swej ballady, zaś samo jej zakończenie sprawiło mu tyle samo ulgi, co Elrykowi. Na wysokim brzegu rzeki widać było w dali poszukiwane przez nich miasteczko.

Sama osada zdawała się dziełem rzeźbiarzy wydobywających z zapalem kształty z miękkiego, białego wapienia klifów. Wiodła doń wąska droga, miejscami sztucznie prowadzona od poziomu wody aż na samą górę, gdzie przechodziła płynnie w główną ulicę miasta, by znów zacząć się wic pomiędzy wysokimi dworami, magazynami, pełnymi rzeźb przybytkami sztuki, gospodami i kwietnymi ogrodami, aż ginęła w labiryncie przejść i alejek u stóp starego zamku obrośniętego winoroślą i kwitnącym bluszczem. Zamek dominował tak nad miastem jak i nad trzynastołukowym mostem spinającym brzegi rzeki w najwęższym miejscu i wiodącym do pomniejszej osady złożonej z willi wzniesionych przez co bogatszych mieszczan.

Miasto wyraźnie przeżywało ostatnio okres prosperity. Brak murów obronnych natchnął Elryka optymizmem, bowiem znaczył, iż od bardzo już dawna nie pojawił się tu żaden agresor. Kilku mieszkańców, ubranych w jasne, wyszywane zdobnie szaty, mocno inne od noszonych przez obu podróżników, pozdrowiło ich radośnie i bezpośrednio. Tubylcy zachowywali się jak ludzie przywykli do atmosfery bezpieczeństwa i wizyt gości z dalekich stron.

— Jeśli ci tutaj dobrze przyjęli Gaynora, to nie sądzę, aby nas mogli się przełknąć, książę Elryku. Ta miejscina roztacza atmosferę zalatującą mi nieco francuszczyzną, zupełnie jak niektóre osady nad brzegami Loary, chociaż brakuje mi tu charakterystycznej sylwetki katedry. Jak waść sądzisz, jakąż mogą tu wyznawać religię?

— Może żadnej. Słyszałem i o takich społecznościach — odparł Elryk, lecz Wheldrake nie dał temu wiary.

— Ale przecież nawet Francuzi mają religię!

Idąc dalej minęli pierwsze domy usadzone na skalnym występie i oczom ich ukazał się najpiękniejszy ogród, jaki dane było kiedykolwiek Elrykowi oglądać. Wokół roztaczała się woń kwieciana zmieszana z zapachami świeżej farby i kuchennymi. Obaj podróżni poczuli się odprężeni, obaj z uśmiechem odpowiadając na pozdrowienia przechodniów. Ostatecznie Elryk zatrzymał się na chwilę, by spytać młodą kobietę w biało-czerwonym fartuchu o nazwę miasta.

— No, to jest Agnesh-Val, sir. A po drugiej stronie rzeki jest Agnesh-Nal. Jak się tu dostaliście, szlachetni panowie? Czy łódź wam się rozbiła na kataraktach Forli? Winniście udać się do Domu Pechowych Podróżnych przy ulicy Pięciu Groszy, tuż obok Alei Słonych Ciastek. Tam przynajmniej was nakarmią. Czy macie medal Gildii Ubezpieczycieli?

— Niestety, pani, nie.

— To przykre. W takim razie zdani będziecie jedynie na naszą gościnność.

— Która i tak wydaje się najwyższej próby, pani — odparł Wheldrake, mrużąc do niej niedwuznacznie okiem i udając się za przyjacielem.

Ostatecznie, błądząc nieco po krętych, brukowanych uliczkach, doszli do Domu Pechowych Podróżnych, obskurnej budowli, wyraźnie już wiekowej i tak powykrzywianej we wszystkie strony, jak upojony nazbyt mocnym alkoholem starzec. Elryk gotów był przysiąc, że tylko wsparcie sąsiednich budynków nie pozwala runąć wybrzuszonym ścianom i belkom wypaczonym do tego stopnia, jakby cała posesja znajdowała się pod cichym patronatem Chaosu.

Przed drzwiami przybytku tkwiła postać mogąca bez przeszkód uchodzić za zabytek równie wiekowy jak i rudera, nader pasująca też do niej prezencją. Niewiarygodnie stary pan był przygarbiony i jakby nieco przydepnięty, powykęcany do tego cieleśnie, i garderobianie, na dodatek, nie wiedzieć czemu, jego fajka wskazywała jeszcze inny kierunek niż kończyny i kapelusz. Osobnik był do tego chudy niby szczapa i naznaczony mogącą każdego optymistę wpędzić w depresję melancholią. Zdumiony Elryk zamierzał już nawet przeprosić za kłopot i odejść, pewien, że trafili pod zły adres.

— Stoicie, panie, przed siedzibą Łaski Stróża Naszego. Po jałmużną przyszłiście, co? Po jałmużną i dobre rady?

— Skierowano nas tu, gościnę oferując! — nie wytrzymał Wheldrake, porażony traktowaniem. — A nie jałmużnę, sir! — W gniewie, z obliczem niemal równie

barwnym jak czupryna, przypominał skórą do bitki pardwę.

— Jak wy to tam zwiecie, to zwiecie, nie obchodzą mnie słowne gierki, panowie. — Osobnik jakby urósł, poskładał się gdzieniegdzie w wysmuklejszą całość, potem znów oklapł, w końcu stanął prosto. — Ja nazywam to jałmużną! — W zapadłych oczach zabłyśły jakieś iskierki, a zepsute ze szczętem zęby wyrzały na chwilę zza sflaczałych warg. — Nie obchodzi mnie, jakie plagi was dotknęły, coście stracili, jacy byliście bogaci nim zbiednieliście. Skoro zaszliście aż tutaj, musieliście liczyć się z takim ryzykiem. Inaczej nikt nie porywa się na przekroczenie Bruzdy. Tak zatem sami jesteście winni swojemu nieszczęściu.

— Powiedziano nam, że możemy dostać tu coś do jedzenia — odparł obojętnie Elryk. — Nie wspomniano nic na temat nieuprzejmych strachów na wróble.

— Hipokrytami są i kłamią, ot co. Dom zamknięty jest z powodu na remont i malowanie i przebudowę na restaurację. Przy odrobinie szczęścia zaczniesz niedługo przynosić dochody.

— Cóż, panie, w moim świecie tak wąskie pojmowanie odpowiedzialności odeszło już w mrok zapomnienia — stwierdził Wheldrake. — Niemniej, jeśli tak się rzeczy mają, to przepraszamy za kłopot. Jak sam stwierdziłeś, musiano nas źle poinformować.

Nieprzywykły do takiego traktowania Elryk, w którego żyłach płynęła przecież krew szlacheć urodzonego Melnibonéanina, po chwili dopiero zorientował się, że sięga po miecz.

— Uważaj, starcze, twoja bezczelność przebiera miarę... — W tym jednak miejscu Wheldrake powstrzymał jego ramię i albinos się opanował.

— Ten staruch kłamie! Kłamie i jeszcze raz kłamie! — rozległo się za nimi. Pochyłą uliczką nadchodził żwawo z góry korpulentny jegomość około lat pięćdziesięciu z wielkim kluczem w dłoni. Spod aksamitnej czapki wymykały mu się kosmyki siwych włosów, brodę miał zmierzwioną a strój nieporządny, jakby dopiero co wyrwano go z pościeli i słodki moment przebudzenia miał dopiero nadejść. — Kłamie, dobrzy panowie. Kłamie. (Precz stąd, Reth' chat, siej sobie zamęt w jakiejś innej instytucji!) Ten człowiek jest reliktem czasów, o których większość z nas czytała jedynie. Gotów jest osądzać ludzi ze względu na ich bogactwo lub chwałę doczesną, a nie na podstawie stanu ich ducha. Witam was, witam, mam nadzieję, że przyszlście coś przekąsić.

— Czerstwy i zakalcowaty jest chleb jałmużny — mruknął relik, oddalając się uliczką ku rozbawionej grupce dzieci. Mimo prób nie udało mu się złapać żadnego rosochatymi ramionami. — Odpowiedzialność i samowystarczalność. Tak. A przez nich nadchodzi kryzys rodziny, wszyscy zginiemy. Wymrzemy. Wszyscy winniśmy karnie służyć sprawie za sam wikt. Wspomnicie jeszcze moje słowa.

Wypowiadając ostatnią kwestię skrzył w Starą Bramę Muzeum i raz jeszcze zaprezentował imponujący kubizm swej sylwetki, zniknął pod arkadami sklepów.

Nowo przybyły zamachał energicznie kluczem i zamierzył się nim w zamek antycznych drzwi.

— Ten gość jest odosobniony w swoich poglądach. W każdym mieście spotyka się takich postrzelców. Podejrzewam, że to nasi cygańscy przyjaciele ściągnęli z was „podatek”? Cóż to takiego do nas wieźliście?

— Głównie złoto — stwierdził z ulgą Elryk. Podszyty kłamstwem język złodziei i kupców jawił mu się bardziej swojski niż bełkot szaleńca. — I klejnoty.

— I tak dzielni byliście, że próbowaliście. Dopadli was po tej stronie Bruzdy?

— Na to wygląda.

— I złupili doszczętnie. Mieliście szczęście, że zostawili wam ubrania i broń. No i że nie przyłapali was podczas przekraczania Bruzdy.

— Wyczekaliśmy właściwej chwili — wtrącił się Wheldrake, bez trudu łapiąc ducha rozmowy, jakby to była dziecinna zabawa, i krzywiąc się ponuro.

— Widocznie nie dość długo czekaliście. — Drzwi otwarły się cicho i ukazały korytarz skąpany w żółtym blasku lamp. Ściany wewnątrz były równie krzywe jak zewnętrzne mury, schody falowały wiodąc w nieznaną, a pokoje wykwiwały bez ładu i składu po obu bokach korytarza, czasem jasne, czasem ponure i mroczne. Gospodarz prowadził ich coraz dalej, aż w końcu doszli do wielkiej sali z okazałym dębowym stołem pośrodku i ławami po bokach. Miejsca było tu dość na dwa tuziny wygłodniałych podróżnych, a jednak poza nimi spotkali tylko jednego jeszcze gościa, który zresztą hojnie nakładał sobie parującego gulaszu z wiszącego nad paleniskiem kociołka. Gościem tym była kobieta w prostym, rdzawozielonym stroju, ze smukłym mieczem i sztyletem u pasa, muskularna przy tym, szeroka w ramionach i pełna w biodrach, o twarzy pięknej i smutnej pod szopą złocistorudych włosów. Skinęła im głową na powitanie, po czym przerzuciła nogi przez ławę i zabrała się do jedzenia. Wyraźnie nie miała ochoty na rozmowę.

— Jak się domyślani, wasza towarzyszka musiała doświadczyć czegoś nader niemiłego i to niedawno — powiedział gospodarz zniżając głos. — Dała do zrozumienia, że wolałaby uniknąć dzisiaj wszelkich konwersacji. Znajdziecie tu wszystko, czego wam trzeba, panowie, ja zaś wrócę za kilka godzin i zobaczymy, czy mogę wam jeszcze jakoś pomóc. Zwykliśmy w Agnesh-Val wspierać podróżnych, którym się nie powiodło, bowiem inaczej nie dałoby się tu rozwijać handlu. Wspieramy jednych, zarabiając na drugich, czyli na tych, którym się udało do nas dotrzeć bez szwanku. Uważamy takie postawienie sprawy za uczciwe i stosowne.

— I tak też jest, sir — odezwał się Wheldrake. — Widzę, że hołdujecie tu liberalnym zasadom. Podróżując po Rei tyle można się nasłuchać o zasadach Torysów...

— Jak wszystkie najpewniej cywilizowane społeczeństwa, skłonni jesteśmy wierzyć w oświeconą zasadę interesu własnego. Każda społeczność czy całe społeczeństwo może tylko zyskać dzięki takiemu organizowaniu życia, by wszyscy mogli znaleźć w nim swe miejsce zgodnie z indywidualnymi pragnieniami. Zjecie

coś może? Zjecie coś?

Elryk kątem oka dostrzegł lustrujące ich, smutne spojrzenie kobiety i pomyślał, że od czasu śmierci Cymoril nie widział oblicza równie uroczego i przynębionego zarazem. Duże, błękitne oczy spoglądały lekko nieprzytomnie, gdy powoli przeżuwała kaski. Trudno było odgadnąć, o czym właściwie myśli. Nagle jednak, w przerwie pomiędzy kolejnymi sięgnięciami do miski, uśmiechnęła się, co tylko bardziej zaintrygowało Elryka.

Napełniwszy głębokie talerze apetycznie pachnącym gulaszem, usiedli przy stole i przez parę chwil jedli w milczeniu, aż w końcu kobieta przemówiła. Głos miała niespodziewanie ciepły, wręcz serdeczny, szczery, miło brzmiący księciu w uszach.

— Co skłamaliście, by dostać michę, chłopaki?

— To było raczej nieporozumienie niż kłamstwo, pani — odparł dyplomatycznie Wheldrake, oblizując łyżkę i zastanawiając się, czy nie ruszyć do kociołka po repetę.

— Nie bardziej jesteście kupcami niż ja.

— Powiedziałbym, że to było gruntowne nieporozumienie. Najwyraźniej tybylcy nie wyobrażają sobie, by ktokolwiek prócz kupców miał ochotę przybywać w te strony.

— A to i owszem. Jesteście tu nowi. Najpewniej rzeką.

— Przyznaję, że nie rozumiem — powiedział ostrożnie Elryk.

— No i, oczywiście, szukacie trzech siostr.

— Jak wszyscy tutaj — mruknął Elryk, nie komentując chwilowo domysłu.  
— Jestem Elryk z Melniboné, a to mistrz Wheldrake, poeta.

— O mistrzu Wheldrake’u słyszałam. — W jej głosie dał się słyszeć nawet niejaki podziw. — Ale waszmość, obawiam się, jesteś mi kompletnie obcy. Mnie zwą Mały Cierń — oznajmiła z dumą tonem jakby ostrzeżenia, chociaż nie wiadomo, czemu niby Elryk miałby jej jakkolwiek zagrażać. — Podróżuję w strumieniach czasu szukając pomsty. — Uśmiechnęła się, patrząc w pustą miskę, jakby nagle udając zakłopotanie czy zawstydylenie.

— A na co są pani potrzebne trzy siostry? — spytał Wheldrake głosem słodkim i ujmującym.

— Są dla mnie wszystkim. Mogą doprowadzić mnie do celu, któremu poświęciłam życie od chwili złożenia przysięgi. Są moją nadzieją na sukces, mistrzu Wheldrake. Bo jesteś waść tym samym Wheldrakiem, który napisał *Sny Mieszkańców Orientu*?

— Cóż, pani... — mruknął zakłopotany. — Byłem wówczas nowicjuszem w tamtych czasach, chciałem jakoś odbudować mą reputację, a Orient był akurat w modzie... Niemniej, jeśli chodzi o me dojrzałe dzieła...

— To jest wyjątkowo sentymentalne, mistrzu, ale pomogło mi niegdyś przeżyć kilka ponurych chwil. I dlatego wciąż lubię to właśnie takim. Potem jest



jeszcze *Pieśń Iananthe*, najlepszy oczywiście twój utwór.

— Wielkie nieba, pani, ale ja jeszcze tego nie napisałem! W Putney został zaledwie szkic, brudnopis. . .

— Ale jest wspaniałe, sir. Więcej słowa nie powiem.

— Czuję się zobowiązany, pani. Te pochwały. . . — Wreszcie uporał się z konsternacją. — I ja też darzę sentymentem mój okres orientalny. Czy czytała pani może powieść, którą wydałem całkiem niedawno, nazywa się Manfred.

— Nie było jej w kanonie pańskich dzieł gdy ostatnio miałam sposobność sięgnąć po lekturę.

Rozmawiali tak o poezji, Elryk tymczasem oparł głowę na stole i przysnął niepostrzeżenie. Nagle obudził go głos Wheldrake'a:

— Jak to się dzieje, że ci Cyganie uchodzą wciąż kary? Nie ma tu żadnych władz, które położyłyby kres ich rozbojom?

— Wiem tylko, że są plemieniem koczowniczym — powiedziała cicho Róża. — Kimś w rodzaju nader licznych nomadów. Sami nazywają siebie Wolnymi Wędrowcami lub Ludźmi Dróg i bez wątpienia są na tyle silni, by miejscowi mieli podstawy się ich obawiać. O ile dobrze zrozumiałam różne sugestie, trzy siostry zamierzają dostać się do Państwa Cyganów. Postanowiłam zatem uczynić to samo.

Elryk przypomniał sobie szeroki pas ubitej ziemi i zastanowił się, czy ma to jakiś związek z owym Państwem Cyganów i czy nie sprzymierzyli się oni przypadkiem z jakimiś ciemnymi mocami. Wszystko to zaczynało wyglądać naprawdę intrygująco.

— Jak długo będziemy utrzymywać naszego gospodarza w przekonaniu, że padliśmy ofiarą Cyganów, tak długo cieszyć będziemy się jego łaskami — stwierdziła Róża. — To zaś oznacza, że nie możemy wziąć go uczciwie na spytki i pozostaje nam tylko delikatne sondowanie jego zasobów wiadomości. Przynajmniej do chwili, gdy zdecydujemy się ujawnić, kim naprawdę jesteśmy.

— Mam wrażenie, że to ostatnie mogłoby nie zjednać nam przyjaźni tubylców, którzy są wyraźnie dumni ze swej działalności dobroczynnej wobec kupców, nie wiemy zaś, jak traktują tych wszystkich, którzy kupcami nie są. Niewykluczone, że ich los jest mniej słodki — westchnął Elryk. — Ale mniejsza o to. Jeśli nie wadzi pani nasze towarzystwo, to proponuję połączyć siły i razem poszukać trzech siostr.

— W obecnej chwili nie widzę nic niestosownego w takim przymierzu — powiedziała rozsądnie dziewczyna. — Słyszeliście coś o nich ostatnio?

— Dokładnie tyle, co i ty — odparł szczerze Elryk. Skoro i tak nie miał zielonego pojęcia, gdzie skierować kroki w tym świecie, może przyłączenie się do kogoś lepiej zorientowanego naprowadzi go na trop różanego puzdra zawierające-

go duszę ojca. Poza tym, towarzystwo tej kobiety wydawało mu się czemuś nader atrakcyjne. Odnajdywał w niej spokój i zrozumienie, cechy tak rzadkie, że zaraz lęk go ogarnął, iż na drugą taką istotę nie trafi już nigdy w swym życiu. Zapragnął nagle zwierzyć się jej ze wszystkich sekretów, wyznać nadzieje i lęki, podzielić się marzeniami i smutkami, ale nie po to, by dołożyć jej brzemienia. Szukał raczej czegoś, czym mógłby ją obdarować, czegoś do wspólnego przeżywania. Wiedział już na pewno, że więcej łączy ich, niż dzieli.

Krótko mówiąc, czuł, że znalazł siostrzaną duszę i nie miał wątpliwości, że jej wrażenia są podobne, chociaż on pochodzi z Melniboné, a ona nie. Była to wspólnota inna zupełnie niż ta doświadczona przy spotkaniu z Gaynozem, ale równie silna.

Gdy Róża udała się na spoczynek, mówiąc, że nie spała od jakichś trzydziestu sześciu godzin, Wheldrake okazał się już całkiem pod jej urokiem.

— Jakaż ona kobieca, sir, nie spotkałem jeszcze świetniejszej damy. Jaka wspaniała. . . Junona wcielona! Diana!

— Nie znam bogiń twej ojczyzny — odparł Elryk, zgadzając się jednak z Wheldrakiem, że zaiste udało im się spotkać tego dnia wyjątkową osobowość. Zaczął zastanawiać się na szczególnymi rodzajami więzi powstających pomiędzy ojcami i synami, przybranymi braćmi i siostrami. Wydało mu się, że wyczuwa w tym niejaki wpływ Równowagi, a może nawet, dokładniej rzecz biorąc, Władców Chaosu i Ładu, bowiem coraz wyraźniejszym stawało się dlań, że i jedni i drudzy szykują się ostatecznie do zmagania na skalę większą, niż zdarza się na co dzień. Co wyjaśniałoby z kolei, co takiego wisi ostatecznie w powietrzu, i powodowało Sadrykiem, że skłaniał do pośpiechu, chociaż martwy i bez duszy. Z wolna zaczął się księciu w głowie rysować wzór obejmujący cały ogrom różnorodności multiversum. Odbicie jakiejś wielkiej, kosmicznej konfiguracji? Przez chwilę zdało mu się, że obejmuje całość złożoności i różnorodności, że odróżnia rzeczywistość od nie zrealizowanych jeszcze snów, że zaczyna rozpoznawać prawdopodobieństwo dalszych przemian, których efekt finalny pozostaje jeszcze niedookreślony w bezgranicznym potencjale piękna i brzydoty, dobra i zła i wszelkich innych skrajności.

Gdy siwowłosa wrócił, tym razem już nieco staranniej ubrany i wyraźnie po porannej toalecie, Elryk spytał go, jak to jest, że miasto nie obawia się ataku ze strony tak zwanego Państwa Cygańskiego.

— Och, jeśli o to chodzi, oni mają swoje zasady. O ile ich rozumiem, to miasto ma status nienaruszalnego. Co nie poprawia waszej sytuacji.

— Układacie się z nimi?

— W pewnym sensie. To znaczy podpisujemy różne traktaty i tak dalej. Agnesh-Val jest bezpieczne, inaczej wygląda sprawa z tymi, którzy ciągną tu uprawiać handel. . . — Wykonał kilka gestów, które miały najpewniej być uprzejmym przeproszeniem za tę niedogodność. — Wiecie, Cyganie chodzą własnymi droga-

mi. Są na tyle odmienni, że jak, na ten przykład, zupełnie ich nie rozumiem, ale dobrze jest widzieć zarówno negatywne, jak i pozytywne strony ich potęgi.

— A przede wszystkim są wolni, jak sędzę — powiedział Wheldrake. — Ten temat przewija się przez cały *Chleb codzienny Romów*.

— Bardzo możliwe, sir — stwierdził gospodarz, niezbyt jednak przekonany. — Ale nie wiem, o czym mówisz. Czy to jakaś sztuka sceniczna?

— Traktująca o radości podążania drogami, które nigdzie się nie kończą.

— A zatem rzeczywiście jest dziełem cygańskim. Obawiam się, że nie kupujemy ich książek. A teraz, panowie, czy skłonni jesteście skorzystać z kredytu, którego udzielamy podobnym do was pechowcom, i możliwości zakupu wyposażenia po cenie kosztów. Jeśli nie macie pieniędzy, możecie dać coś innego. Na przykład ty, mistrzu Weldrake, mógłbyś zamienić jedną z tych książek na konia.

— Książka za konia! Doskonałe!

— Dwa konie? Przykro mi, ale nie znam dobrze wartości rynkowej słowa drukowanego, przyznać jednak muszę, że czytanie nie jest u nas przesadnie popularnym sposobem spędzania czasu. Preferujemy rozrywkę prostszej natury, jakiej dostarczyć może arena w wieczornej porze.

— Tak zatem konie, może jeszcze z prowiantem na parę dni? — zaproponował Elyk.

— Jeśli uznasz taką wymianę za uczciwą, sir.

— Moje książki — wykrztusił Wheldrake przez zaciśnięte zęby — są nie tylko moje, ale są prawie mną. To moja indywidualność, część mej osobowości. Jestem ich obrońcą. Chociaż dzięki cudowi telepatii, która wszystkim nam jest dana, możemy język zrozumieć, nie oznacza to jeszcze, że potrafimy w nim czytać. Ta sztuka nie jest nam przyrodzona, wiesz o tym, sir? To kwestia logiki raczej, jak sędzę. Nie, sir, ani z kartką się nie rozstanę!

Elyk jednak najpierw wytłumaczył szybko gospodarzowi, że cała ta perora dotyczyła pewnej książki napisanej w obcym języku, niezrozumiałym dla poety, potem zaś wziął się do pospiesznego przekonywania Wheldrake'a, że od koni zależy teraz ich los a może i życie, muszą bowiem przyłączyć się do Róży, mającej już własnego wierzchowca. Ostatecznie Wheldrake pogodził się ze stratą *Omara Chajjama*, który to wolumin miał nadzieję przeczytać jeszcze pewnego dnia.

I we troje odjechali białą drogą ciągnącą się brzegiem rzeki ku miejscu, gdzie wczorajszego dnia trafili na szlak, tym razem jednak zeń nie zbaczając, tylko podążając dalej na południe, zgodnie z biegiem wód rzeki. Wheldrake postanowił dostarczyć Róży nieco rozrywki i zaczął śpiewać *Pieśń Arabii*, Elyk zaś wysforował się naprzód i pogrążył w ponurych rozmyślaniach, czy nie trafił przypadkiem do czyjogoś snu i czy w ogóle odnajdzie kiedykolwiek duszę ojca.

Dojechali wreszcie do miejsca, gdzie smoczyca opuściła szlak wodny, gdy czujne uszy Elyka wylapały jakiś odgłos, trudny jednak do identyfikacji. Wspomniał o tym towarzyszącom podróży, ci jednak niczego nie słyszeli. Dopiero po pół

godzinie Róża przyłożyła dłoń do ucha i zmarszczyła czoło.

— Jakby jakiś szum, może nawet ryk wody.

— Teraz i ja słyszę — stwierdził Wheldrake, urażony jakby, że on, będący przecież wrażliwym poetą, powinien był słyszeć wszystko pierwszy. — Nie wiedziałem, że chodzi wam o ten szum, dla mnie to zwykły odgłos spadającej wody. — Po czym splonął się, wzruszył ramionami i zainteresował się czymś nader istotnym na końcu swego ptasiego nosa.

Musieli wędrować jeszcze dwie godziny, nim ujrzeli otoczone wodną pianą wielkie skały katarakty, na których pokonanie nie pokusiłby się nawet bardzo wprawny żeglarz. Ściśnięty nurt huczał głosem jakby żywej istoty, a droga była aż mokra od gęstego jak mgła wodnego pyłu. Dopiero gdy droga oddaliła się nieco od rzeki i weszła w parów, huk zmalął na tyle, że można było rozmawiać.

Kamienie wkoło wciąż były wprawdzie wilgotne, ale stłumienie ryku wody przyniosło wszystkim niemal fizyczną ulgę. Wheldrake wysforował się trochę i wrócił z wieścią, że droga zakręca i że przed nimi jest urwisko, najpewniej wysoki brzeg oceanu.

Wyjechali z parowu na szeroki szlak i znów ujrzeli rozległy, trawiasty step ciągnący się aż po horyzont z jednej strony i po srebrzystą ścianę wodnej kurza- wy od strony rzeki. Droga jednak nie urywała się tutaj, tylko wiodła do przeprawy nad przepaścią tak głęboką, iż jej dno ginęło niemal w mroku. Tam też wlewała się wodospadem rzeka. Pomiędzy zaś wschodnim a zachodnim brzegiem rozpięty był osobliwy most. Kojarzył się Elrykowi z miejscem, które poznał w tym świecie jak pierwsze, ale na pewno nie był zrobiony ze stwardniałego błota. Całą konstrukcję sporządzono z konarów, kości i metalowych dźwigarów, na których ułożono warstwami niezliczone skóry zwierząt mające służyć za nawierzchnię. Całość śmierz- diała na milę klejem kostnym i była przeraźliwie prymitywna z jednej strony, z drugiej jednak sugerowała rozległą wiedzę inżynierską, przynajmniej jeśli po- minąć kwestię budulca. Rodacy księcia także posiadali podobne talenty, przestali je cenić dopiero za sprawą coraz powszechniejszego odwoływania się do magii.

— Nic dziwnego, mości Elryku, że szlak wodny na nic miastu nie służy — powiedział Wheldrake, odrywając albinosa od podziwiania konstrukcji. — Chyba to właśnie nazywają tu Bruzdą.

Elryk aż uśmiechnął się na taką ironię.

— Czy ta dziwna droga może prowadzić do Państwa Cyganów, jak sądzisz, mistrzu?

— *Ku śmierci wiedzie, zgubny to cel, gdzie legowisko earla Cray* — zainto- nował Wheldrake, zaczynając znów niepoprawnie cytować samego siebie. — *Ale Ulric i Popędliwy Brand, ramię w ramię trwożnie stają, z dnia białego sprawę zdają, sprawiedliwość wprowadzają, Gwandyth złego porażają, porażają earla Cray.*

Tym razem nie doczekał się uznania nawet ze strony Róży, zresztą chwila nie

była najodpowiedniejsza na recytowanie poezji. Z jednej strony huczał wodospad, z drugiej ziała czeluść, przed nimi zaś rysowała się co najmniej podejrzana droga na kościanym moście. W dali drzemała i lśniło leniwie w promieniach słońca rozległe, błękitnozielone jezioro. Wydawało się obiecywać spokój i wytchnienie, ale Elryk od razu pomyślał, że obietnica ta może być czysto iluzoryczna.

— Patrzcie, panowie — powiedziała Róża, zmuszając konia do cwału. — Tam dalej widać chyba jakąś osadę. Może trafimy na gospodę?

— Oj, przydałoby się, pani. Tam gdzie byłem ostatnio, na Krańcu Świata, mieli taką... — wystękał Wheldrake.

Niebo zanosło się ciemnymi, ponurymi chmurami i wszystko, prócz odległego jeziora, skryło się w cieniu. Z przepaści dobiegały niepokojące pohukiwania i łomoty, do złudzenia przypominające zawrodo ludzkich głosów. Cała trójka zataśknęła nagle za nudną i nieciekawą drogą nad powolnie toczącą wody rzeką i pomiędzy łanami pszenicy.

Przytuloną w cieniu mostu osadę tworzył jeden murowany, piętrowy budynek otoczony z pół tuzinem ruder, jednak udało się pomiędzy nimi wypatrzeć szyld gospody, o ile można było tak nazwać truchło wrony przyszpilone do drewnianej tablicy. Wyblakłe litery poniżej miały najpewniej oznajmiać nazwę przybytku.

— „Zgniła Wrona” — odczytał Wheldrake, który najpilniej z całej trójki rozglądał się za zajazdem. — Jak dla mnie, to może być, chociaż bardziej przypomina mi kryjówkę piratów lub zwyczajowe miejsce egzekucji. Co wy na to?

— Skłonna jestem się zgodzić — mruknęła Róża, przesuwając rude loki między palcami. — W zasadzie wolałabym ominąć taki zamtuż, ale skoro nie mamy wyboru... Zobaczmy, może przynajmniej dowiemy się czegoś.

Z niejakim wahaniem powierzyli konie brudnemu, wesoło jednak uśmiechniętemu stajennemu i weszli do wnętrza „Zgniłej Wrony”. Ze zdumieniem ujrzeni tam mieszane towarzystwo sześciorga kudłatych gości, którzy w najlepsze korzystali z dobrodziejstw zajazdu.

— Witam was, panowie. I ciebie, pani — stwierdził jeden z mężczyzn, zdejmując kapelusz tak szczerze przybrany wstążkami i piórami, iż samego nakrycia głowy nie było spod nich widać. Cała gromadka wcześniejszych gości była zresztą odziana bogato w koronki, aksamity i atłasy, z czapkami, kapeluszami i hełmami wszelkich stylów, spod których wymykały się czarne kędziory. Mężczyźni mieli przetykane siwizną brody, wszyscy zaś ciemną cerę, co u kobiet było widać wyraźniej, chociażby za sprawą odsłoniętych ramion. Co do jednego byli też uzbrojeni po zęby i wyraźnie gotowi użyć stali jako argumentu w rozmowie. — Z daleka jedziecie?

— Jak na dziś, to wystarczy — powiedział Elryk, zdejmując rękawice i płaszcz i układając je blisko ognia. — A wy, przyjaciele, daleka jeszcze droga przed wami?

— Cóż — odparła jedna z kobiet. — My nie znamy końca drogi. Zawsze

jesteśmy w podróży, taki los. Drogi nas prowadzą. Jesteśmy wolnymi sprzymierzeńcami Państwa Cygańskiego. Czystej krwi Romami z Południowej Pustyni, potomkami tych, którzy przemierzali ten świat, zanim jeszcze powstały jakiegokolwiek państwa!

— A zatem jesteśmy zaszczytzeni, pani! — Wheldrake otrząsnął kapelusz nad paleniskiem, aż krople wody zasyczały w płomieniach. — Szukamy bowiem Państwa Cygańskiego.

— Jego szukać nie trzeba — odparł najwyższy z mężczyzn w czerwonych i białych aksamitach. — Cyganie zawsze sami cię znajdą, wystarczy poczekać. Narysować stosowny znak na drzwiach i czekać. Zbliża się już właściwa pora, czas przemarszu. Ujrzycie niebawem, jak ożywi się Most Paktu, utrzymujący naszą dawną drogę wciąż przejezdną, chociaż ład dawno już rozszczepił się na dwoje.

— To wasz most? I droga też? — zdumiał się Wheldrake. — Czy Cyganie mogą posiadać takie rzeczy i pozostawać prawdziwymi Cyganami?

— Wyczuwam kogoś cierpiącego na chorobę lokomocyjną. — Jedna z kobiet wstała i znacząco wyciągnęła dłoń ku rękojeści sztyletu. — Pewien mędrak o wyglądzie szpaka zepsuł powietrze swym gadaniem, a to nie miejsce na podobne rzeczy.

Elryk wcisnął się zgrabnie pomiędzy kobietę a Wheldrake'a, by załagodzić sprawę.

— Przybyliśmy tu, by porozmawiać o handlu — powiedział, uznając że żadne inne wytłumaczenie nie zostanie tu najpewniej wzięte za dobrą monetę.

— Handlu? — Wszyscy Cyganie uśmiechnęli się i zaczęli coś pomrukiwać pomiędzy sobą. — W takim razie, panowie, witamy w Państwie Cyganów. Jak wszystkich, których pociąga wędrówka.

— Zabierzcie nas tam?

Rozmówcy wydawali się solidnie zdumieni tą prośbą i Elryk doszedł do wniosku, że widocznie niewielu mieszkańców tego świata skłonnych było dobrowolnie podróżować wraz z Cyganami.

Widać też było, że Róża nie ufa tej gromadzie rzezimieszków i nie ma wcale ochoty ruszać z nimi w dalszą drogę. Jeśli jednak chciała odnaleźć trzy siostry, to nie miała innego wyjścia.

— Niedawno przejeżdżały tędy trzy nasze znajome — powiedział Wheldrake, jak zwykle, szybko znajdując się w nowej sytuacji. — Bardzo podobne do siebie. Nie spotkaliście ich przypadkiem?

— My, Romowie z Południowej Pustyni, nie zwykliśmy wdawać się w pogwarki z *diddikojim*.

— Ha! — parsknął Wheldrake. — Cygańscy snobi! Choć we wszystkich światach trafiamy wciąż na to samo, nie przestają nas one zdumiewać!

— Nie czas na obserwacje i uprawianie nauk społecznych, mistrzu Wheldrake — upomniała go Róża.

— Na to zawsze jest czas, pani. Bo w przeciwnym razie, czymże różnilibyśmy się od zwierząt? — odparł urażony i mrugnął do wysokiej Cyganki. — *A ja żyć wolę z Cyganami wolnymi; dziećmi cieszyć oczy śniadymi!* Znacie tę balladę, przyjaciele?

Wkrótce Wheldrake oczarował ich na tyle, by spokojnie rozsiedli się na ławach, rzucając naznaczone lekkim poczuciem wyższości żarty na temat nie będących Cyganami obcych, włączając w to, rzecz jasna, i samego poetę. Nie trwało długo, a albinotycznemu Elrykowi nadali przezwisko Gronostaj, które ten przyjął spokojnie, zwykły już rozmaitych skojarzeń, budzonych u ludzi niepokojącym, ekstraordynaryjnym wyglądem. Uzbroił się w cierpliwość i czekał wiedząc, że gdyby wyciągnął Zwiastuna Burzy, cała szóstka Cyganów szybko zaplamiałaby posoką podłogę zajazdu, a ich dusze Czarny Miecz wzięłyby we władanie. Co gorsza, zapewne i Róża, a może i Wheldrake padłiby jego ofiarą, bowiem runiczny oręż nie zawsze zadowalał się wyłącznie krwią wrogów księcia. Tutaj, na skraju świata, pomyślał Elryk z uśmiechem, nikt nie znał jednak jego prawdziwej potęgi. Tak, niech sobie żartują z niego, że takim chudzielcem to by można króliki z nor wypląsać, niech się śmieją, mniejsza z tym. On i tak jest Elrykiem z Melniboné, Księciem Ruin, ostatnim z królewskiej linii, błędzącym w poszukiwaniu duszy ojca. Jest Melnibonéaninem nade wszystko ceniącym atawistyczną dumę, poczucie przewagi nad wszystkimi innymi istotami, tak śmiertelnymi jak i nadprzyrodzonymi. To jest jego pancerz i oręż, nic, że przywodzący na myśl również i bolesne skojarzenia.

Tymczasem Wheldrake zaczął uczyć już chór czworga Cyganów jakiejś piosenki z wrzaskliwym, wulgarnym refrenem, a Róża wdała się z gospodarzem w dyskusję na temat jadłospisu. Może być kuskus z królika. Nic więcej nie ma. Róża przyjęła ofertę, po czym wszyscy obżarli się do granic możliwości i zapadli w mocny sen ułożeni pokotem na cuchnącym stryszku w towarzystwie wścibskiego robactwa i małych gryzoni penetrujących ich odzież w poszukiwaniu resztek. Niewiele znalazły, a na dodatek krew Elryka była dla owadów niestrawna.

Następnego ranka książę obudził się przed wszystkimi i zszedł kulawo do kuchni, by poszukać odrobiny wody i rozpuścić w niej okruch smoczego jadu. Tłumiąc okrzyki bólu, czuł jak wraca mu z wolna siła i pewność siebie. Słyszał niemal szum wielkich skrzydeł unoszących go ku niebiosom, gdzie czekają smoczy bracia. Smocza pieśń sama przy płynęła na usta, ale nie dobyteła się na świat. Ostatecznie przybył tu, by się uczyć, dowiadywać, a uczynienie z siebie centrum powszechnej uwagi nie pomogłoby nijak w realizacji zasadniczego celu wędrówki.

Gdy pozostała dwójka zeszła na dół, znalazła go już w dobrym humorze, śmiejącego się z żartu o głodnej fretce i króliku. Cyganie gustowali w tak bukolicznych

tematach, które nigdy nie przestawały ich bawić.

Elryk też spróbował swoich sił w opowiadaniu kawałów, ale jego teksty bardziej zdumiewały, niż śmieszyły słuchaczy. Dopiero gdy Wheldrake dołączył do towarzystwa i zaserwował historyjkę o owcy i butach rybackich, lody zostały przełamane. Potem, gdy jechali już obok siebie wzdłuż zachodniego brzegu przepaści, Cyganie uznali ostatecznie przybyszy za pożądanych gości w swym państwie.

— *Hau, hau, hau, szczekają psy* — sylabizował Wheldrake wciąż ściskając w dłoni poranne piwo, który to porter miał służyć mu za śniadanie, i kołyszając się rytmicznie w siodle. — Prawdę mówiąc, książę Elryku, to Putney zaczęło mnie już trochę nudzić. Po prawdzie myślałem nawet o przeprowadzce do Barnes.

— Takie to paskudne są okolice? — spytał Elryk, szczęśliwy, że wreszcie ma okazję do normalnej rozmowy. — Paskudne czary w każdym zakątku i tak dalej?

— Gorzej — mruknął Wheldrake. — Sam dobrobyt. Chyba za dużo pisałem ostatnimi czasy, ale i cóż niby innego do roboty można znaleźć w Putney. Z drugiej jednak strony, prawdziwym źródłem natchnienia mogą być tylko problemy, kłopoty, cierpienie duszy i inne takie, a tymczasem, jeśli Putney cokolwiek obiecuje człowiekowi, to raczej uwolnienie od trosk.

Słuchając, jak Wheldrake komentuje ich obecną sytuację, Elryk nadstawiał ucha po części z uprzejmości, a po części traktując ten potok słów jak ukojenie dla swych umęczonych zmysłów. Czuł wyraźnie, że działanie smoczego jadu nie słabnie wraz z kolejnym użyciem. Tak, gdyby teraz Cyganie okazali się fałszywymi przyjaciółmi, bez trudu mógłby ich wszystkich pozabijać. Mniejsza o złą sławę Cyganów, może są w stanie zastraszyć tutejszych rolników, ale z pewnością nie potrafią stawić czoła wprawnemu szermierzowi. Na dodatek, w razie potrzeby, Elryk mógł spokojnie liczyć na wsparcie Róży. Tylko Wheldrake byłby wtedy na nic; widząc jego próby władania orężem, potencjalny przeciwnik skończyłby co najwyżej ze śmiechu.

Od czasu do czasu książę rzucał okiem na przyjaciół, wyraźnie równie wypranych z pomysłów, jak i on sam. Skoro te, których szukali, udały się do Państwa Cygańskiego, nic nie stało na przeszkodzie, by sprawdzić przynajmniej, czym właściwie jest owo państwo.

Elryk ujrzał, jak żywiąca wciąż pewne podejrzenia Róża wypuszcza wierzchowca i rusza galopem wzdłuż brzegu przepaści, aż pryskające spod kopyt kamienie i kawałki błotnistej darni sypią się w dół, w mroczną czeluść pełną ryku niewidocznej rzeki. Cyganie pogonili kolejno w ślad za nią, pokrzykując przy tym, unosząc się z wprawą w siodłach i omijając pułapki szlaku z taką pewnością, jakby wszystko to było ich chlebem powszednim. Elryk roześmiał się, udzieliła mu się bowiem ich radość, a Wheldrake zaklaskał w ręce jak chłopiec po raz pierwszy przyprawiony do cyrku. Po chwili dotarli do olbrzymiej góry śmieci, gdzie więcej Cyganów czekało już na nich obok przejścia uczynionego przez to wysypisko. Serdecznie pozdrowili swych pobratymców, trójkę obcych podróż-



nych traktując z lekceważeniem zarezerwowanym dla wszystkich, którzy nie są Romami.

— Ci tutaj chcą się do nas przyłączyć w podróży — oznajmił ziomkom wysoki Cygan w bieli i czerwieni. — Powiedziałem im, że nigdy nie odtrącamy chętnych. — Parsknął rubasznym śmiechem przyjmując od jednego z nowych Cyganów wygrzebaną z torby podróźnej nieco przejrzałą brzoskwinie. — Z furazem jesteście, jak zwykle, do tyłu. Zawsze tak bywa pod koniec jednego sezonu i na początku nowego. — Nagle pokiwał głową. — Ale nowy sezon jest już blisko. Wyjdziemy mu naprzeciw.

Elrykowi wydało się, że grunt zadrżał lekko, a z oddali dobiegać zaczęło coś jakby trąbienie i przytłumiony grzmot bębnow. Czyżby jakiś lokalny bóg przeprawiał się przez most? A oni zostali tu przyprowadzeni w charakterze rytualnych ofiar czy przekąsek? I co właściwie tak bawiło Cyganów?

— Jaki sezon? — spytała natarczywie Róża, kręcąc w palcach kosmyk włosów.

— Sezon Marszu, a właściwie Sezon naszych Marszów — powiedziała jedna z kobiet, wypluwając pestkę na pylisty grunt. Potem dosiadła konia i poprowadziła całe towarzystwo dalej, wprost na elastyczną jezdnię, która wibrowała już cała jak podczas trzęsienia ziemi. Szeroką na milę drogą nadciągał ze wschodu jakiś pochód. Elryk widział już wyraźnie odległe poruszenie, słyszał zgiełk.

— Na wielkiego Scotta! — krzyknął Wheldrake, unosząc kapelusz w geście zdumienia. — Cóż to może być?

Nadciągała ku nim ciemność ciężkich cieni rozjaśnianych chaotycznie wyblęskującymi iskierkami. Wstrząsy były już tak silne, że gdzieś tam śmieci zaczęły się osypywać, a żerujące w nich stworzenia umykały z piskiem. Niemniej zjawisko wciąż jeszcze było odległe na wiele mil.

Cyganie nie zwracali na to większej uwagi, jakby przyzwyczajeni, trójka przybyszy nie mogła jednak oderwać oczu od widowiska.

Wstrząsy przeszły z wolna w kołysanie, zupełnie jakby jakaś olbrzymia dłoń poruszała lekko zawieszonym nad przepaścią mostem, odległy cień zaś rósł coraz większy, wypełniając całą szerokość drogi.

— Jesteśmy wolnym ludem. Przemierzamy drogi i nie uznajemy panów ni władców nad nami! — wyśpiewała jedna z kobiet.

— Słuchajcie! Słuchajcie! — cmoknął Wheldrake. — Hej-ho, dajcie wolną drogę! — Ale jego głos cichł coraz bardziej, w miarę jak zbliżali się do czołówki tłumnego pochodu.

Otwierał go statek, który jednak nie był statkiem, ale raczej wielką, drewnianą platformą rozległą jak porządna wioska, platformą osadzoną na monstrualnych kołach i poruszającą się powoli naprzód. Z krawędzi zwieszał się jakby skórzany fartuch, powyżej widać zaś było całe miasto z dachami domów i wieżami. Mobilne miasta poszczególnych szczepów.

A takich platform były w pochodzie setki.

Zaraz pojawiła się następna, zupełnie odmienna, z innymi flagami na masztach, potem kolejna. Cała droga była ich pełna, słychać było trzeszczenie drewna i piski osiek, gdy w żółtym tempie kolejne osady przesuwały się, ubijając grunt tak dokładnie, iż gładź drogi przestała być dla Elryka zagadką.

— Mój Boże! — wyszeptał Wheldrake. — Toż to koszmar z obrazów Brueghela! Blake’a wizja Apokalipsy!

— To prawda, widok jest niecodzienny — przytaknęła Róża, zaciskając mocniej pas i marszcząc czoło. — Ostateczny argument za tym, by uznać Cyganów za naród nomadów.

— Widzę, że jesteście najzupełniej samowystarczalni — powiedział Wheldrake do jednego z Cyganów, którzy puchli wręcz z dumy. — Ile miast jest w tej karawanie?

Cygan potrząsnął głową i wzruszył ramionami, wyraźnie niezorientowany.

— Około dwóch tysięcy — powiedział. — Ale nie wszystkie poruszają się tak szybko, jak te tutaj. Za nimi jadą miasta Drugiego Sezonu Marszu, potem jest jeszcze Trzeci Sezon.

— A Czwarty Sezon?

— Nie ma takiego. Ten wam zostawiamy — roześmiał się Cygan. — W przeciwnym razie, skąd bralibyśmy pszenicę?

Elryk wsłuchiwał się w łoskot olbrzymich platform, obserwował ludzi wspinających się po ścianach, wychylających się i krzyczących jeden do drugiego. W powietrzu unosił się zwykły, skondensowany odór miasta. Gigantyczne wehikuły były całe z drewna, spajane żelaznymi nitami, wzmocnione brązem, miedzią i stalą, a wszystko to robiło wrażenie szarego jak skała, czyli bardzo starego. Gdyby ktoś znalazł się na ich drodze, spotkałby go los mrówki miażdżonej kołami wózka z psim zaprzęgiem. Na rozpiętych tu ówdzie sznurach suszyło się pranie, widać było znaki wszelkich możliwych rzemieślników i kupców. Nie trwało już długo, a platformy znalazły się tuż obok, górując nad podróznymi, którzy musieli zadrzeć głowy, by dojrzeć lśniące od smaru osie i stare, obite blachą koła, z których każde skrzypiało na własną nutę i było tak wysokie, jak wieżyce Imrryr. Z obrzeży tych enklaw różnorodnych przejawów życia naszczekiwały psy, dzieci spoglądały w dół i pluły, próbując trafić widzów, krzyczały przy tym i śmiały się z tych, w dole. Robiły to do chwili, gdy rodzice położyli kres balansowaniu na krawędzi i sami też spojrzeli na ziemię, najwyraźniej wcale nie zachwyceni obecnością obcych i perspektywą zwiększenia szeregów wędrowców. Platformy toczyły się teraz z jednej i drugiej strony, zrzucając od czasu do czasu śmieci na drogę. Za osadami szli zaś mężczyźni, kobiety i dzieci, wszyscy uzbrojeni w miotły i zgarniający odpadki na sterty po obu poboczach, płosząc przy tym wszelkie robactwo i całe chmary much, czasem tylko przystając, by wdać się w sprzeczkę nad wygrzebanym kawałkiem detritusa.

— Istne wariactwo — mruknął mistrz Wheldrake, zasłaniać usta wielką, czerwoną chustką i lekko pokasłując. — Ale błagam, panie, powiedz mi, dokąd wiedzie ta droga?

— Dokąd wiedzie, człecze? — Cygan potrząsnął głową z niedowierzaniem. — Cóż, wszędzie i nigdzie. To nasza droga, droga Wolnych Wędrowców. Prowadzi przed siebie, poeto skarłaty! Prowadzi nieskończoną wstęgą dookoła świata!

## Rozdział 4

### Przystanie do Cyganów.

#### Osobliwe próby zdefiniowania pojęcia wolności.

Dopiero teraz, wędrując pomiędzy potężnymi kołami, Elryk i jego towarzysze zauważyli olbrzymią ciżbę ludzką postępującą za pierwszą falą platform. Mężczyźni, kobiety i dzieci w różnym wieku, różnych stanów i odzienia, wszyscy rozmawiający lub kłócący się, bawiący się nawet po drodze, niektórzy pewni siebie, dumni, inni wyraźnie zagubieni, z kapeluszami w dłoniach, wymizerowani, z psami i wszelką domową żywną na równi biorącą udział w tej pielgrzymce. Jeźdźcy zniknęli już dawno, by przyłączyć się do podobnych sobie, w ogóle nie zwracając uwagi na biedotę.

Wheldrake pochylił się w kulbace ku wypatrzonej matronie o wesołym obliczu, typowi kobiety, do którego zawsze czuł słabość. Kapelusz zsunął mu się z rudego grzebienia, ptasie oczka rozjarzyły.

— Wybacz mi, pani, ale jesteśmy nowi pośród waszego ludu i powinniśmy poszukać najpewniej jakichś waszych władców...

— Nie mamy żadnych władców, koguciku, nie w Państwie Cyganów — rozeźmiała się na tak absurdalny pomysł. — Jesteśmy wolni. Wszyscy. Owszem, mamy radę, ale ta nie zbierze się aż do przyszłego sezonu. Skoro już się do nas przyłączyliście, jak widzę, to musicie poszukać wioski, która was przyjmie, w przeciwnym razie zostanie wam maszerować tu z nami. — Nie łamiąc kroku wskazała za siebie. — Najlepiej z tyłu. Te wioski z przodu pełne są szlachetnie urodzonych Romów czystej krwi, a tacy niechętnie widzą kogokolwiek. Ale z tyłu z pewnością znajdzie się ktoś, kto przyjmie was z ochotą.

— Jesteśmy pani nader zobowiązani.

— Dla wielu jeździec jest miłym gościem — stwierdziła takim tonem, jakby cytowała starą maksymę. — Nikt nie jest bardziej wolny niż cygański jeździec.

Wielki marsz trwał nieprzerwanie całą szerokością drogi, zaś Elryk, Wheldrake i Róża jechali dalej, czasem pozdrawiając kogoś, czasem samemu przyjmując pozdrowienia. Gdzieniedzie pośród ciżby dawała się wyczuć szczególna atmosfera święta, dawały się słyszeć fragmenty piosenek czy przyśpiewek, akordy

wygrywane na skrzypcach i zawodzenie katarynek. Jeszcze gdzie indziej w rytm kroków cały chór piechurów wyśpiewywał znany tu wszystkim tekst:

*Cygańska przysięga wiąże nas wszystkich  
Bo takie już jest cygańskie prawo,  
I śmierć temu, kto go nie słucha!  
I śmierć temu, kto go nie posłucha!*

Jeden tylko Wheldrake nie krył dezaprobaty dla tego widowiska, a to z powodów moralnych, etycznych, estetycznych i formalnych. To ostatnie dotyczyło miar metrycznych lokalnej poezji.

— Owszem, uwielbiam prymitywizm, przyjacielu, ale niech to będzie prymitywizm najwyższego gatunku. Tutaj nazbyt wiele wyczuwam ksenofobii. Gdzie im do eposów narodowych. . .

Za to Róża była wręcz zachwycona.

Elryk tymczasem uniósł głowę niczym smakujący powietrze smok i w tejże chwili dostrzegł jakiegoś chłopca wypadającego biegiem spomiędzy kół platformy i zmierzającego ku obwałowującej drodze górą śmieci (uzupełnionym teraz przez świeży wysyp odpadków). Dzieciak usiłował wspiąć się na górę, i chociaż pomagał przy tym sobie przymocowanymi do dłoni i stóp kawałkami desek, szło mu raczej nietęgo i tylko coraz bardziej zapadał się w miąższość podłoża.

Był wyraźnie przerażony, krzyczał coś głośno, ale tłum mijał go obojętnie. Chłopiec spróbował dostać się z powrotem na drogę, ale deski nie pozwoliły mu wydostać się z pułapki. Krzyk rozpaczony przedarł się nawet przez zgiełk pochodu, aż nagle wystrzelona skądś strzała z czarnymi piórami trafiła go w szyję, uciszając na zawsze. Krew pociekła z ust. Nikt nawet nie spojrzął na umierającego.

Róża ruszyła przez tłum, krzycząc na nich gniewnie, łajając za obojętność. Chciała dotrzeć do chłopca, który w drgawkach zapadał się coraz głębiej. Gdy cała trójka dotarła na miejsce, nie żył już, ale gdy Elryk chciał się nad nim pochylić, jeszcze jedna strzała wbiła się prosto w serce dziecka.

Elryk obejrzał się rozgniewany i przyjaciele z trudem powstrzymali go od wyciągnięcia miecza i ruszenia na poszukiwanie strzelca.

— Śmierdzące tchórze! Zwyczajne śmierdzące tchórze!

— Może popełnił jakieś przestępstwo, które tutaj cenią jeszcze niżej — mruknęła ostrożnie Róża biorąc Elryka za rękę. — Cierpliwości, albinosie. Jesteśmy tu, by wysondować tych ludzi, a nie, by zmieniać ich obyczaj.

Elryk uznał jej rację. Pośród swego ludu zdarzało mu się być świadkiem zdarzeń o wiele bardziej okrutnych i wiedział dobrze, że nawet najwymyślniejsza tortura może być czasem uznawana przez kogoś za akt czystej sprawiedliwości. Opanował się, ale teraz spoglądał już na tłum z większą uwagą. Róża tymczasem poprowadziła ich do następnego skupiska ruchomych wiosek skrzypiących

powolnie drogą w tempie marszu znudzonego, zgrzybiałego starca. Fartuchy wokół kół zamiatały powierzchnię drogi niczym suknie wdów podczas wieczornej przechadzki.

— Jakież to czary wprawiają w ruch te wehikuły — mruknęła Róża, gdy byli już blisko. — I jak tu dostać się na górę? Ci tutaj nie śpiewają. Zupełnie, jakby się czegoś bali...

— Najwyraźniej, pani. — Elryk obejrzał się na martwego chłopca, wciąż jeszcze widocznego pomiędzy śmieciami.

— Wolne społeczeństwo temu podobne nie płaci podatków, a tym samym nie utrzymuje żadnej policji. W tenże sposób jedynymi instrumentami utrzymania porządku i prawa stają się więzy krwi i rodzina — powiedział wciąż jeszcze zdenerwowany Wheldrake. — To jedyny sposób. Najpewniej ten chłopiec zapłacił za jakieś niehonorowe czyny swych krewnych, a może i swoje. *Krew za krew! Jęknął Król Pustyni, i oko, przysięgam, za oko. Nim sionce zajdzie nad Omdurmanem, Nazareńczyk musi umrzeć!* To nie moje! Naprawdę! — dodał pospiesznie. — Napisał to pewien znamienity mieszkaniec Putney, M. C. O’Crook, popularny mim, jak powiedziałem...

Uznając, że poeta wpadł znowu w trans mamrotania do siebie samego, Elryk i Róża przestali zwracać nań uwagę, machając w kierunku najbliższej platformy. W luce pomiędzy skórzanymi fartuchami pokazał się mężczyzna w zielonych aksamitach, ze złotym pierścieniem w uchu i podobnymi ozdobami wokół szyi i nadgarstków, a nawet ze złotym łańcuchem wokół bioder. Zmierzył ich uważnie czarnymi oczami, krótko potrząsnął głową i wycofał się za zasłony. Wheldrake chciał podążyć za nim, ale wstrzymał się.

— Ciekawe, jakie to względy zaważyły na jego decyzji?

— Spróbujmy to ustalić — powiedziała Róża, zgarniając włosy z twarzy i machając już w kierunku następnej platformy, gdzie pokazała się jakaś kobieta w czerwonej czapeczce, spojrzała tylko na przybyszy bez zaciekawienia i zniknęła. Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie. Jakiś gość w malowanym skórzanym przyodziewku i brązowym hełmie wykazał więcej zainteresowania ich końmi niż samym jeźdźcami, ale ostatecznie odprawił ich gestem kciuka. Elryk zaczął mrużyć pod nosem, że dość ma tych barbarzyńców i chyba zaraz poszuka jakiegoś innego sposobu, by wypełnić swe zadanie.

Następna wioska wydelegowała starego Cygana w przepasce na głowie, wyszywanym kubraku i czarnych portkach ściśniętych u dołu białymi pończochami.

— Koni potrzebujemy — powiedział. — Ale wy wyglądacie mi coś na intelektualistów. Nie trzeba nam kłopotów. Żegnam was.

— Widzę, że nie znajdzie tu uznania ani nasza prezenca, ani intelekt — warknął Wheldrake. — Co innego nasze konie, chociaż i to mizernie.

— Spokojnie, panie Wheldrake — skrzywiła się Róża. — Musimy jednak odszukać te siostry. Można przypuszczać, że wioska, które je przyjęła, może za-

interesować się również i nami.

Może nie była to logika najwyższej próby, ale zawsze coś, szczególnie przy braku lepszych pomysłów.

Z podobną odprawą spotkali się jeszcze w pięciu następnych wioskach, aż w końcu trafili na osadę mniejszą nieco od pozostałych i jakby lepiej utrzymaną, gdzie wyszedł im na spotkanie mężczyzna wychudzony wprawdzie, ale za to obdarzony parą pogodnych, błękitnych oczu. Starannie dobrany ubiór sugerował, iż ceni się tu doczesne przyjemności i komfort.

— Dobry wieczór, dobrzy ludzie — powiedział głosem melodyjnym, z lekka afektowanym. — Jestem Amarine Goodool. Czy macie nam coś ciekawego do zaoferowania? Nie jesteście przypadkiem artystami? A może przynajmniej gawędziarzami? Lub też macie za sobą życie godne uwagi? Jak widzicie, nieco nudziemy się tu, w Trollon.

— Jestem Wheldrake, poeta. — Kogucik wystąpił naprzód nie zwracając przy tym zupełnie uwagi na kompanów. — Pisałem już dla królów, królowych, a także i dla ludu. Publikowałem w niejednej epoce i pod niejedną postacią zawsze tak samo zdobywałem sławę wierszopisa. Znam na tyle dobrze metrykę, że zazdrozczą mi umiejętności i równi mnie, i ode mnie lepsi. Posiadam również dar łatwości wersyfikacji. *W wolno kroczącej elegancji Trollon, mieszka niejaki Amarine Goodool, znany ze stroju i dowcipu, zadający wiecznie szyku. Dla przyjaciół całej kupy skarb bezcenny, tak i nie zbili mu jeszcze...*

— Mnie zaś zwą Róża. Wędruję poszukując zemsty. W dotychczasowych podróżach trafiałam do niejednego wymiaru.

— Aha! — powiedział Amarine Goodool. — Wielka fala was niosła! Pokonywaliście mur między wymiarami! Niewidzialne granice multiwersum! A ty, panie? Co, bladolicy przyjacielu? Cóż takiego potrafisz?

— W moim rodzinnym miasteczku, cichym i sennym, mam reputację kuglarza i filozofa — odparł spokojnie Elryk.

— No, co, sir, ale przecież nie byłbyś częścią takiej kompanii, gdybyś był tylko kuglarzem i filozofem. Czy twoja filozofia nosi w sobie coś szczególnego?

— Powiedziałbym, że jest dość niekonwencjonalna.

— Tak czy inaczej, sir, mniejsza z tym. Macie konie. Zapraszam do środka. Witajcie w Trollon. Chyba wszyscy odnajdziecie tu bratnie dusze. Mieszkańcy Trollon uchodzą za nieco dziwny ludek! — zaśmiał się pogodnie.

Poprowadził ich wokół krawędzi platformy ku wnętrzu tak mrocznemu, że w mdłym blasku lamp widać było jedynie kształty sugerujące, iż znaleźli się w wielkiej stajni, której długie przegrody niknęły w oddali. Elryk wyczuł woń koni i ludzkiego potu. Gdy minęli centralną nawę, w dole ukazały się błyszczące grzbiety mężczyzn, kobiet i wyrostków wpierających się w drągi i cał po calu pchających cały pojazd. Gdzie indziej jeszcze pracowały ciężko kopytami konie ciągnące liny przymocowane do belek u stropu.

— Zostawcie wierzchowce temu chłopakowi — powiedział Amarine Goodol, wskazując na obszarpanego młodzieńca, który niezwłocznie wyciągnął dłoń po monetę i uśmiechnął się radośnie, zauważając nominal tego, co otrzymał. — Da wam pokwitowanie i tak dalej. Dobrze wam tu będzie przynajmniej przez kilka sezonów, a jak się uda, to może nawet zostanieie na dobre, jak ja. Oczywiście — obniżył głos wstępując na drewniane schody — mamy tu wszyscy też pewne obowiązki i zasady, których trzeba przestrzegać.

Długie, spiralne schody doprowadziły ich na samą górę platformy. Wyszli na wąską uliczkę. Ludzie wyglądali obojętnie z okien, rozmawiali. Widok był całkiem zwyczajny i jakże kontrastujący z tym, co działo się w dole.

— Czy ci ludzie pod nami, to niewolnicy? — zaciekał się Wheldrake.

— Niewolnicy?! Skądże! Wszyscy są wolnymi Cyganami, jak ja sam. Wolno im wędrować drogami, które biegną przez świat, oddychać powietrzem swobody. Są kolejną zmianą przy urządzeniach marszowych. Większość z nas spędza tam kawał swego życia. To obywatelski obowiązek, sir.

— A jeśli ktoś nie ma ochoty go wypełniać? — spytał cicho Elryk.

— Ach, widzę panie, że naprawdę jesteś filozofem. Nie zastanawiałem się nad tym, ale znajdują się w Trollon i tacy, którzy z przyjemnością podyskutują z tobą o tak abstrakcyjnych ideach. — Poklepał Elryka przyjaźnie po ramieniu. — Myślę, że jeden z moich przyjaciół chętnie pana pozna.

— Dostatnie to miejsce, ten wasz Trollon. — Poprzez przerwy w zabudowie Róża spojrzała na inne wioski wokoło.

— Cóż, staramy się zachować pewien standard życia, pani. Zajmę się teraz waszymi kwitami.

— Ale my nie mamy zamiaru sprzedawać naszych koni — stwierdził Elryk. — Zamierzamy ruszyć w dalszą drogę i to jak się da najszybciej.

— I ruszycie, panie. Co jak co, ale wędrowkę wszyscy tu mają we krwi. Ale na razie musimy zaprzęgnąć wasze konie do pracy. Robimy tak, bo w przeciwnym razie, sir — zachichotał — daleko byśmy nie zajechali, nieprawdaż?

Róża ponownie rzuciła Elrykowi uspokajające spojrzenie, ten jednak był coraz bardziej niecierpliwy. Nie potrafił zapomnieć o żądaniu ojca i groźbie wiszącej wciąż nad nimi oboma.

— Z miłą chęcią skorzystamy z waszej gościnności — oznajmiła dyplomatycznie Róża. — Czy nikt prócz nas nie zawitał w ostatnich dniach do Trollon?

— Jedziecie śladem waszych przyjaciół?

— Może trzy siostry? — podpytał Wheldrake.

— Trzy siostry? — Mężczyzna potrząsnął głową. — Wiedziałbym, gdyby się tu zjawily. Nie, sir. Ale każę rozpytać w sąsiednich wioskach. Jeśli jesteście głodni, to z radością was skredytuje. Mamy tu kilka wspaniałych restauracji.

Było widać, że Trollon nie cierpi biedy. Świeżo odmalowane, przeszkłone, z nieprawdopodobnie wręcz czystymi ulicami.



— Wygląda na to, że wszelką nędzę i cierpienie usuwa się tu z widoku — wyszeptał Wheldrake. — Szczęśliwy będę, mogąc stąd odjechać, książę.

— To ostatnie może okazać się nieco trudne — mruknęła Róża cicho, by gospodarz jej nie usłyszał. — Kto wie, czy nie zamierzają zrobić z nas niewolników na podobieństwo tych nieszczęsnych istot na dole.

— Jedno wiem — powiedział Elryk — a to tyle, że nie zamierzają od razu zapędzić nas do roboty. Ale bez wątpienia mają jakieś plany co do naszych koni, a pewnie i nas samych. Nie zamierzam zostawać tu ani chwilę dłużej, niż trzeba na zasięgnięcie informacji. Nie zbywa mi na czasie. — Z wolna wracała mu jego dawna arogancja i niecierpliwość.

Próbował je wyciszyć, ostatecznie to one właśnie odmieniły tragicznie jego życie. Nie cierpiał balastu swej krwi szlacheckiej, czarów, uzależnienia od runicznego miecza czy leków. Gdy Amarine Goodool przyprowadził ich na wioskowy rynek (pełen sklepów i zajazdów, przy czym wszystkie budynki były bardzo stare), gdzie czekał na nich komitet powitalny, Elryk był już spokojniejszy, mniej przy tym wylewny, świadom kłamstw, hipokryzji i oszustw, z którymi przyjdzie mu się zaraz zetknąć. Uśmiechał się wprawdzie, ale nie kryła się za tym grymasem żadna wesołość.

— Witamy, witamy — zakrzyknął gość w zieleni z małą, spiczastą bródką i w kapeluszu tak okazałym, jak uniesiony na chwilę pokrowiec skrywający normalnie nie tylko głowę osobnika, ale i z pół jego postaci. — W imieniu mędłców Tłollon i mieszczan jego, witamy was z eee uuu ładością. Lub też, płostą mową rzecz wyłażając, miejcie nas wszystkich od tej chwili za blaci swe i siostły. Nazywam się Filigwip Nant i łożysełuję tu przedstawienie teatralne... — Gdy ciągnął tak dalej mowę powitalną, przedstawiając po kolei całą grupę ludzi o dziwnie brzmiących imionach, dziwnej mowie i osobliwej cerze, Wheldrake zdawał sobie coraz lepiej coś przypominać...

— Zupełnie, jakbym widział Stowarzyszenie Miłośników Sztuk Pięknych w Putney — mruknął. — Albo gorzej jeszcze, Kółko Poetyckie z Surbiton. Zdarzyło mi się, niezbyt chętnie zresztą, spotkać i jednych, i drugich. I nie tylko ich... Najgorszy, jak pamiętam, był tam niejaki Ilkey... — I mistrz zapadł w ponurą zadumę, a jego uśmiech stał się równie wymuszony, jak grymas księcia. W końcu jednak postanowił otworzyć dziób pomiędzy prowincjonalnymi wierszokletami i zaczął deklamować coś tak grafomańskiego, że z miejsca zaroilo się wokół niego od pstrokato przystrojonych i wyperfumowanych wielbicieli. Zdobył wszystkich przebojem.

Część jego blasku spłynęła również automatycznie na Różę i Elryka. Tak, wioska była bogata i łaknęła wszystkich nowości.

— Wiecie, jesteście tu w Trollon dość kosmopolityczni. Podobnie jak większość wiosek *diddikojim* (cha, cha), tak i ta zamieszkała jest głównie przez przyszyszy z zewnątrz. Ja też nie jestem stąd. Urodziłem się w innym wymiarze, w He-

eshigrowinaaz dokładnie. Znacie może to miejsce?

Ubrana w misterną perukę kobieta w średnim wieku złapała Elryka za ramię.

— Jestem Parapha Foz. Mój mąż to Barraban Foz, rzecz jasna. Czy to nie nudne?

— Mam wrażenie — powiedziała Róża, również otoczona wianuszkami entuzjastów jej urody — że oto spotkała nas najcięższa próba ze wszystkich przeszkód, jaki trafić mogą się w podróży. . .

Elrykowi wydało się, że dziewczyna jest jednak rozbawiona, zarówno sytuacją jak i, poniekąd, wyrazem twarzy albinosa.

Z pełną wdzięku ironią Elryk podjął wyzwanie. Miejscowi zaprosili ich do zabawy i skłonili do uczestnictwa w całym szeregu rytuałów, które Elrykowi były zupełnie obce, mistrz Wheldrake czuł się jednak w tym wszystkim wyraźnie jak ryba w wodzie. Róża też zdawała się nieco otrzaskana z podobnymi jasełkami.

Jedzono, wygłaszano mowy, odgrywano przedstawienia, obchodzono procesję najstarsze i najciekawsze miejsca wioski, informowano obszernie o jej historii i architekturze, kazano podziwiać wszystkie odrestaurowane wspaniałe cuda tak długo, aż pamiętający wciąż o głównym celu wyprawy Elryk zapragnął jakiegoś mniej męczącego towarzystwa, jak na przykład bestie Chaosu czy zrodzeni w szaleństwie herosi. Oni przynajmniej nie dopominali się co chwilę, by książkę wyciągnął i pokazał im miecz, a przede wszystkim, siedzieli zwykle cicho i nie zalewali go tak beznadziejnym, wrzaskliwym potokiem wymowy, w którym odnaleźć można było w zastraszających ilościach i ignorancję, i uprzedzenia, snobizm i gotowość do cytowania wszelkich zasłyszanych czy przeczytanych opinii. Ci ludzie tutaj wierzyli naprawdę, że zjedli wszystkie rozumy i że są i na zawsze pozostaną panami sytuacji i swych własnych żywotów. . .

Chwilami Elryk wracał myślą do tych nieszczęśników na dole, którym pozostało napinać udreżone mięśnie i pchać całą tę wioskę w nieskończoną podróż dookoła świata.

Nieprzywykły do wyciągania z delikwentów informacji innym sposobem niż za pomocą tortur, to zadanie pozostawił książkę Róży. Ostatecznie, gdy czas jakiś potem zostawiono ich samych, bez Wheldrake'a wszakże, gdyż poetę zaproszono na jakiś uroczysty obiad, dziewczyna wyglądała na wyraźnie usatysfakcjonowaną. Dostali przylegające pokoje w gospodzie, która, jak im powiedziano, była najlepszą nie tylko w tej wiosce, ale we wszystkich osadach drugiej rangi. Zapowiedziano też, że następnego dnia zostaną oprowadzeni po nadających się do zasiedlenia mieszkaniach.

— Mam wrażenie, że nie najgorzej przetrwaliśmy pierwszy dzień — powiedziała, siadając na skrzyni, by zdjąć buty. — Okazaliśmy się dla nich osobistościami na tyle interesującymi, że na razie darowali nam życie, obdarzyli względną wolnością i, co najważniejsze, pozwolili zachować broń. . .

— Zatem im nie dowierzasz? — Albinos spojrział na Różę z zaciekawieniem.

Dziewczyna potrząsnęła rudo-złotą czupryną i zdjęła kaftan, pod którym miała ciemnożółtą koszulę. — Nigdy jeszcze nie spotkałem takich ludzi.

— Jeśli pominąć fakt, że jest to zbieranina wywodząca się ze wszystkich zakątków multiwersum, to przypominają mi do złudzenia pewne towarzystwo znane mi niegdyś i z ulgą porzucone. Podobnie jak Wheldrake, miałam nadzieję nie trafić już nigdy więcej na podobne typy. Trzy siostry dotarły do Państwa Cygańskiego niecały tydzień przed nami. Kobieta, która mi to powiedziała, słyszała o nich od znajomej z sąsiedniej wioski. Zostały jednak przyjęte do osady o wyższej randze.

— A jak je tam znajdziemy? — Dopiero teraz, słysząc tę przynoszącą ulgę wiadomość, Elryk pojął, jak bardzo był napięty.

— Nie będzie to łatwe. Nie mamy zaproszenia do tamtej wioski. Tutejsi zwykli najpierw długo obserwować gości, nim zgodzą się skierować takie zaproszenie. Dowiedziałam się niemniej, że Gaynor też tu jest, chociaż zszedł wszystkim z oczu ledwie się pojawił i nikt nie ma pojęcia, gdzie się teraz podziwia.

— Ale nie opuścił pochodu?

— To chyba niełatwe, nawet dla Gaynora — odparła z nagłą goryczą.

— Zakazane?

— Nic nie jest zakazane — uśmiechnęła się sardonicznie — w Państwie Cygańskim. Chyba — dodała — że komuś marzą się zmiany.

— No to czemu zabili chłopca?

— Twierdzą, że nie wiedzą nic na ten temat. Sugerowali, że chyba mi się zdawało, i że najpewniej ktoś posłał po prostu chłopaka, by przetrząsnął śmieci, bo coś się w nich czaiło. Krótko mówiąc, nikt nikogo nie zabił.

— Ale on wyraźnie próbował uciec. Oboje to widzieliśmy. Pozostaje pytanie, przed czym uciekał?

— Oni nam tego nie powiedzą, książę. Wygląda na to, że w ramach dobrych manier nie porusza się tutaj takich tematów. Podobnie zresztą, jak w wielu społecznościach, których porządek opiera się zakazach typu tabu. Swoją drogą, jakie to zagrożenia ukształtowały ich właśnie w ten sposób?

— Nad tym chwilowo nie mam ochoty się zastanawiać, pani — powiedział Elryk zirytowany domysłami Róży. Po tak długim sączeniu się bełkotu w uszy pragnął nieco spokoju. — Według mnie powinniśmy opuścić Trollon i skierować się ku czołówce pochodu, by poszukać tej wioski, która przyjęła trzy siostry. Czy wiadomo, jak się nazywa?

— Duntrollin. Dziwne, że w ogóle je tam przyjęli. Z tego, co zrozumiałam, to jakaś osada typu zakonu rycerskiego. Bronią drogi i podróży. W Państwie Cygańskim są tysiące takich kantonów, a każdy pełni jakąś rolę wobec pozostałych. Można by pomyśleć, że realizują utopię demokracji.

— Póki co, nie chodzimy jeszcze w kieracie — mruknął Elryk, nieco wytrącony z równowagi i świadom, że nawet teraz, gdy on szykuje się do snu, wielka

platforma porusza się krok po kroku za sprawą umęczonych mężczyzn, kobiet i dzieci.

Spał źle, chociaż nie męczyła go żadna ze znanych z dawna zmór. Rano wdzięczny był nawet za to trochę miłosierdzia.

Śniadanie jedzono tu wspólnie w dużej sali, a przez cały czas w polu widzenia nie pojawił się nikt z pospólstwa, zaś młodzi ludzie, którzy podawali do stołu, zdawali się traktować pracę jako zabawę, ciesząc się nią jak dzieci. Trójka przyjaciół miała jednak wreszcie sposobność, by podzielić się spostrzeżeniami.

— Nigdy się nie zatrzymują — powiedział Wheldrake. — Sama myśl o przystąpieniu jest dla nich czymś niewyobrażalnym. Wierzą, że ustanie w marszu musiałoby z miejsca spowodować ich zagładę. Tak i zatem ich *hoi polloi* pchają platformy niezależnie od okoliczności, z pomocą koni albo i bez niej. Zaś ten pochód pieszych wokoło, to zrujnowani dłużnicy, wagabundzi, pomniejsi przestępcy lub malkontenci strąceni na drogę. W sumie niegroźny, tolerowany element. Mieszkańcy wioski obawiają się najbardziej zepchnięcia na sam dół, pomiędzy poruszających platformę, jako że to odebrałoby im wysoki status i pozbawiło większości widoków na jego odzyskanie. Wszystkie ich zasady etyczne i prawa opierają się na zasadzie nieustannego pozostawania w ruchu. Ten chłopiec najpewniej chciał po prostu się zatrzymać, a za to jest tutaj tylko jedna kara. Ruszaj lub umieraj, zawsze do przodu. . . Mieszkałem w Albionie królowej Gloriany, pamiętam Anglię wiktoriańską i elżbietańską, ale z tak fascynującą i oryginalną hipokryzją nigdy jeszcze się nie zetknąłem.

— I nie ma wyjątków? Wszyscy muszą podążać nieustannie naprzód? — spytała Róża.

— Nie ma wyjątków. — Wheldrake nałożył sobie mięsa i sera. — Muszę przyznać, że mają tu wspaniałą kuchnię. To się ceni, bo gdybyście tak, na przykład, zamieszkali w Ripon nie cierpiąc równocześnie zapiekane z wody i mąki, to pozostałoby wam głodować. — Nalał sobie jasnego piwa. — Co do sióstr zaś, to chyba Gaynor już je znalazł. Teraz, jak wiem, potrzebne będzie nam zaproszenie do Duntrollin. Przy okazji, czemu właściwie nikt nie zażądał od was, byście oddali broń? Tutaj chyba nikt jej nie nosi.

— Nie muszą — powiedział Elryk, który też już się nad tym zastanawiał. — Są przekonani, że i tak ją dostaną, gdy zapagniemy odwlec zsyłkę na te ich galery jeszcze o sezon czy dwa. Zresztą, może i wcześniej zażądają jej jako zapłaty za gościnę, jedzenie czy cokolwiek jeszcze uznają tu za synonim wolności. . . — Wbił oczy w przestrzeń i przywołując jakieś niewesołe wspomnienia zajął się przeżuwaniami chleba.

Wheldrake mruknął ponurym głosem:

*Tak i dzięki nieprawości kwitnie państwo na bezprawiu; Pobożnością kneblowany dawny Albion patrzy — milczy...*

— Czy nie istnieje w świecie żaden luksus, którego okupić by nie musiała mizéria innych? — zadumał się. — Czy istniał kiedykolwiek świat, w którym wszyscy byliby równi?

— Ależ tak! — powiedziała ochoczo Róża. — Mój własny! — Ale zaraz zawałała się, zastanowiła nieco nad swoją reakcją i w milczeniu wróciła do owsianki, pozostawiając w pozostałych niejakiem poczucie niedosytu informacji.

— A właściwie, to czemu mają odwozić nas od opuszczenia tego raj? — spytał w końcu Elryk. — Jak mogą to uzasadniać?

— Argumentów znajdzie się cała masa, przyjacielu, to pewne. Oczywiście będzie to czysta sofistyka, okrągłe zdania noszące pozory racjonalności i praworządności. Podróżując po wielu światach słyszy się tego całą masę. Skarbnica metafor pozostaje niewyczerpana.

— Najpewniej, mistrzu, ale czy wszyscy nie usiłujemy zracjonalizować w ten sposób swego istnienia, nadać sensu swemu życiu?

— Zaprawdę, sir. To całkiem możliwe.

W końcu Róża przypomniała im *sotto voce*, że nie przybyli tu jako detektywi ni jako naukowcy w pogoni za abstraktem, ale że mają konkretną misję do spełnienia i że wciąż nie dotarli jeszcze do trzech sióstr, posiadaczek pewnych obdarzonych szczególną mocą przedmiotów, a w każdym razie wiedzących, gdzie owe przedmioty się znajdują. Świadom swych ciagotek filozofa Wheldrake przeprosił ją. Zanim jednak zdążyli zająć się ewakuacją z Trollon i poszukianiem drogi wniknięcia do Duntrollin, drzwi otwały się i w progu stanęła okazała postać w bufiastych jedwabiach i koronkach i w imponującej peruce. Mężczyzna miał ponadto twarz wymalowaną niczym konkubina z Jharkor.

— Wybaczcie, że przeszkadzam wam śniadać. Nazywam się Yailadez Rench, do usług. Przybyłem, by zaproponować wam lokum do wyboru, byście jak najszybciej mogli stopić się z naszą społecznością. Rozumiem, że stać was na kwatery o odpowiednim standardzie?

Nie mając chwilowo wyboru, a nie chcąc wzbudzać podejrzeń tubylców, podążyli potulnie za Vailadezem Renchem przez dobrze utrzymane i aż nazbyt czyste uliczki tego miasteczka jak z obrazka. Cała karawana jechała nieprzerwanie, choć niezmiennie powoli po ubijanej od wieków drodze. Zawsze do przodu, nieustannie, raz za razem wracając do punktu wyjścia...

Pokazano im dom na skraju platformy, z widokiem na ściany sąsiednich wędrowców i rzeszę pieszych. Potem widzieli jeszcze mieszkania w starych domostwach, które przerobiono na mieszkalne z magazynów czy sklepów. W końcu Vailadez Rench, wciąż tryskający wymową i niezmiennie zachwalający wartość

i zalety kolejnych mieszkań, przywiódł ich do niewielkiego domku z miniaturowym ogródkiem i ścianami obrosniętymi pnącymi różami herbacianymi i wspinałym, purpurowozłotym powojem. Czyste okna obramowane były firankami, pachniało słodko kwiatami i ziołami. Róża aż klasnęła w ręce, zachwycona widokiem, chociaż dach domu miał się wyraźnie ku upadkowi i poczerniały aż był ze starości. Coś jednak tęskniło w dziewczynie za pięknem, nawet w tak prostej postaci.

— To piękny dom — powiedziała. — Może starczyłoby w nim miejsca dla nas wszystkich?

— O tak, mieszka tu pewna rodzina, jak widzicie, i to całkiem liczna, spotkała ich jednak tragedia i muszą się wynieść. — Vailadez Rench westchnął, uśmiechnął się i pogroził Róży palcem. — Wybrała pani najdroższy ze wszystkich przybytków! Masz dobry gust, moja pani.

Wheldrake, który nabrał w międzyczasie obrzydzenia do tego paladyna wszelkiej pomyślności, rzucił kilka kąśliwych uwag zignorowanych równo przez wszystkich, chociaż z rozmaitych powodów.

— Czy to one tak tu pachną? — spytał, pociągając nosem i wskazując na kwitnący krzak piwonii.

Vailadez Rench zastukał w drzwi, których nie udało mu się otworzyć.

— Dostali już swoje papiery i powinni byli odejść. To była prawdziwa katastrofa... Cóż, winniśmy pamiętać o miłosierdziu, skoro, gwiazdom niech będą dzięki, nie nam było dane zejść na sam dół, do kieratu...

Drzwi otwarły się nagle, głośno i szeroko, i stanął w nich rozczochrany, wielkooki mężczyzna o czerwonej twarzy niemal równie wysoki, jak Elryk, z piórem w jednej dłoni i kałamarnicą w drugiej.

— Szanowny panie! Zaniechaj mnie, błagam cię! Właśnie piszę list do krewnego. Jestem niewątpliwie wypłacany, ale sam wiesz, jakie opóźnienie mają obecnie listy przesyłane pomiędzy wioskami. — Podrapał się ostrzem pióra w jasną czuprynę, aż strumyki ciemnozielonego atramentu pociekły mu po czole upodabniając go do dzikiego wojownika szykującego się na wojnę. Zaniepokojone, niebieskie oczy błędziły od twarzy do twarzy. — Mam wielu świetnych klientów, ale martwi nie płacą, jak wiesz, rachunków. Ani niezadowoleni. Jestem jasnowidzem, to moje powołanie. Moja matka jest jasnowidzem, moi bracia i siostry, a największym spośród nas jest mój syn, Koropith. Mój wuj Frett był sławny w całym państwie, a nawet poza nim. I my byliśmy sławni przed naszym upadkiem.

— Upadkiem, sir? — spytał Wheldrake, mocno zaciekawiony i nabierający szybko przekonania do osobnika. — Jakież długi?

— Dług, sir, którego cień ściga nas przez multiwersum. Niezmiennie i zawsze, tyle mogę powiedzieć. Zamierzaliśmy osiedlić się niegdyś w krainie, która należała do mej rodziny, gdy wypadliśmy z łask u króla. Salgarafat nazywał się ten kraj, w wymiarze na skraju uniwersum, zakątku z dawna zapomnianym przez

Wielkiego Ogrodnika, bo i czemu niby miałyby być inaczej? Ale śmierć nie jest już naszą winą. Zupełnie, sir. Jesteśmy przyjaciółmi Śmierci, ale nie Jej sługami. A król orzekł, że ściągnęliśmy plagę, przewidując jej nadejście, i zmuszono nas do ucieczki. Myślę, że tak naprawdę była to sprawa polityczna, ale naszej rodziny nie dopuszcza się nawet do narad pomniejszych władców, o najznamienitszych królach nie mówiąc, chociaż właśnie władcóm Światów Centralnych służymy, panie, całą rodziną, choć na swój sposób.

Przerwał, by zaczerpnąć oddechu i oparł poplamioną tuszem dłoń na prawym biodrze, lewą rękę, wciął z kałamarzem, przycisnął do piersi.

— Jestem wyflacalny — powtórzył. — Trzeba tylko poczekać na odpowiedź na mój list.

— Tak i dobrze, wrócimy zatem do sprawy, gdy odpowiedź nadejdzie. Znajdziemy cię wtedy, osiedlimy tu na nowo, może w jakimś innym domu. Ale na razie muszę ci przypomnieć, że twój byt opierał się na pewnych usługach świadczonych naszej społeczności przez twoją siostrę i twego wuja. A oni już tu nie mieszkają.

— Bo posłaliście ich do kieratu! — krzyknął zagrożony lokator. — Zesłaliście ich tam. Taka jest prawda!

— Nie jestem kompetentny, by wypowiadać się w tej kwestii. Ta tutaj nieruchomości potrzebna jest nowym użytkownikom. Oto oni. . .

— Nie — powiedziała Róża — nie w ten sposób. Nie chcę, by z mojego powodu ten człowiek i jego rodzina tracili dach nad głową!

— To sentymenty, tylko głupie sentymenty! — roześmiał się szydyczko Vailadez Rench. — Kochana pani, ta rodzina mieszka w domu, na który jej nie stać. Sprawa jest prosta, rzekłbym, naturalna. Ich na to nie stać, was tak. Takie jest życie. — To ostatnie było skierowane do mężczyzny z piórem. — Proszę nas wpuścić, sir, proszę nas wpuścić, zgodnie z pradawnym obyczajem, mamy prawo narzucić najem! — Odepchnął pechowego epistolografa i wciągnął trójkę przybyszów do ciemnego korytarza, z którego wiodły schody na górę. Z półpiętra śledziły ich jasne, okrągłe oczy, które mogłyby należeć do łasicy, ze schodów zaś zerkaty jeszcze jedne, pełne tłumionej złości. Weszli do obszernego, nie uporządkowanego pokoju pełnego zarzuconych papierami sponiewieranych mebli. Na wózk inwalidzkim z kości słoniowej i deszczulek siedziała tu drobna, przygarbiona postać. I znów tylko oczy zdawały się świadczyć, że jest to żywa istota, oczy czarne, świdrujące, chociaż pozbawione błysku inteligencji.

— Matko, naszli nas! — krzyknął gospodarz. — Och, sir, jak można być tak okrutnym wobec niedołęznej, starej kobiety! Ona nie chodzi, sir, to jak niby ma maszerować?

— To niech ją pchają, panie Fallogard! Potoczy się, jak my wszyscy. Naprzód, zawsze naprzód, ku lepszej przyszłości. Ku temu zdążamy, panie Fallogard, to nasz cel. — Vailadez Rench przystanął, by przyjrzeć się staruszce. — To właśnie

spaja nasze wielkie państwo.

— Czytałem gdzieś — mruknął Wheldrake, wchodząc nieco dalej do pokoju i przyglądając się wnętrzu, jakby naprawdę miał zamiar je zająć — że społeczeństwo zapatrzone w tradycję i chroniące ją za wszelką cenę, pozostanie rychło jedynie ze wspomnieniami przeszłości. Czemu nie zatrzymać by wioski, panie Rench, skoro ta starsza dama nie może iść?

— Być może w pańskim świecie uznaje się te obscenia za zabawne, ale tutaj jest to stwierdzenie wysoce niestosowne. — Vailadez Rench spojrział zezem na swój długi nos. Bocian pogardzający papugą. — Platforma musi zawsze pozostawać w ruchu. Państwo musi wędrować. Zawsze. Nie może być żadnych postojów na drodze Cyganów. Kto chciałby to zmienić, stanie się naszym wrogiem. Ci, którzy już tego próbowali, stali się szybko martwymi wrogami ku przestrodze wszystkich, a jest ich wielu, rojących sobie o zatrzymaniu Państwa Cygańskiego w marszu trwającym już od ponad tysiąca lat. Okrążamy świat po własnoręcznie wytyczonych drogach, pokonując przy tym i lądy, i morza. Wolnych drogach wolnego narodu cygańskiego!

— Mnie też uczono w szkole całych litanii, mających cnie uzasadniać błędy i szaleństwa władców mego kraju — powiedział Wheldrake, odwracając głowę. — Nie odczuwam potrzeby dyskusji z kimś takim, jak ty, kto co chwilę musi przywoływać wyuczoną formułkę, jak dzikus odczyniający zaklęcia i broniący się przed nieznanym. Myślę, że znam ten mechanizm całkiem dobrze, ostatecznie jest dość powszechny pośród śmiertelników. Istnieją miriady różnych szczepów, a każdy ma swoje niepodważalne prawdy i zabijać jest gotów, by je obronić.

— Brawo, sir! — krzyknął Fallogard Phatt, kłaniając się z rozmachem (i chlapiąc przy tym atramentem na matkę, książki i papiery). — Ale nie daj się ponieść sentymentom, ostrzegam cię. To mój problem i mojej rodziny i chociaż podzielimy twe poglądy, tutaj są one zakazane, podobnie jak w wielu jeszcze innych światach. Nie wypowiadaj się tak szczerze, sir, bo inaczej dołączysz do mego wuja i mej siostry na dole w wykonywaniu obywatelskiego obowiązku, aż ogarnie cię zapomnienie.

— Heretyk! Nie masz prawa do tak wspaniałej posiadłości! — pluł i syczał Vailadez Rench pełen obrzydzenia, z twarzą czerwoną od gniewu niczym owoc z rajskiego ogrodu, który nie dość, że dojrzał błyskawicznie, to jeszcze zaczął gadać. — Trzeba wezwać ekipę eksmitującą. Nie będzie to przyjemne ani dla Fallogarda Phatta, ani dla jego rodziny!

— I co mi zostaje — jęknął Phatt, nagle posmutniały, jakby od początku wiedział, że nic nie wskóra. — Mam z tuzin możliwych przyszłości, ale którą wybrać? — Zamknął oczy, ściągnięta twarz wyrażała cierpienie, jakby i jemu dane było zaznać tortury smoczego jadu. Nagle krzyknął z rozpaczą, rozpaczą człowieka tracącego wiarę w Sprawiedliwość i postrzegającego ją jako chimere, zaś prawo jako zbiór szarad. — Tuzin przyszłości, a żadna godna, a nigdzie zrozumienia ze



strony prostych ludzi! Gdzie jest ten Tanelorn, ten raj domniemany!

Ale Elryk, jedyna zapewne osoba w całym życiu Phatta, mogąca udzielić mu odpowiedzi na to metafizyczne pytanie, nie odezwał się ani słowem, bowiem takie złożył w Tanelorn ślubowanie w zamian za ochronę i spokój. Tylko ci, którzy szczerze poszukują spokoju, mogą odnaleźć Tanelorn, bowiem sekret Tanelorn nosi w sobie każdy śmiertelnik. Miasto owo istnieje wszędzie tam, gdzie śmiertelnicy ze wspólną całej gromadzie determinacją postanawiają służyć dobru powszechnemu tworząc tyle rajskich zakątków, ile dusz liczy gromada. . .

— Słyszałem — powiedział jednak w końcu — że trzeba szukać go w sobie.

Fallogard Phatt odłożył pióro i kałamarz, wziął węzełek, w którym miał już najwyraźniej spakowane najpotrzebniejsze drobiazgi, i spuściwszy głowę wypchnął wózek z matką z pokoju, wzywając równocześnie pozostałych członków rodziny.

Vailadez Rench popatrzył za nimi, po czym pociągnął nosem i z satysfakcją rozejrzał się w pokoju.

— Wystarczy odmalować, a zaraz zrobi się tu jaśniej — zapewnił nowych lokatorów. — Tymi gratami też się zajmiemy, znajdziemy dla nich jakiś użytek. Chyba zgodzicie się ze mną, że to wielka ulga, pozbyć się na dobre rodziny Phattów, a szczególnie tej hipochondryczki!

Elrykowi coraz trudniej było się opanować, i gdyby nie ostrzegawcze spojrzenia Róży jak i skrywające gniew skrzywienie oblicza Wheldrake'a, powiedziałby głośno, co o tym wszystkim myśli. Tymczasem Róża obejrzała dom, zgodziła się wziąć go w dzierżawę i odebrała klucze z ruchliwych palców tego sułtana sofistyki, po czym odprawiła go szybko. Zaraz potem cała trójka ruszyła zważym krokiem w ślad za podążającą do najbliższego zejścia z platformy procesją zadłużenców.

Elryk widział, jak Róża dopada wreszcie Fallogarda Phatta, kładzie pocieszająco dłoń na ramieniu dorosłej dziewczyny, szepce coś szybko do ucha matce, mierzwi włosy chłopcu i ostatecznie zawraca ich wszystkich z powrotem do domu.

— Będą mieszkać tu dalej z nami, choćby na nasz koszt. Takie postawienie sprawy nie może nijak zagrozić prawom ni bezpieczeństwu Państwa Cygańskiego.

Książę bez entuzjazmu zmierzył gromadkę wzrokiem. Nie miał najmniejszej ochoty obarczać się rodziną, szczególnie taką, nieudolną i po części niedołązną. Spojrzał na ciemną dziewczynę o rozkwitającej dopiero niewątpliwej urodzie i wyrazie twarzy sygnalizującym głęboką pogardę dla otaczającej osobę rzeczywistości i skłonność do drażliwości. Obok siedł około dziesięcioletni chłopiec, to jego właśnie widział Elryk na schodach, oczy miał czarne i czujne jak u łasicy, twarz podłużną, szczupłą oraz jasne włosy zwijające się w ciasne kędziory. Ruchliwe palce i żywa mimika jeszcze bardziej upodabniały go do wężącego gryzonia. Gdy zaś się uśmiechnął, chcąc wyrazić Róży wdzięczność za taki gest,

ukazały się drobne, ostre zęby.

— Ujrysz dzień zwieńczenia swej wędrówki, pani — powiedział. — Życie twoje odmieni się jeszcze, chyba że Chaos uczyni tę prognozę nieaktualną. Jest taka droga pomiędzy światami, która wiedzie do miejsca lepszego niż to, które przemierzamy. Musisz wstąpić na Szlak Nieskończoności, pani, patrząc jego kresu, a wówczas znajdziesz rozwiązanie dla twych problemów.

Zamiast zdumieć się lub przestraszyć, słysząc te słowa Róża uśmiechnęła się tylko i pochyliła, by go ucałować.

— Wszyscy jesteście jasnowidzami?

— To specjalność rodziny Phattów — odparł Fallogard z niejaką godnością. — Zawsze potrafiliśmy czytać z kart, przenikać mgłę kryształów, przewidywać przyszłość, na ile to jest możliwe, oczywiście. Dlatego też nie byliśmy szczególnie strapieni, gdy wyszło, że musimy przyłączyć się do Cyganów. Okazało się jednak, że oni nie znają prawdziwego jasnowidzenia, ograniczają się jedynie do sztuczek, które dobre są, gdy trzeba rozbawić gawieź na jarmarku czy wpłynąć na czyjeś zachowanie. Niegdyś ich jasnowidze byli wzorem dla wszystkich, ale Cyganie skarleli w tym bezsensownym marszu dookoła świata i prawdziwe talenty zaginęły. Zostały poświęcone dla obecnego bezpieczeństwa i skostnienia. . . W końcu doszło i do tego, że i nasze umiejętności stały się dla nich bezużyteczne. . . — Westchnął i podrapał się raptownie tu i ówdzie, poprawiając guziki, pętelki i tasiemki, jakby dopiero teraz zorientował się w nieładzie swego ubioru. — I co mamy uczynić? Spieszeni, szybko trafimy do kieratu na samym dole jakiejś platformy.

— Możemy połączyć nasze siły — powiedziała Róża, a Elryk spojrział na nią zdumiony. — Dość mamy siły, by pomóc wam w walce z niesprawiedliwością Państwa Cygańskiego. Wy zaś jesteście w stanie ułatwić nam nasze poszukiwania trzech sióstr. Być może jest teraz z nimi ktoś jeszcze, mężczyzna w zbroi, rycerz nigdy nie ukazujący oblicza.

— W tej sprawie musimy zwrócić się do mojej matki — powiedział obojętnie Fallogard, rozważywszy przez chwilę słowa Róży. — I do mojej siostrzenicy. Charion odziedziczyła po babce wszystkie jej zdolności, chociaż musi się jeszcze sporo nauczyć. . .

Dziewczyna spojrzała nań ostro, jednak bez złości. Wyraźnie pochlebiło jej takie porównanie.

— Jednak najlepszy z nas wszystkich jest mój syn, Koropith — stwierdził Fallogard z dumą, wskazując na chłopca, który wpatrywał się w ojca z lekkim rozbawieniem, wyrozumiałością i wyraźną sympatią. — Nigdy żaden Phatt nie został jeszcze obdarowany typowymi dla nas zdolnościami w takim stopniu, jak on. Jego umysł jest wprost niezwykły!

— A zatem trzeba nam szybko dojść do porozumienia — powiedziała Róża. — Nadeszła pora, by poszukać tej szczególnej drogi pomiędzy światami. Czy

będziecie mogli nas tam poprowadzić, jeśli was uwolnimy?

— Wiem tyle, że jesteśmy w stanie to uczynić — odparł Fallogard Phatt. — Z chęcią zrobimy, co tylko w naszej mocy. Chłopiec zna takie ścieżki przez wy-  
miary, o których nawet plotki nie napomykają. Dziewczyna zaś potrafi wyszu-  
kiwać konkretne plany multiwersum. To dziecko jest jak czystej krwi ogar, jak  
terier, jak spaniel...

Przerywając ten kynologiczny wywód, Wheldrake wyciągnął z jednej z we-  
wnętrznych kieszeni płaszczu jakąś książkę i uśmiechnął się radośnie.

— No proszę! Pamiętałem, że mam to gdzieś tutaj!

Spojrzeni na niego, oczekując uprzejmie dalszych wyjaśnień, poeta tymczasem  
sięgnął ponownie do kieszeni, dobywając całą garść otrzymanych najwyraźniej  
niedawno pieniędzy. Wcisnął je w dłonie zaskoczonego chłopca.

— Dalej, panie Koropith, idźże teraz ze swoim kuzynem na targ! Dam wam  
listę tego, co potrzebne. Urządzimy sobie wieczorem ucztę, by mieć siły stawić  
czoło nowym przygodom! Skoro znalazłem już panią Beeton — powiedział, wy-  
machując szkarłatną książeczką — to myślę, że macie u mnie taką kolację, jakiej  
od dwunastu miesięcy przynajmniej nie kosztowaliście!

## Rozdział 5

**Dyskusja z jasnowidzami o naturze multiwersum etc., etc.  
Dramatyczna ucieczka.**

Urozmaicona recytacją całkiem udanych sonetów wystawna uczta dobiegła końca i nawet Elrykowi udało się zapomnieć na parę chwil o oczekującym go w martwym mieście duchu ojca.

— Od wielu pokoleń żyjemy nie z czego innego, ale właśnie z wykorzystywania naszych zdolności — powiedział Fallogard po kilku czarkach wina.

Także jego stara matka nie odmówiła sobie napitku i chichotała teraz od czasu do czasu. Syn i siostrzenica poszli na górę, ale trudno było powiedzieć, czy śpią już grzecznie, czy też może przyczaili się w cieniu na schodach. Wheldrake napełnił ponownie puchar matki Phatta, Róża zaś rozsiadła się wygodnie w fotelu. Nie skosztowała ani trochę wina, zdecydowana nie mącić sobie myśli, wyraźnie zadowolona jednak ze swobodnej atmosfery. Obok niej Elryk upił nieco czarnogranatowego napoju i mocno pożałował, że trunek nie działa nań w najmniejszym stopniu. No tak, ale jeśli wcześniej kosztowało się smoczego jadu, to nawet mocny alkohol byłby teraz wobec księcia bezradny. . .

— Niewielu trafia się adeptów tego fachu — ciągnął Fallogard Phatt — którzy poznaliby chociaż cząstkę multiwersum i, nie chwając się, niewielu jest tak doświadczonych, jak rodzina Phattów. Moja matka, na ten przykład, zbadała przynajmniej dwa tysiące rozmaitych ścieżek pomiędzy pięcioma tysiącami mniej więcej wymiarów. Obecnie jej instynkty są już nieco przytłumione, ale nasza siostrzenica czyni ciągle postępy. Ma ten sam talent.

— To znaczy, że trafiliście tu z własnego wyboru? — spytała nagle Róża, jakby sama się wcześniej nad tym zastanawiała.

Fallogard roześmiał się tak głośno i serdecznie, że mało nie potracił wszystkich guzików przy odzieniu, włosy mu się poczochnęły a twarz zarumieniła.

— No nie, szanowna pani, dobry żart. Mało kto przybywa tu z rozmysłem, pragnąc przyłączyć się do Cyganów. Z drugiej jednak strony, to wędrowne zgromadzenie wytwarza szczególny rodzaj pola, coś w rodzaju psychicznego przyciągania, wabiącego tych, którzy w przeciwnym przypadku znaleźliby się w Ot-

chłani. Oddziaływanie ma zresztą zarówno psychiczny jak i materialny wymiar, ten świat można nazwać czymś na kształt fałszywej otchłani, pseudo-otchłani. To świat zagubionych dusz.

— Zagubionych dusz? — spytał nagle ożywiony Elryk. — Dokładnie tak?

— No i ciał, rzecz jasna. Przynajmniej po części. — Fallogard machnął ręką w pijackim geście, ale przerwał go w pół, jakby coś nagle doń dotarło i dziwnie trzeźwo spojrzął w oczy albinosa. — Tak, sir — powiedział nieco ciszej. — Zagubionych dusz. Dokładnie tak.

Przez moment Elrykowi zdało się, że wyczuwa w gospodarzu szczególną życzliwość, wyczuwa w nim istotę opiekuńczą, jednak wrażenie szybko uleciało, a Phatt zwrócił się ku Wheldrake'owi i obaj pogrążyli się w żywej rozmowie o jakichś abstraktach. Róża w zamyśleniu spoglądała to na Phatta, to na Elryka, a nawet na starszą panią, siedzącą z pucharem w obu dłoniach, potakującą i uśmiechającą się i ledwie chyba nadążającą za wątkiem konwersacji (o ile w ogóle ją śledziła), wciąż jednak na swój sposób czujną i przytomną.

— Trudno mi sobie wyobrazić — mówił Wheldrake — taką pustkę. Coś tak olbrzymiego napętnia strachem. Tyle światów, tyle ludów, a każdy inny i inaczej pojmuje naturę rzeczy! Miliardy — a nawet miliardy miliardów, nieskończoność możliwości i alternatyw! I o władzę nad tym wszystkim walczą wciąż Chaos z Ładem?

— Obecnie nikt nie przyznaje się do wojny — stwierdził Phatt. — Natomiast zdarzają się drobne utarczki, jakieś bitwy o jeden czy drugi świat czy sferę. Nadciga jednak wielka koniunkcja i władcy najważniejszych spośród światów zapragną rozszerzyć swe wpływy na sfery. Każda ze sfer zawiera kompletny wszechświat, a jest ich przynajmniej milion. To niecodzienne wydarzenie, na skalę kosmosu!

— Walczą o władzę nad nieskończonością! — krzyknął przejęty Wheldrake.

— Jeśli potraktować sprawę ściśle, to multiwersum nie jest nieskończone... — zaczął Phatt, ale matka przerwała mu zirytowanym skrzeczeniem.

— Nieskończoność? Gadanie! Nieskończoność? Multiwersum jest skończone. Ma granice i wymiary, które tylko Bóg może czasem spostrzec, ale one są! W przeciwnym razie nie byłoby w tym żadnego sensu!

— W czym, matko? — zdumiał się Fallogard. — W czym niby?

— W istnieniu naszej rodziny, rzecz jasna. Jesteśmy przekonani, że pewnego dnia... — przerwała, nakazując gestem synowi podjąć recytację tekstu, który musiał być z dawna rodzinnym kredo...

— ...poznamy plan całego multiwersum, by móc samą siłą woli podróżować ze sfery do sfery, z planu do planu, ze świata do świata, podróżować przez wielkie mgławice kolorowych gwiazd, pomiędzy planetami i galaktykami rojącymi się jak komary nad ogrodem w środku lata. Podróżować strugami światła, ścieżkami promieni księżycowych spinającymi gwiazdy...

— Zdarzyło się kiedyś waszeci w samotności w coś wbić spojrzenie tak silnie, że aż pojawiały się wizje? Jest taka chwila, może pamiętasz, gdy wyczuwasz wówczas bliskość wieczności, wyczuwasz obecność multiwersum? Ota-  
czasz spojrzeniem chmurę, płonące drwa, łagodne fałdy ciepłego koca, uginające się pod powiewem wiatru żdźbła trawy, nieważne, co właściwie widzisz. Wiesz, że dojrzałeś fragment większej całości. Wczoraj, na ten przykład. . . — Spojrzał bystro na poetę i zachęcony zaciekawionym wyrazem twarzy ciągnął dalej: — . . . na ten przykład, w samo południe spojrzałem w niebo. Przez zwały chmur sączyło się srebrzyste światło, a chmury same płynęły asymetrycznie jak bestie morskie ogromne na tyle, by całe narody, z człowiekiem włącznie, mogły zamieszkać w ich trzewiach. Były przy tym jak wierzchołki wielkich gór, gotowe w każdej chwili ponownie zanurkować w głębiny równie tajemnicze dla nas jak oceany, nad których brzegami błądzimy. — Twarz poczerwieniała mu jeszcze bardziej na to wspomnienie, oczy zdawały się widzieć ponownie owe chmury, monumentalne barki niczym wydzwignięte z otchłani wraki raz jeszcze żeglujące po oceanie błękitu, obce przy tym ponad wszelkie wyobrażenie, zmienione po mileniach, potworne wręcz dla każdego śmiertelnika, który wszystko by dał, aby tylko o nich zapomnieć. Stopniowo ich zarys ulega zatarciu, szarzeją i znikają na zawsze, wyparowują nawet z najgłębszych zakamarków tej pamięci, którą każdy otrzymuje w spadku po przodkach. Czy można wówczas powiedzieć, że owe lewiatany nie istniały nigdy, istnieć nie mogły? A przecież niejedno pojawiało się i znikowało, zanim nasi przodkowie po raz pierwszy postawili stopę na brzegu swego żywota. . .

Elryk uśmiechnął się na te słowa, bowiem pamięć jego rasy sięgała czasów, gdy nie było jeszcze człowieka, przynajmniej w tym wymiarze. Przodkowie jego, już wtedy starzy i na pewno nieludscy, uciekli czy zostali wygnani przez granice wymiarów. Wcześniej zaś padli ofiarą jakiejś wielkiej katastrofy, którą najpewniej sami wywołali.

*Wspomnienie goni wspomnienie, wspomnienie wypiera wspomnienie; niektóre rzeczy znikają wprawdzie w labiryncie wyobraźni, ale nie znaczy to, że nie mogły istnieć czy nie istniały, one istnieją. Tak, istnieją!*

*Ostatni Melnibonéanin rozmyśla o historii i legendach swego ludu, opowiada swym ludzkim przyjaciółtom urywki wspomnień, aż pewnego dnia jakiś skryba spisze ulotne słowa, czyniąc z nich zaczątek mitów, zaczątek wielu tomów legend, jak i licznych przesądów, ziarnko do ziarnka gromadząc przedludzkie doświadczenia, sącząc je w krew naszą i nasze życie. I oto koło się obraca, czas zatacza krąg wracając do tych samych, choć nowych, nieprzewidywalnych miejsc w wiecznym strumieniu możliwości, paradoksów i koniunkcji. Opowieść ożywa historią, anegdota rozwija się w epos. Tak oto zarażamy przeszłość, terażniejszość i przyszłość we wszystkich ich posybilnościach. Tak oto jesteśmy wszak odpowiedzialni jedni za drugich w miriadach wymiarów czasu i przestrzeni, które tworzą multiwersum. . .*

— Ostatecznie okazuje się — powiedział Fallogard Phatt, wracając do rzeczy-

wistości — że jedyną bronią przeciwko entropii, którą człowiek może skutecznie się posługiwać, jest miłość. . .

— Gdy zanika równowaga pomiędzy Ładem a Chaosem — stwierdził Wheldrake, sięgając po kawałek sera i zastanawiając się przelotnie, jaka to ściśnięta strachem okolica na szlaku dostarcza wędrowcom tego specjału — wówczas sami pozbawiamy się większości możliwych wyborów. Oto szczególny paradoks konfliktów na szczytach władzy. Pozwól komuś zwyciężyć, a stracisz połowę swego stanu posiadania. Czasem nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nasz los spoczywa w rękach istoty niewiele bardziej inteligentnej niż gronostaj!

— Inteligencja nigdy nie szła w parze w władzę — mruknęła Róża, odrywając się na chwilę od własnych myśli. — Często żądza władzy jest jedynie impulsem ludzi ogłupionych i nie pojmujących, czemu los obszedł się z nimi tak brutalnie. No i jak ich tu winić? Sami są poniekąd ofiarami. Być może Bogowie cierpią na to samo? Może dlatego wystawiają nas na tak straszne próby, bo wiedzą, że w istocie jesteśmy od nich doskonalsi? Może zresztą Bogowie dawno już postradali zdrowe zmysły i zapomnieli, jaki to sens tkwił w odwiecznym stanie zawieszenia broni?

— Prawdę mówisz, pani — stwierdził Elryk. — Natura po równo rozdaje władzę, nikogo nie dyskryminując, podobnie jest też z inteligencją, urodą czy zdrowiem!

— I oto dlaczego rodzaj ludzki — mruknął Wheldrake, rozwijając wątek — musi nieustannie naprawiać błędy sprawiedliwości czynionej przez naturę. Musimy wspierać tych, których natura uczyniła biednymi, chorymi czy inaczej jeszcze nieszczęśliwymi. Gdybyśmy tego poniechali, wówczas, jak sądzę, zaprzeczylibyśmy swemu naturalnemu powołaniu. Mówię to — dodał pospiesznie — jako agnostyk. Jestem bezkompromisowym radykałem. A jednak wydaje mi się, że Paracelsus to właśnie miał na myśli, gdy stwierdził. . .

Coraz bieglejsza w przerywaniu poecie Róża powstrzymała go przez odpięciem w abstrakt, dopytując dwornie starszą panią, czy chce jeszcze sera.

— Dość już sera dzisiaj — powiedziała tajemniczo pani Phatt uśmiechając się przyjaźnie. — Zawsze w ruchu, zawsze. Krok za krokiem, do przodu. Lewa, prawa, lewa, prawa. Wszyscy maszerują w nadziei, że umkną przekłętemu przeznaczeniu. Niezmiennie, pokolenie za pokoleniem, niesprawiedliwość niesprawiedliwością wspierana i uzasadniana, rodząca nowy fałsz. Lewa, prawa, idą dalej. Zawsze, zawsze. . . — Umilkła i na chwilę zapadła głęboka cisza.

— Znaczna jest infamia tego społeczeństwa — powiedział jej syn potakując w podzięce za sucharek. — Niesława. Piętrowe kłamstwo, oszustwo. „Wolny naród”, który wiecznie posuwa się do przodu, ale nigdy nie zmienia! Czy to nie najgorsza dekadencja, sir?

— Czy taki będzie los Anglii? — mruknął Wheldrake wspominając którąś z utraconych ojczyzn. — Czy tak upaść muszą wszystkie nieprawe imperia? Och, obawiam się, co ujrzę za powrotem w moim kraju!

— Z całą pewnością mogę powiedzieć, że w moim przypadku to się sprawdziło — powiedział Elryk krzywiąc się niemiłosiernie i zdradzając w ten sposób wyrazem twarzy o wiele więcej, niżby pragnął. — Oto czemu Melniboné upadło niczym przez robactwo stoczona wieża, ledwie tknięte. . .

— Ale, ale — odezwała się Róża. — Wracajmy do sedna sprawy.

Po czym naszkicowała plan ucieczki po nocy i odnalezienia Duntrollinu. Potem mieli przyczać się pomiędzy platformami do chwili, aż znajdą sposób sforsowania schodni. W tym pomocny miał być im Fallogard Phatt i jego zmysły skupione na śledzeniu trzech sióstr.

— Musimy jednak jeszcze omówić detale — dodała. — Możliwe, że coś przeoczyłam.

— Zapewniam, że niewiele.

Gospodarz wysłuchał ich uprzejmie. Owszem, skraje platform będą strzeżone. Wojownicy zamieszkujący Duntrollin bez wątpienia są gotowi odeprzeć w każdej każdą próbę wtargnięcia. Samych sióstr nigdy nie widział, toteż jego zdolności mogą w tym przypadku zawodzić. Co więcej, nawet jeśli zdołają do nich dotrzeć, nie ma pewności, jak siostry powitają przybyszy. Potem zaś pojawi się jeszcze problem opuszczenia Państwa Cygańskiego. Zwały śmieci są niemal nieprzebyte, zaś strażnicy łatwo zauważą potencjalnych zbiegów. Poza tym, dla rodziny Phattów rzecz przedstawia się nieco bardziej skomplikowanie, bowiem trzyma ich tutaj szczególnie więź psychiczna, ta sama, która sprowadza zbłąkane dusze na drogę dookoła tego świata, zwykle na zawsze.

— Wszyscy jesteśmy tu uwięzieni, i to nie za sprawą strzał z czarnymi piórami czy obwałowań z odpadków — powiedział. — Państwo Cygańskie opanowało cały ten świat, przyjaciele. Rządzi nim dzięki ciemnym mocom. Dobiło niegdyś targu i zaprzęgło jakieś siły Chaosu do pracy na swą korzyść. Najpewniej dlatego właśnie nie odważają się uczynić żadnej przerwy w marszu. Wszystko zależy od utrzymania momentu ruchu.

— A zatem musimy zatrzymać ten pochód — stwierdziła po prostu Róża.

— Tego nie da się uczynić, pani. — Fallogard potrząsnął głową ze smutkiem. — Istnieje po to, by pozostawać w ruchu. Dlatego też szlak pozostaje niezmienny. Nawet jeśli ziemia się zapadnie czy kontynent przemieści, jak widzieliście to niedawno, buduje się mosty i wszystko zostaje po staremu. Gdy tu przybyłem, spytałem, czy nie mogliby zmienić drogi, ale odparli, że to zbyt kosztowna operacja, na którą ich nie stać. Prawda jest jednak taka, że pozostaje to poza ich możliwościami, podobnie jak planeta nie może sama zmienić orbity, po której krąży. W próbie ucieczki podobni byłibyśmy kamykowi usiłującemu umknąć sile grawitacji. Jedyne, co pozostaje nam tutaj, to starać się zawsze być w jakiejś wiosce, a nie poniżej wioski!

— To żadne państwo — powiedział Wheldrake, ponownie dobierając sera — ale zwykle więzienie. Zupełne pomieszanie rzeczy. Jest martwe i utrzymuje się



dzięki śmierci. niesprawiedliwe i niesprawiedliwością pędzone. Okrutne, a pieści okrucieństwo. I na dodatek mieszkańcy Trollon zdają się w pełni zadowoleni ze swego miasteczka, jego piękna i ludzkiego oblicza, z uprzejmości i dobrych manier i nie pamiętają przy tym o tych na wpół martwych już istotach, które w nieustannym trudzie pozwalają im wciąż żywić złudzenia! To parodia postępu!

Starsza pani obróciła głowę, by spojrzeć na Wheldrake'a. Zachichotała przy tym, bez cienia szyderstwa, raczej z podziwem.

— Mój brat powiedział im niemal to samo, nie ustawał tak długo, aż w końcu skonał na samym dole. Byłam z nim, gdy umierał. . .

— Ach! — krzyknął Wheldrake, jakby i on był tam wówczas z nimi. — To złośliwa parodia wolności i sprawiedliwości! Kłamstwo nie mające sobie równego! Bowiem choćby tylko jedna dusza na tym świecie cierpiała to, co jest obecnie udziałem setek tysięcy, a najpewniej i milionów, to i tak oni byliby winni!

— Ależ to są całkiem mili ludzie, ci w Trollon — stwierdził ironicznie Fallogard Phatt. — Cechuje ich dobra wola i skłonność do miłosierdzia. Są dumni ze swej wiedzy i mądrości. . .

— Nie — powiedział Wheldrake potrząsając ze złością rudą czupryną. — Mogą żywić przekonanie, że po prostu szczęście im sprzyja, ale nie ma to nic wspólnego z mądrością czy dobrem! Ostatecznie bowiem każda społeczność dochodzi do etapu, na którym gotowa jest zgodzić się na wszystko, dosłownie wszystko, byle tylko utrzymać dotychczasowy poziom życia i przywileje, pod tym kątem zatem wybiera sobie władców, zachowując oczywiście wszelkie pozory demokracji i cnót republikańskich. Tak to idzie, sir. Nigdy przy tym nikt słowem nie wspomni o niesprawiedliwościach systemu, wszyscy przesiąkają bowiem z czasem hipokryzją. Jeśli chodzi o moje zdanie, sir, to z miejsca kazałbym zatrzymać tę żalosną karawanę!

— Zatrzymać Państwo Cygańskie! — roześmiał się Fallogard Phatt, w sumie wesoło, udając jednak smutek. — Ostrożnie, mój panie. Jesteś tutaj pomiędzy przyjaciółmi, ale w innym towarzystwie uznano by twoje słowa za czystą herezję! Dla własnego dobra, uważaj, co mówisz!

— Uważaj, co mówisz! Właśnie, oto na czym opiera się tyrania. Zatyka usta, nawet jeśli są to usta ofiary, tłumi nawet żalosne jęki uciśnionych milionów. Albo jesteśmy jednym, sir, albo w pojedynkę tworzymy trupa jedynie, którego robaki toczą na tyle energicznie, iż nadają truchłu pozory życia. Przegniłe trupy, ścierwo politycznego ideału wolności. Wolne Państwo Cygańskie niczym nie jest, jak tylko monstrualnym oszustwem! Sam ruch, sir, to jeszcze nie wolność! — Wheldrake wciągnął z pasją powietrze.

Kątem oka Elryk zauważył, że Róża wstaje z miejsca opuszcza pokój. Domyślił się, że najpewniej znudziły ją te rozważania.

— Koło Czasu obraca się, poruszając milion trybów, które przekazują ruch jeszcze dalej, aż ku nieskończoności lub prawie nieskończoności — powiedział

Phatt spoglądając na matkę, która znów zamknęła oczy. — Wszyscy śmiertelnicy są więźniami jego i sługami. Od tej prawdy nie można uciec.

— Prawdę można przyjąć taką, jaka jest, można osłodzić sobie jej gorycz — wtrącił Elryk. — Czasem zaś zdarza się, że ktoś próbuje ją zmienić. . .

Wheldrake pociągnął tego z kielicha.

— Nie przywykłem do świata, sir, gdzie prawda to jeno tworzywo, które można dowolnie wyginać, a rzeczywistość zmienia się zgodnie z życzeniem. Trudno mi to nawet sobie wyobrazić. W rzeczy samej, czuję się wręcz zaniepokojony, i to nie faktem, że nie jestem w stanie podzielać twojego optymizmu lub podziwu dla sprawy, ale głębszą sprzecznością, która mi się tu rysuje. Przywykłem ufać moim zmysłom i poczuciu piękna, niezmiennego piękna porządku wszechświata, przywykłem do praw regulujących pracę wielkiej maszyny, maszyny skomplikowanej niezmiernie, ale poznawalnej i racjonalnej. To właśnie jest natura, proszę państwa, to ją właśnie podziwiam i czczę, tak jak inni mogą wynosić bożki na ołtarze. To, co wać proponujesz, jest dla mnie retrogresywne. Osobliwie zbliża się do najwulgarniejszych postaci alchemii!

Dyskusja trwała aż do chwili, gdy wszyscy poczuli się zmęczeni i zaczęli mieć kłopoty z wypowiedaniem kolejnych kwestii, co znaczyło, iż najwyższa pora na spoczynek. Wspinając się po schodach i patrząc na wielkie cienie migające na pobielanych ścianach, Elryk pomyślał o nagłym wyjściu Róży. Miał nadzieję, że jej nie obraził. Normalnie mało dbał o takie subtelności, do tej kobiety czuł jednak szacunek wykraczający poza naturalny podziw dla jej urody i inteligencji. Było wokół niej coś, co przypominało dawny spokój Tanelorn. Aż nie do wiary, że kobieta takich przymiotów pałała żądzą krwawej zemsty.

Wybrał sobie długi i wąski pokój niewiele większy od szafy wyposażonej w koję. Rodzina Phattów ścisnęła się nieco, by każdy znalazł stosowny kąt, zgodziła się też ochoczo wspomóc swymi zdolnościami Różę w jej misji. Tymczasem albinos ułożył się do snu. Był solidnie zmęczony i ogarniała go tęsknota za krainą, której już nigdy nie ujrzy. Krainą, którą sam zniszczył.

*Albinos śpi. rzucając się w postaniu, jęki dobywają się spomiędzy zmysłowych warg, a szkarłatne oczy wyczierają spod uniesionych powiek i wpatrują się w ciemność.*

*— Elryku — rozbrzmiewa głos pełen zastarzałej złości i żalu tak wielkiego, że aż wpisanego trwale w ton. — Mój synu. Znalazłeś już mą duszę? Zimno mi, samotnie. Niedługo już, czy pragnąc tego będę czy nie, przyjdzie mi połączyć się z tobą. Wniknąć będę musiał w twoje ciało i na zawsze stać się częścią. . .*

*Elryk budzi się z krzykiem, który zdaje się wypełniać pustkę przestworu niosącego księcia, krzyk nie milknie, tylko wraca echem cudzego przerażenia, Elryk zaś patrzy w twarz ojca, ale to nie Sadryk krzyczy. . .*

*To starsza pani, mądra i taktowna, obdarzona niezwykłą wręcz wiedzą, protestuje przeciwko torturze.*

— *NIE!* — krzyczy. — *PRZESTAŃ!* — krzyczy. — *TO UPADEK, OCH ASTARTE KOCHANA, UPADEK JENO!*

*To matka Phatt tak krzyczy. Ma wizję tak intensywną, że nawet krzyk nie może ukoić cierpienia. W końcu milknie.*

*Cisza znów zalega nad światem i tylko skrzypienie wielkich kół i odległe stąpanie nóg skazanych na nieprzerwaną wędrówkę dookoła świata. . .*

— *STAĆ!* — odzywa się albinos, ale nie wie, co ma znaczyć ta komenda. Dane mu było ujrzyć tylko na mgnienie fragment wizji starszej pani. . .

*Poruszenie za drzwiami. Fallogard Phatt woła matkę, Charion Phatt płacze. Z dali zaczyna dobiegać Elryka jakaś wrzawa. . .*

Zapaliwszy lampę i wdziawszy coś na grzbiet, Elryk stanął na półpiętrze. Przez otwarte drzwi dojrzał siedzącą na łóżku matkę Phatt. Piana na ustach, oczy wbite w przestrzeń, przerażone, nic nie widzące.

— To koniec! — jęczała. — Cóż za straszny koniec. To nie powinno się zdarzyć. Biedacy! Nieszczęśni!

Charion trzymała babkę pod ramię i starała się ją ukołysać jak dziecko, któremu przyśniło się coś złego.

— Nie, babciu, nie! — Ale z twarzy dziewczyny można było wyczytać, że i ona widziała coś strasznego. Jej wuj cały spocony, czerwony, trzymał się za głowę, jakby chciał ją uchronić przed ciosami.

— Nie! Nie można! Och, i jeszcze wykradła chłopca!

— Nie, nie — powiedziała Charion, potrząsając głową. — Poszedł dobrowolnie. To dlatego nie wyczułeś żadnego niebezpieczeństwa. On nie widział w tym nic groźnego!

— Ona to zaplanowała? — jęknął Fallogard z niedowierzaniem. — Zaplanowała taką śmierć?

— Sprowadź go z powrotem — rozkazała szorstko starsza pani, wciąż ślepa na otaczający ją świat. — I ją też, ale szybko. Oszukaj ją, a ocalisz jego.

— Poszli do Duntrollin poszukać trzech sióstr — powiedziała Charion. — Znaleźli je, ale była jeszcze. . . Bitwa? Nie widzę wyraźnie, jestem zbyt zdenerwowana. Och, wujku Fallogardzie, trzeba ich powstrzymać. — Skrzywiła się boleśnie i przycisnęła dłonie do twarzy. — Wujku! Wszystko rwie się i miesza! — Krzyknęła do roztrzęsionego, też obolałego Fallogarda.

Elryk, teraz już w towarzystwie Wheldrake'a, usiłował tymczasem dowiedzieć się czegokolwiek o przyczynie całego zamieszania.

— To wiatr, co wieje poprzez światy — odparł Phatt. — Czarny wiatr! To robota Chaosu. Ale kto mógł się spodziewać?

— Nie — powiedziała starsza pani. — Ona nie ani służy Chaosowi, ani nie korzysta z jego wsparcia. Niemniej. . .

— Zatrzymaj ich! — krzyknęła Charion.

Fallogard uniósł bezradnie ręce.

— Za późno. Byliśmy już świadkami dzieła zniszczenia!

— Jeszcze nie — wtrąciła się matka Phatt. — Jeszcze nie, wciąż mamy czas. . .

Ale to jest takie silne. . .

Elryk nie zastanawiał się dłużej. Róża była w niebezpieczeństwie. Pospiesznie wrócił do swojego pokoju, ubrał się i przypasał miecz. Razem z Wheldrakiem opuścili dom i pobiegli drewnianymi ulicami, błędząc z początku w obcym mroku Trollonu, w końcu odnajdując jednak schodnię w dół. Elryk, który ostrożność miał we krwi, wyciągnął Zwiastuna Burzy, a czarne ostrze rozjarzyło się w ciemności, a runy jakby ożyły na całej długości. Miecz w mgnieniu oka zabijał każdego, kto odważył się stanąć księciu na drodze.

Widząc wykrzywione w przerażeniu twarze ofiar, Wheldrake zdrzął niepewny, czy pozostać u boku albinosa, czy może raczej odsunąć się na parę kroków. Fallogard Phatt tymczasem starał się nadążyć za nimi, pchając wózek ze starą matką.

Elryk wiedział jedynie, że Róży coś zagraża, ale to wystarczyło, by skończyły się jego pokłady cierpliwości. Niemal z ulgą pozwolił mieczowi pobrać daninę krwi i dusz. Krzyczał, czując napływające weń siły, rzucał w mrok imiona dawnych Bogów! Przeciął uprzęż koni, skruszył łańcuchy przytrzymujące galerników, w końcu dosiadł rosłego czarnego ogiera, który zarżał z radości uwolnienia. Elryk ujął wodze i rumak wierzgnął parokrotnie tylnymi kopytami, aż pogalopował ku wyjściu.

Wokoło rozlegał się coraz głośniejsze poszum ludzkich głosów.

— Za późno! Już jest za późno! — płakała matka Phatt.

Wheldrake dopadł wierzchowca, ale ten wyrwał się i uciekł. Miast szukać dalej, poeta pobiegł po prostu za albinosem. Z tyłu Fallogard Phatt pchał wózek z matką, by pokonać schody. Starsza pani krzychała wciąż, przerażona, a biegnąca obok siostrzenica zakryła uszy dłońmi.

Wypadli prosto w noc. Przed nimi majaczył cień Elryka, obok zaś toczyły się olbrzymie koła. Było wietrznie, deszczowo i zimno, w dali rozbłyskały ogniki lamp wiosek pierwszej fali. Droga drżała lekko, wyraźny znak, że zbliżali się do mostu nad zatoką.

Wheldrake usłyszał jakąś pieśń. Miast zatrzymać się, wydłużył tylko krok, oddychając głęboko, jak niegdyś go nauczono. Słyszał też śmiech, strzępy rozmów, zastanowił się nawet, czy to nie sen przypadkiem, nielogiczne, porwane obrazy. Ale zaraz dobiegły go przekleństwa i wrzaski, to Elryk przeciskał się pomiędzy maszerującymi, roztrzając ich na wszystkie strony, nie chcąc jednak używać miecza przeciwko nieuzbrojonej cizbie.

Matka Phatt ucichła, za to wnuczka płakała coraz głośniejsze.

Jakimś cudem udało się poecie i Phattom dotrzymać tempa księciu, a nawet zbliżyć się nieco do niego.

— Stańcie! Musicie się zatrzymać! — krzyknęła starsza pani, na co obywatele wolnego narodu odsunęli się od niej, przepelnieni grozą i wstrętem.

Zamieszanie narastało. Wheldrake pomyślał, czy owa nocna ucieczka na pewno była najmądrzejszym posunięciem, czy należało dawać tak łatwo wiarę złym snom staruszki. Żadne koło nie ustało w ruchu, ani stopa się nie zatrzymała. Wszystko trwało wciąż tak samo na największej drodze tego świata. Uciekinierzy wydostali się w końcu z największego tłumu, poruszać się było teraz łatwiej. Elryk ściągnął konia, ze zdziwieniem stwierdzając, że straż Trollonu nie podjęła pościgu. Wheldrake poczekał przezornie, aż albinos schowa miecz i dopiero wtedy podszedł bliżej.

— Co widziałeś, Elryku?

— Tyle tylko, że Róża znalazła się w niebezpieczeństwie. Może zresztą chodziło o coś zupełnie innego. Musimy jak najszybciej odnaleźć Duntrollin. Głupio postąpiła, miałem ją za mądrzejszą. Ostatecznie to ona nakłaniała nas do zachowania ostrożności!

Wiatr zadał mocniej, szarpiąc rozgłośnie łopoczące flagi i proporce na platformach.

— Już niedługo świt — powiedział Wheldrake i obrócił głowę, by spojrzeć na Phattów. Trzy twarze noszące to samo piętno wszechogarniającego strachu, ślepego przerażenia. Zawodzili zrozpaczeni, wykrzykiwali ostrzeżenia, płakali głośno. Prym desperacji wiodła starsza pani, mijani zaś zwykli wędrowcy odsuwali się od nich, czasem tylko rzucając dyskretne spojrzenia dezaprobaty.

Wszystko działo się jak zwykle, Państwo Cygańskie parło do przodu. . .

Jednak musiało zdarzyć się coś złego, co matka Phatt widziała już dokładnie, co Charion słyszała, a Fallogard wyczuwał, za wszelką cenę pragnąc odwrócić bieg wydarzeń!

Świt zaróżowił się malując niebo błękitem i złotem, omywając drogę bładoccią i nagle Elryk zrozumiał, skąd brało się przerażenie jasnovidzów!

Pochód ciągnął niezmiennie swoim powolnym tempem na zachód, docierając z wolna do mostu, przy którym rozłożyła się znana już księciu osada na wpół zrujnowanych domostw. Razem ciągnęły tysiące piechurów i ruchome platformy, światło lamp bledło z wolna, wioski budziły się do życia, ale w dali. . .

Szeroki na milę most, przedziwna konstrukcja wzniesiona przez nomadów, został przecięty jakby jednym uderzeniem gigantycznego ostrza!

Obie połówki unosiły się lekko i opadały, wciąż drżące po dokonaniu się kataklizmu. Masywny most skomponowany z ludzkich kości i zwierzęcych skór trząsł się jak mizerna gałąź, wibrował nieznośnie, w dole zaś woda pieniała się gniewnie, malując na niebie półkole tęczy.

Z powolnym namysłem kolejne miasta Państwa Cygańskiego docierały do krawędzi zburzonego mostu i spadały w przepaść.

Jak ich powstrzymać? Nijak. Pozostała im jedynie śmierć.

Elryk z krzykiem pogonił konia, ale wiedział, że na tych ludzi ostrzeżenia, jakkolwiek głośno wykrzywane, nie będą miały żadnego wpływu. Zbyt cenią swe zasady, honor i uświęcony tysiącletnią tradycją sposób życia, by się zatrzymać. Wolą umrzeć tak, jak żyli, niż zmienić przyzwyczajenia.

Wioski znikają kolejno w przepaści, a Elryk przypomniał sobie zagładę swej własnej rasy, która podobnie broniła się przed wszelkimi przemianami, i zapłakał, zarówno nad Melniboné, jak i nad Państwem Cygańskim. I nad sobą.

Nie zatrzymają się.

Nie mogą.

Owszem, w wioskach na platformach narasta panika, ludzie są skonsternowani, zmieszani, w najwyższym stopniu zaniepokojeni, ale nawet nie próbują się zatrzymać.

Elryka spowija już wodna kurzawa. Krzyczy, by zawracali. Balansuje niemal na krawędzi rozpekłej jezdni, a jego wierzchołek rzy i prycha, przerażony. Nagle widowym się staje, że w dole czeka na nieszczęsnych nie przybój oceanu, ale wielka, napęczniała masa czerwieni i żółci, której środek pulsuje gorącem, a brzegi roztulają jak płatki. Szkarłat połyka wioskę za wioską. Elryk pojmuje w końcu, że niespodziewana katastrofa jest dziełem Chaosu!

Zawraca czarnego ogiera od krawędzi i gna poprzez skazany na zagładę lud do rodziny Phattów.

— Nie! Nie! Róża! Gdzie jest Róża! — krzyczy matka Phatt w swoim wózku.

Elryk zsiada i obejmuje ramiona roztrzęsionego Fallogarda.

— Gdzie ona? Nie wiesz? Która z tych wiosek to Duntrollin?

Ale Fallogard kręci głową i porusza jedynie bezgłośnie ustami i dopiero po chwili udaje mu się powtórzyć jedynie imię dziewczyny.

— Róża!

— Nie powinna tego robić! — krzyczy Charion. — Źle uczyniła!

Nawet Elryk nie mógł patrzeć na to wszystko spokojnie, chociaż rzadko zdarzało mu się dotąd cenić wysoko ludzkie życie. Gdyby tylko mógł powstrzymać dzieło zniszczenia Chaosu! Ale Chaos, raz wezwany, nie ustanie w wysiłkach, póki sam nie poczuje się nasycony. Książę nie sądził, aby Róża była zdolna uzyskać wsparcie tak potężnych sprzymierzeńców, zresztą dziewczyna nie pozwoliłaby na coś tak strasznego.

Tysiące istnień ludzkich spadały bezwładnie, krzycząc przy tym i zawodząc.

Raptownie usłyszał znajomy głos: to młody Koropith Phatt biegł ku nim, cały poobijany, z ubraniem w strzępach.

— Och, cóż to dziewczę uczyniło! — krzyknął Wheldrake. — Potwór, nie kobieta.

Chłopiec dyszał ciężko, wskazując za siebie, skąd kulejąc nadciągała już Róża. Była równie obdarta i pokrwawiona jak Koropith, w prawej ręce ścisnęła swój miecz, Szybki Cierń, Mały Cierń zaś, czyli sztylet, w lewej. Łzy ciekły jej po twarzy.

Pierwszy dopadł ją Wheldrake. Też, zresztą, zapłakany.

— Czemu to zrobiłeś? Nic nie usprawiedliwia takiego morderstwa!

Spojrzała nań zdumiona i wyczerpana i trwało chwilę, nim dotarło do niej zawarte w tych słowach oskarżenie. Potem odwróciła się plecami do poety i schowała broń.

— Źle mnie oceniasz, panie. To robota Chaosu. To może być tylko robota Chaosu. Księżę Gaynor ma sprzymierzeńca. Zna wielkie czary. Większe, niż sądziłam. I chyba wcale nie obchodzi go, ilu ludzi zabije poszukując własnej śmierci..

— Gaynor to zrobił? — Wheldrake chciał ująć ją pod ramię, ale Róża się wywinęła. — Gdzie jest teraz?

— Tam, gdzie ma nadzieję schronić się przede mną. Myśli, że nie podążę tam za nim. Ale myli się.

Dziewczyna była wyraźnie zdeterminowana. Koropith, daleki najwidoczniej od winienia jej za swój żaloszny stan, wziął ją za rękę, próbując uspokoić.

— Znajdziemy go jeszcze, pani — powiedział chłopiec, prowadząc ją z wolna tam, skąd przyszedli.

— Czy Duntrollin zostało zniszczone? — przerwał im Fallogard.

— Niewątpliwie. — Róża wzruszyła ramionami.

— A siostry? — spytał Wheldrake. — Czy Gaynor je znalazł?

— Owszem. Tak jak i my, a to dzięki Koropithowi i jego talentom. Gaynor jednak zdobył nad nimi pewną władzę. Walczyliśmy, a on wezwał Chaos na pomoc. Bez wątplenia zaplanował to sobie wcześniej do ostatniego szczegółu. Czekał tylko, aż czoło pochodu dotrze do mostu. . .

— Uciekł? Dokąd? — spytał Elryk, domyślając się z góry odpowiedzi.

Róża wskazała na skraj przepaści.

— Tam — powiedziała.

— A zatem ostatecznie spotkał swą śmierć — mruknął Wheldrake marszcząc czoło. — Ale widzę, że zapragnął towarzystwa w ostatniej podróży.

— A kto może wiedzieć, dokąd go ta podróż zawiedzie? — Róża odwróciła się i wolno ruszyła ku krawędzi mostu, z którego staczała się właśnie kolejna wioska. Pełna zawodzących mieszkańców platforma przewróciła się już niemal na bok, ale nikt nie usiłował z niej umknąć, aż w końcu machina runęła z łoskotem w otchłań, a Chaos połknął kolejną ofiarę. — Chyba tylko on sam może to wiedzieć.

Elryk podszedł do niej prowadząc konia. Róża trzymała wciąż dłoń chłopca, który powiedział:

— Oni wciąż tam są, pani. Wszyscy. Mogę ich odszukać. Wytarczy pójść za nimi. Proszę.

Koropith prowadził ją już ku krawędzi, wciąż wpatrując się przy tym w dół.

— Znajdziesz jeszcze inny sposób — obiecał Fallogard Phatt, nagle przerażony. — Nie możesz. . .

Ale było już za późno. Bez ostrzeżenia kobieta i chłopiec skoczyli nad krawędzią, spadając w pulsującą, lśniąca masę, która łapczywie pochłaniała wszystkie, tysiącami sypiące się ku niej dusze. Prosto w materię Chaosu!

Matka Phatt znów krzyknęła, długo, boleśnie i żałobnie. Już nie obchodziła jej cała tragedia, teraz bolała nad własną stratą.

Elryk podbiegł do skraju jezdnii i ujrzał dwie drobne postacie spadające bezwładnie, aż zniknęły w złudnym pięknie niestałości.

Nie mógł wykrztusić ani słowa, odstąpił krok, porażony odwagą i determinacją silniejszą, niż jego własne. . .

. . . i nie zdążył zareagować, gdy Fallogard pchnął wózek z matką, sam zawahał się ledwie przez ułamek sekundy i wraz z powiewającą połamami płaszczka siostrzenicą skoczyli w ślad za dzieckiem. Chaos pochłonął jeszcze trzy drobne figurki.

Zmieszany i przerażony w stopniu, którego dotąd nie doświadczył, Elryk wyciągnął Zwiastuna Burzy.

Wheldrake podszedł do niego.

— Odeszła, Elryku. Wszyscy odeszli. Nic tutaj nie zwojujesz.

Elryk przytaknął powoli i wyciągnął ostrze przed siebie, a potem przytulił ciasno do piersi, drugą ręką przytrzymując czubek mieniącego się żywymi runami miecza.

— Nie mam wyboru — stwierdził. — Wolę narazić się na wszelkie ryzyko, niż spokojnie przyjąć los, który gotuje mi ojciec. . .

Wykrzyknąwszy imię swego demonicznego patrona, z rozmachem ciął mieczem powietrze i z dziką pieśnią na bezkrwistych ustach rzucił się w otchłań Chaosu. . .

Ostatnią rzeczą, którą Wheldrake zdołał ujrzeć, były szkarłatne oczy przyjaciela, oczy lśniące straszliwym zaiste spokojem. Potem płomienista otchłań pochłonęła bezlitośnie cesarza-czarownika. . .



**KSIEGA DRUGA**

**ESBERN SNARE:  
WILKOŁAK Z PÓŁNOCY**

*O trollu od kościoła pieśni śpiewali  
Nad Morzem Północnym w jesienne zrównanie;  
A zelandzcy rybacy ciągle słyszeli  
Jak pod wzgórzem Ulshoi wymyśla swej pani.*

*Ponad brzoziami wciąż patrzą ku morzu  
Te z Kallenborgu kościelne wieże,  
Gdzie przy ołtarzu za pierwszą parę  
Stali Helva z Nesvek i Esbern Snare!*

Wheldrake,  
*Pieśni Norweskie*

# Rozdział 1

**Konsekwencje nierozważnych transakcji z istotami nadprzyrodzonymi; para słów o niedogodnościach wynikających z nieświętych umów.**

Elryk spadał poprzez stulecia udręki, milenia smutku i szaleństwa, które odpędzał krzykiem i mieczem niczym drogowskaz ścisłanym wciąż w dłoni. Wszędzie wkoło kłębiły się zmienne kształty, oblicza, wizje miast, całych światów, obłąkane przy tym, przekształcające się w nieustannej kakofonii. Typowa niestała materia Chaosu.

Był sam.

Nagle wszystko znieruchomiało. Stopy dotknęły stałego gruntu, kawałek skały pływającego w oceanie światła noszącym złudne znamiona nieskończoności. Wszechświat na wszechświecie, jeden płynnie przechodzący w drugi, każdy o innej barwie, każdy kreujący odrębną rzeczywistość. Książę miał wrażenie, że stoi wewnątrz wielościennego kryształu oślepiły nagle na wszystko, prócz jasnego blasku o niemożliwych do rozpoznania barwach. Były też zapachy, dziwnie znajome, były głosy, przerażone, chociaż nie należały do istot śmiertelnych. Albinos zapłakał, osaczony, zwyciężony i bezradny. Siły go uszły, a miecz zaczął ciążyć niczym zwykły kawał żelastwa, gdy gdzieś zza kurtyny płomieni dobiegły nagle księcia melodyjnie wypowiedziane słowa:

— Odważny jesteś, ulubiony mój niewolniku! Impetyk z ciebie! A teraz powiesz mi może jeszcze, gdzie właściwie podziewa się dusza twego ojca?

— Nie wiem, Ariochu. — Elryk czuł, jak mróz przenika go do granic wytrzymałości, jak nagle przejrzyściejąca dusza okrywa mu się lodowymi kryształkami. Arioch sprawdził go i wiedział już, że albinos nie kłamie. Uczucie dojmującego zimna zniknęło, a Elryk zaczął się uspokajać...

Nigdy jeszcze nie doświadczył czegoś takiego, nigdy nie sądził, że Arioch może być tak popędliwy, niecierpliwy. Cóż tak zaniepokoiło Bogów?

— Kąsku śmiertelny, zaiste słusznie jesteś moim ulubieńcem, cukiereczku słodziutki...

Znający dobrze zmienne nastroje Ariocha Elryk słuchał tych słów zafascynowany i zalekniony równocześnie. Z jednej strony pragnął za wszelką cenę aproba-

ty ze strony Ariocha, gotów był poddać się jego osądowi i przyjąć z pokorą każdy wyrok wyznaczający dalsze losy jego wiecznej duszy. Z drugiej jednak strony w jakimś najtajniejszym zakątku umysłu księcia roiała się wciąż uparta myśl, jak to dobrze byłoby pewnego dnia uwolnić ten świat od wszelkich Bogów, istot humorzastych i nieobliczalnych. Tak, w swoim naturalnym środowisku Arioch był w pełni sił i nie potrzebował żadnych sprzymierzeńców, szczególnie śmiertelnych, mało obchodziły go wszelkie paktety czy porozumienia, od niewolników zaś wymagał tylko i wyłącznie posłuszeństwa, cierpieniem jednako karząc i nagradzając.

— Gadajże, cukierczku. Co przywiodło cię do mej domeny?

— Przypadek, panie. Tak sędzę przynajmniej. Spadłem. . .

— Ach, spadłeś! — stwierdził Arioch z przekąsem. — Ty spadłeś?!

— W przepaść, którą stworzyć mógł jedynie któryś ze znamienitszych demonów.

— A tak. To spadłeś. TO BYŁ MASHABAK!

Elryk poczuł niejaką ulgę, że udało mu się skierować gniew Boga na kogo innego. Zrozumiał też w końcu, co właściwie się stało: Gaynor Przekłęty musiał służyć rywalowi Ariocha, hrabiemu Chaosu, Mashabakowi. . .

— Miałeś swe sługi pośród narodu Cyganów?

— Wszyscy byli moi, takie niby piekło. Przydatny drobiazg, wielu mi go zardościło. Mashabak też. A skoro nie mógł mi zabawki odebrać, wziął i ją zniszczył. . .

— Nudził się i machnął łapą dla kawału. . .

— Och, nie. Ostatecznie posłużył się najpewniej jakimś pomniejszym sługą.

— To był Gaynor, panie.

— Aha. Gaynor. W polityka zaczął się bawić, co?

Arioch zamilkł na chwilę, co nie wróżyło nic dobrego. W końcu, gdy chwila zdawała się trwać już z rok, Książę Piekieł raczył odzyskać głos.

— Niech tam, cukierczku, ruszaj swoją drogą — mruknął, wyraźnie odzyskując humor. — Ale pamiętaj, że mój jesteś i dusza twego ojca też do mnie należy. Obaście moje. Tak przewiduje nasz pradawny traktat.

— A gdzie mam ruszać?

— No, do Ulshinir, rzecz jasna, tam gdzie trzy siostry uciekły przed swym gnębicielem. I skąd mają już prostą drogę do domu.

— Do Ulshinir, mój panie?

— Bez strachu, podróżować będziesz, jak na dżentelmena przystało. Tego twojego niewolnika wyśle zaraz w ślad za tobą. — Po czym demon wyższej rangi zamilkł, zajmując się innymi sprawami. Jak wszyscy Książęta Piekieł, Arioch nie potrafił zbyt długo skupiać uwagi na jednej kwestii, chyba że była to kwestia absolutnie nadrzędnej wagi.

Ognie zniknęły.

Elryk stał wciąż na tym samym złomie skalnym, teraz jednak był to fragment kamienistego wzgórza wznoszącego się nad nieregularną doliną porośniętą rzadko trawą, spomiędzy której wyglądały wapienne złogi. Całość pokrywała cieniutka warstewka wciąż padającego śniegu. Powietrze było chłodne i ostre, aż książe potarł energicznie nagie ramiona i twarz, jakby chciał zetrzeć z nich plugastwo piekieł. Coś pomrukiwało mu u stóp: to miecz, który albinos upuścił podczas rozmowy z Ariochem. Tak, jakaż musiała być potęga owego, skoro za jego sprawą Elryk potrafił zapomnieć na parę chwil nawet o Zwiastunie Burzy... Podniósł czarne ostrze, biorąc je z uczuciem w objęcia, jakby dzieckiem było, a nie orężem.

— Wciąż potrzebujemy się nawzajem, ty i ja.

Miecz znalazł się rychło w pochwie, po czym przysła pora, by rozejrzeć się uważniej wokół. Zza pobliskiego pagórka wznosiła się ku niebu nitka dymu. Może da się tam rozpytać o drogę do Ulshinir.

Książe podziękował losowi, że zbierając się w popłochu z pościeli, zdążył włożyć buty. W przeciwnym razie pokonanie kamienistego zbocza pełnego na dodatek pułapek rozmiękłego gruntu byłoby o wiele trudniejsze. Wrażenie chłodu znikło za sprawą kolejnej dawki smoczego jadu, ponownie bolesnej, ale niezmiennie pomocnej. Nim minęła godzina, książe kroczył już wąską ścieżką wprost ku kamiennemu domowi o szparach uszczelnionych słomą i mchem. Całość pachniała ziemią, sugerowała ciepło i płodny dostatek. W dali rysowało się jeszcze kilka podobnych dworców, jakby wyrosłych wprost z tej żyznej gleby.

W odpowiedzi na uprzejme pukanie Elryka, dębowe drzwi otwały się, ukazując młodą kobietę o nader jasnej karnacji. Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, próbując nieskutecznie ukryć zaciekawienie wywołane pojawieniem się tak niezwykłego gościa. Oblewając się rumieńcem wskazała Elrykowi drogę do Ulshinir i poinformowała go, że to tylko trzy godziny spokojnego marszu w kierunku morza.

Łagodne wzgórza i płytkie doliny, pomiędzy nimi biała droga z tłuczonego wapienia, stonowana zieleń traw, miedzianopurpurowe wrzosowiska, wszystko to było miłym widokiem i sprawiało, że Elryk maszerował z ochotą. Porządkował z wolna myśli, rozważał wagę żądania Ariocho, zastanawiał się, jakim cudem tajemnicze trzy siostry wymknęły się Gaynorowi. No i próbował domyślić się, co właściwie zastanie w Ulshinir.

Dumał też nad tym, czy Róża jeszcze żyje.

Ze zdumieniem zauważył, że naprawdę go to obchodzi. Powtarzał sobie, że to tylko dlatego, iż nie opowiedziała mu jeszcze całej swej historii, a tej był ciekaw.

Rozłożone nad zatoką miasto Ulshinir przywitało go spadzistymi dachami i cienkimi iglicami pokrytymi już wczesnym śniegiem. Niesiony jesiennym wiatrem miły zapach płonącego drewna poprawił nieco Elrykowi samopoczucie.

W pasie miał schowane wciąż kilka sztuk złota, wmuszonych mu dawno temu przez Moongluma, pozostawało żywić nadzieję, że kruszec ten jest uznawany

w Ulshinir jako środek płatniczy. Miasto wyglądało swojsko, równie dobrze mogłoby się znajdować gdzieś na pomocy Młodych Królestw. Książę pomyślał, że najpewniej jego rodzimy plan musi być położony gdzieś całkiem niedaleko w tej sferze, a przynajmniej wymiarze, co również było miłą perspektywą. Na brukowanych uliczkach kręciło się niewielu ludzi, zachowywali się oni jednak przyjaźnie i bez wahania życzliwie wskazywali drogę do gospody, która była wprawdzie skąpo urządzona, lecz podobnie jak przybytki pamiętane przez albinosa z jego własnego świata, ciepła i czysta. Ale miało tu odpowiednio orzechowy, intensywny smak, a bulion i ciasto należycie zaspokajały głód. Książę z góry zapłacił za nocleg, a czekając aż gospodyni policzy srebrne monety i wyda resztę, zapytał, czy nie pojawili się ostatnio w mieście jeszcze inni goście, konkretnie trzy siostry.

— Ciemnowłose, bladolice piękności ze wspaniałymi oczami, podobnymi nawet nieco kształtem do twoich, jeśli wolno mi zauważyć, panie, ale tak intensywnie niebieskimi, że wydawały się niemal czarne. A jakie stroje i jakie rzędy! Nie było w Ulshinir kobiety, która by tu nie wpadła, by choć raz rzucić na nie okiem. Wczoraj wsiadły na statek i wszyscy wciąż się zastanawiają, dokąd mogły popłynąć. I nie dziwota. — Uśmiechnęła się, jakby z pobłażaniem dla własnych słabostek. — Ludzie mówią, że pochodziły one z tego legendarnego ludu zamieszkującego po drugiej stronie Ciężkiego Morza. A skąd ty jesteś, przyjacielu? Może ich krewny?

— Miały ze sobą pewien drobiazg należący do mojego ojca, to wszystko — odparł wymijająco Elryk. — Wzięły go niechcący i najpewniej same o tym nie wiedzą. Mówisz pani, że odpłynęły?

— Tu, z zatoki. — Wskazała na okno, za którym szarzał basen portowy ograniczony dwoma molami, każdym zwieńczonym latarnią. Teraz cumowało tam tylko kilka łódek rybackich. — Popłynęły na pokładzie Onny Peerthon. Zagląda do nas regularnie z ładunkiem. Nitki, igły, tasiemki, koronki i różne tam takie. Zwykle z Shamfird. Kapitan Gnarreh normalnie nie bierze pasażerów, ale słyszałam, że te trzy damy oferowały mu taką cenę, że głupcem musiałby być, aby odmówić. Ale dokąd popłynęły...

— Kapitan Gnarreh wróci tu jeszcze?

— Niemal na pewno. Za rok.

— A co leży za tym morzem, moja pani?

Kobieta roześmiała się i potrząsnęła głową, jakby nigdy nie słyszała jeszcze czegoś tak zabawnego.

— Najpierw są rafy, a na rafach wyspy, a potem Ciężkie Morze. Gdyby cokolwiek istniało po jego drugiej stronie, to na pewno byśmy o tym wiedzieli. Niewiele wiesz, panie, jeśli wolno mi zauważyć.

— Wolno, czemu nie, i przepraszam. Znajdowałem się ostatnio w niejakich tarapatach, nieco zaczarowany, i nieco trudno mi jeszcze zebrać myśli.

— No to trzeba odpocząć, a nie wybierać się w podróż na sam skraj świata!

— Czy mogli popłynąć na którąś z wysp?

— Według mnie, to na każdą, panie. Jeśli sobie życzysz, to mogę poszukać mapy. Mamy tu taką jedną, dość starą.

Elryk z wdzięcznością przyjął tę propozycję i udał się z mapą do pokoju w nadziei, że może intuicja wskaże mu właściwą wysepkę. Po pół godzinie, gdy ani trochę mądrzejszy szykował się już do snu, z dołu dobiegł go dziwnie znajomy głos.

Elryk rzucił się ku schodom. Do tej pory był przeświadczony, że nigdy już nie ujrzy swego towarzysza, a tu, proszę! Mały rudowłosy poeta siedział w głównej sali gospody i deklamował jakąś odę, najwyraźniej z nadzieją, że wzruszeni tu-bylcy dadzą mu w zamian dach nad głową, a przynajmniej miskę zupy. Cały strój, włącznie ze staromodnym krawatem, miał nieco przypalony, jakby nieostrożnie nazbyt zbliżył się do wielkiego ognia.

— *Złotym był kolor, który Gwyneth dał Ginewrze. I koral na policzki, morza błękit lśnił w oczach. Cudna była, i piękna, i wdzięczna, postawna, usta miała czerwone jak wino z Burgundii, jak wino zmysłowa, ulotna dziewczanna. Dary niosła dla Królowej, dla Królowej swej kapryśnej, dla Królowej swej Tragicznej, i nieszczęsnej, onirycznej.* Wielki Scotcie, sir! Już myślałem, że z rok przynajmniej temu poszedł pan na zatracenie! Miło mi waszeci widzieć! Pomoże mi pan w pisaniu elegii ku pamięci waszeci. Potrzebuje detali tyczących życiorysu. Chociaż obawiam, że całość nie spodoba ci się, sir, bo o ile dobrze pamiętam, to nie jest ona w ulubionym stylu waszeci. To raczej poemat heroiczny w formie ballady, a to nie wszyscy lubią... — Już zaczął przeszukiwać kieszenie. W której tu mógłby się znajdować się ów manuskrypt... — Obawiam się, że przypomina to *triolet*, a może raczej *rondel*. *Opuścił ojczyznę Elryk zapłakany, Po młodej narzeczonej, swojej ukochanej. Tak go i w owej chwili spostrzegamy, W drzwiach otwartych przystanął i zalał się łzami.* To tylko próba, drogi przyjacielu, utrafienia w powszechnie gusta. Takie utwory są ostatnio naprawdę popularne, stanie się pan sławny. Miałem nadzieję uczynić postać waści nieśmiertelną, przynajmniej na jakiś czas. Aha! Nie, to jest o Hugnicie, którego spotkałem w zeszłym tygodniu. Powiesz pewnie, że *rondel* jest niestosowny do formy epickiej, ale jeśli nadać mu tylko pozory epickości, ostatecznie w obecnych czasach... Trzeba dosładzać. A kilka takich nieszkodliwych kadencji daje całkiem dobry efekt. A poza tym, jak pan widzi, nie mam pieniędzy...

Z biednego poety nagle jakby uszło powietrze. Siadł przygarbiony na ławie mnąc, palcach kartki papieru. Nawet ognista czupryna jakby nieco przyklapiała, dopełniając pantomimy bezradności i zakłopotania.

— Z czego wynika, że winienem zamówić teraz u ciebie jakieś dzieło — powiedział Elryk, schodząc po schodach. — Koniec końców — położył poecie dłoń na ramieniu — nie raz powtarzałeś mi, że największym powołaniem każdego księcia może być zostanie patronem artystów!

Wheldrake uśmiechnął się, uradowany takim przypieczętowaniem przyjaźni, zdawało się jeszcze chwilę temu, na zawsze utraconej.

— Muszę przyznać, sir, że nie miałem ostatnio łatwego życia — powiedział, a w jego oczach Elryk dostrzegł ślad takiego strachu, że wołał nie wypytywać o nic, pewien, że poeta najchętniej szybko by wszystkie niedawne zdarzenia zapomniał. Wheldrake też widać wołał zmienić temat. — Tak, *Ballada ku Pamięci*, sir, jak pamiętam, wprawdzie to najpewniej nieco ograniczona forma. Ale jako parodia, niezrównana! — dodał, wygładzając zmiętą kartkę. — *Wojownik drogą pustą ku śmierci zmierzał. Gorszego nie mógł już wybrać szlaku...* — Z wolna znów zaczął się rozpalać do ulubionego wierszoklectwa. — Ale nic, poczekam chyba na jedzenie i napoje. To pierwsza ludzka osada, jaką widzę od kilku miesięcy.

Elrykowi przypadła w udziale przyjemność zamówienia obiadu i dla przyjaciela, który z wolna wracał do siebie.

— Mów, co chcesz, sir, ale żaden poeta nie stworzył niczego lepszego w stanie takiego zagłodzenia, jakiego ja ostatnio zaznałem, to pewne. Nie to jednak jest najważniejsze. — Rozsiadł się, jak najwygodniej lokując kościsty tyłek na twardej deskach i czknał dyskretnie, by ostatecznie zakończyć posiłek westchnieniem tak głębokim, jakby jeszcze nie dowierzał zupełnie nagłej odmianie losu. — Nader się cieszę naszym spotkaniem, książę. Jesteś artystokratą i masz stosowny do urodzenia gust i wyczucie, chętnie porozmawiam z tobą rano o dziele, które zamierzasz u mnie zamówić. O ile pamiętam, niezbyt interesowałeś się dotąd sztuką wersyfikacji, sprawami metrum, rymami, licencjami poetyckimi, przenośniami, mieszanym metrum, czyli ortometrią i tak dalej.

— Chętnie zdam się w tych sprawach na ciebie, przyjacielu — powiedział Elryk, sam zdumiony dozą sympatii, jaką żywił wobec owego człowieczyny i jego bystrego umysłu bez reszty oddanego sztuce poetyckiej i bezradnego wobec niemal wszystkich innych spraw. — Ale nie ma pośpiechu. Chętnie widziałbym cię u mego boku w podróży, która właśnie mi się szykuje. Musimy tylko znaleźć odpowiedni statek, bo w przeciwnym razie przyjdzie mi chyba sięgnąć po czary...

— Ale to naprawdę w ostateczności, jeśli można prosić. Chwilowo dosyć mam wszelkiego czarnoksięstwa i niezwykłości. — Mistrz Wheldrake potężnym łykiem dokończył kufel ale. — Ale cóż, o ile wiem, takie sprawy są dla ciebie zjawiskiem równie powszednim, jak Peckham Omnibus dla mnie. Ale tak czy tak, wolę związać mój los z kimś takim, jak ty, kto świetnie rozumie humorzałość Chaosu. Chętnie zatem przyjmuję zarówno zamówienie, jak i zaproszenie do wspólnej podróży. Naprawdę, cieszę się, że znów cię widzę. — I z tymi słowami oparł głowę na zgiętym ramieniu i zachrapał.

Albinos wziął go na ręce i zaniósł do pokoju, gdzie poeta został jak dziecko ułożony spać. Potem książę wrócił do siebie i zajął się kontemplacją mapy przedstawiającej wyspy wielkiej rafy i pusty, niegościnnie i jakby nienaturalny



przestwór wodny zwany Ciężkim Morzem. Postanowiwszy wynająć łódź, by odwiedzić te wyspy jedną po drugiej, zapadł w sen. Obudziło go skrobanie do drzwi i głos jakiejś dziewczki, że minęła już tysiąc piętnasta godzina (bo czas mierzone tu w skali roku) i jeśli zaraz nie wstanie, to nie dostanie śniadania.

Śniadanie niewiele Elryka obchodziło, chciał jednak pilnie porozmawiać z Wheldrakiem o trzech siostrach, ze zdumieniem zatem stwierdził, samemu zbierając się z łóża, że poeta deklamuje głośno utworów na zbliżony jakby temat. . .

*Pan Soulis jest wybornym czarodziejem,  
Mądrością wielu zawstydzi;  
A kto za nim chętnie idzie,  
Temu radośnie się dzieje.*

*Na trzech zamkach ma on władzę,  
Czarodziej lat niewiadomych,  
Na Wschodzie i na Zachodzie,  
I tym trzecim, na pustkowiu.*

*Ma też pod ręką trzy dziewczki,  
Każdą z nich zobaczyć spiera;  
Pierwszą Annet, drugą Janet,  
I tę trzecią też, Marjorie.*

*Annet ma koronę złotą,  
Jannet złoty pierścień ma;  
A Marjorie cała jest złota  
I ta jest najśodsza!*

*Różane lica ma pierwsza,  
Druga ma nagietkowe,  
Trzecia sama jest kwiatem,  
I na tej ziemi jest najpiękniejsza.*

Służąca, gospodyni i jej córka słuchały oczarowane timbrem głosu i zaśpiewem, Elryka jednak bardziej zainteresowały same słowa.

— Dzień dobry, mistrzu Wheldrake. Czy to było w dialekcie twojej ojczystej krainy?

— Tak jest, jest. — Wheldrake całował damom dłonie i żywo pospieszył ku przyjacielowi. — Ani chybi ballada pogranicza lub coś na nią stylizowane. . .

— Nie ty to napisałeś?

— Na to pytanie nie potrafię dać uczciwej odpowiedzi. — Wheldrake siadł na ławie naprzeciwko albinosa i spojrzął, jak ten spija czarę parzonych ziół. — Warto by dodać nieco miodu — zauważył, i podał garnuszek. — To dziwna i względna sprawa. Są utwory, o których nie wiem nawet, czy to ja je ułożyłem, czy tylko je słyszałem, czy może ściągnąłem od innego poety. Chociaż bez wątpienia, mało jest takich, którzy mogli by się ze mną równać (choć nie uważam się za geniusza, a jedynie za sprawnego rzemieślnika), bowiem jestem płodny. Taka już moja natura, a pewnie i przeznaczenie. Nawet, gdybym umarł po wydaniu jednej tylko czy dwóch ksiązek, i tak miałbym zapewnione miejsce w Westminster Abbey.

Nie mając nijak ochoty zgłębiać natury tej osobliwej Yalhalli, Elryk po prostu puszczał słowa mimo uszu, jak miał to we zwyczaj.

— Ale ten lord Soulis. Kto to jest?

— O ile wiem, to postać fikcyjna. Przypomniała mi się tutaj ta ballada o trzech damach, może zresztą rzeczywiście pod wpływem informacji o trzech siostrach. Gdybym pamiętał dalsze wersy, też bym je wygłosił. Ale to najpewniej czysty przypadek, ksiąkę. Multiwersum pełne jest oryginałów, wszelakich mocy i innych zjawisk, a postać potrójna jest szczególnie popularna jako przedmiot wersyfikacji, bowiem można wówczas długo ciągnąć wątek, nie tracąc rymów. Chociaż gusta się zmieniają. Cóż, poeta modom nie ulega, ale jego sakiewka ma na nie pilne baczenie. A swoją drogą, dziwny jest ten statek, co wszedł nocą do zatoki, prawda?

Elryk statku jeszcze nie widział, odstawił zatem miskę i pospieszył za poetą do okna, gdzie warowały już od jakiegoś czasu oparte o parapet gospodyni z córką. Statek zaś miał lśniący, czarno-żółty kadłub, na dziobie nosił znak Chaosu, z masztu zaś zwieszała się czarno-czerwona bandera z pochodzącym z jakiegoś nieznanego alfabetu znakiem pośrodku. Jednostka miała osobliwe przegłębienie na dziób i rufa wystawała z wody tak wysoko, że aż widać było sporą część steru. Przyczyną musiał być zapewne wysoki, sześcienne obiekt, który spowity w plan-deki spoczywał na przednim pokładzie. Co pewien czas ładunek jakby drgał konwulsyjnie, potem znów zapadał w bezruch, ale nic nie sugerowało, czym właściwie jest ów sześcian. W pewnej chwili Elryk dojrzał jednak postać wyłaniającą się spod wzniesienia pokładu dziobowego. Postać przystanęła na chwilę na wypolerowanych deskach pokładu i zdało się, że spojrzęła prosto w okno gospody. Zdało się jedynie, bowiem przyłbica hełmu Gaynora Przekłętego była, jak zwykle, opuszczona. Równocześnie albinos przypomniał sobie, że ten znak łopoczący na maszcie, to herb hrabiego Mashabaka. Tak, teraz bez wątpienia byli już rywalami służącymi wrogim sobie patronom.

Gaynor wrócił do kabiny, po czym z pokładu opuszczono na molo drewniany trap, a załoga pokładowa, niczym stado leniwych małp, zajęła się jego zabezpieczeniem. Wtedy to na ład zszedł młodzian lat co najwyżej piętnastu, wymuskany i piękny niczym książętko piratów, z kordem przy jednym boku i szablą przy drugim, i krokiem zdobywcy ruszył w kierunku miasteczka.

Dopiero gdy osobnik podszedł bliżej do gospody, Elryk rozpoznał, kto to jest i zadumał się nieco, jak to obroty sfer multiwersum potrafią kreować osobliwe przypadki, wiążąc sploty czasu i zmieniając parametry pseudonieskończoności.

Coś jednak ostrzegło go równocześnie, że to może być jedynie iluzja, a może nawet i gorzej, ktoś iluzją ogarnięty, bez reszty służący Chaosowi i podobnie jak Gaynor będący już z dawna jedynie marionetką.

Postać szła jednak w sposób tak charakterystyczny i była wyraźnie tak radosna, choć wciąż pilnie rozglądała się wokoło, że trudno było przypuścić, iż jest to ktoś na usługach Gaynora.

Książę odszedł od okna, gdy Ernest Wheldrake brał się już za drzwi, by przywitać gościa. Poeta otworzył szeroko błękitne oczy i pisnął dyszkantem:

— No proszę, Charion Phatt, przebrana za chłopaka! Kochana moja! Ale ty wyrosłaś!

## Rozdział 2

**W którym stare znajomości zostają odnowione, a nowe nawiązane.**

Od czasu ich ostatniego spotkania Charion Phatt wyrosła na kobietę, stała się też o wiele bardziej pewna siebie, przy czym nie miało to w sobie raczej nic z gry pozorów. Widok Wheldrake'a zdziwił ją umiarkowanie, a witając się z nim pilnie szukała spojrzeniem jakiejś postaci za jego plecami, aż w końcu wypatrzyła Elryka.

— Przynoszę wam, panowie, zaproszenie na wieczór od kapitana statku — stwierdziła półgłosem.

— Od jak dawna jesteś na służbie u księcia Gaynora, panno Phatt? — spytał Elryk, pilnując, by ton pytania był w miarę obojętny.

— Dość długo, książę. Mniej więcej od czasu, gdy ostatni raz cię widziałam tamtego świtu na cygańskim moście...

— A twoja rodzina?

Dziewczyna przyglądała kasztanowe włosy i koronki i jedwabie koszuli. Na chwilę przymknęła oczy.

— Oni? To właśnie za ich przyczyną sprzymierzyłam się z Gaynorem. Szukamy ich razem od czasu tamtego kataklizmu.

Krótko wyjaśniła, jak to Gaynor odnalazł ją w pewnym odległym świecie uwięzioną jako czarownicę i oznajmił, że on też szuka jej wuja i babki, bowiem oni tylko, jak uważał, potrafią odnaleźć ten jeden szlak poprzez wymiary, który doprowadzi do trzech sióstr.

— A jesteś pewna, że przeżyli? — spytał łagodnie Wheldrake.

— Jeśli chodzi o wujka i babcię, to tak — powiedziała. — Co do małego Koropitha, to on jest jakby dalej, oddzielony ode mnie licznymi zasłonami. Ale sądzę, że coś z niego wciąż istnieje, gdzieś... — Po czym oddaliła się, by kupić w mieście, jak powiedziała, kilka luksusowych drobiazgów.

— Zakochany jestem, prawdziwie zakochany — wyznał Wheldrake, Elryk zaś powstrzymał się od komentarza na temat lekkiej różnicy wieku. Poeta bowiem dobiegał gdzieś pięćdziesiątki, dziewczę zaś nie skończyło jeszcze lat osiemnastu.

— Takie rzeczy nic nie znaczą, gdy dwa serca biją jednym rytmem — po-

wiedział ni stąd, ni zowąd Wheldrake i nie było wiadomo, czy siebie cytuje, czy kogoś innego.

Elryk nadal milczał, ignorując rozemocjonowanego przyjaciela i rozmyślając nad złożonością multiwersum, środowiska w końcu znanego mu, jako czarownikowi, pojmowanemu jednak dotąd wyłącznie pod postacią symboli.

*Oto symbol Równowagi, szalki pozostające zawsze na jednym poziomie, ideał, który wielu filozofów pragnęło już osiągnąć, aż przeciwności losu lub zagrożenia bytu skłaniały ich do drobnych kompromisów i ustępstw wobec Ładu czy Chaosu, częściej zresztą wobec tego drugiego, jako że bliższy jest on naturze większości czarowników. I tak odbierali sobie na zawsze możliwość osiągnięcia owego celu, który wytyczał m drogę przez znaczną część żywota, a dla niektórych miał być nawet przeznaczeniem. Ci ostatni, skazani na owe poszukiwania, najlepiej pojmowali perwersję przemian, wiedzieli bowiem dobrze, co przyszło im porzucić.*

*Gaynor, niegdysiejszy książę uniwersaliów, rozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny, bowiem poznał niegdyś doskonałość, a następnie ją utracił.*

*W tejże trywialnej chwili, zbliżając się do drzwi zwykłej gospody, Elryk pojmuje, że przerażenie zmieniło się w coś zupełnie nowego, że miast strachu czuje determinację. Rodzaj zimnego, wyrachowanego szaleństwa. Tak, stawką w grze jest już nie tylko los jego własnej duszy, duszy ojca, ale o wiele, wiele więcej. Nie będzie już dłużej ofiarą Losu, dość unoszenia się na fali zdarzeń, pora wziąć ster spraw w swoje ręce, pora zapanować nad fatum. Pora zacząć prawdziwą grę, pora wejść pomiędzy Bogów, pora zadbać o siebie, o przyjaciół i wszystkich innych, których ukochał, jak i o Tonęłam. To jeszcze nie twarde postanowienie, lecz jedynie obietnica, którą książę daje sam sobie, spójna jednak i gotowa stać się fundamentem, stać się podstawą jego przyszłych działań, a przede wszystkim odrzucenia tyranii Losu i przeciwstawienia się bestialskiemu dziedzictwu krwi, tak często dotąd niszczącemu dzieło rozumu tylko dlatego, że w tymże dziedzictwie zawiera się władza księcia nad czarami. Ojciec uznawał to wszystko za oczywisty element rzeczywistości, przestrzegał reguł tej gry zawsze i nigdy się nad tym nie zastanawiał. Elryk jednak zaczyna widzieć sprawę inaczej, zaczyna myśleć o nowych regułach gry...*

*Jest w nim też chłód, chłód inny jeszcze, zimny gniew, gniew istoty, która winna czuć się może śmierci rzeszy pobratymców. Gniew kieruje Elryk nie tylko przeciwko Gaynorowi, ale również przeciwko samemu sobie. Może to dlatego tak bardzo obawia się Gaynora, że są niemal tym samym. Gdyby uwierzyć filozofom, mogłoby się okazać, że są różnymi aspektami tej samej istoty. Mroczne, głęboko schowane wspomnienia pojawiają się, nieproszone. Książę odpycha je, aż ponownie giną w mroku, jak bestie czarnej otchłani budzące przerażenie w każdym napotkanym stworze, same jednak panicznie lękające się światła...*

*Ta druga jednak połowa Elryka, onże rodzony Melnibonéanin, zwie księcia głupcem marnującym czas na rozważania o subtelnościach sumienia i sugeruje, że przymierze z Gaynorem dodałoby sił księciu w stopniu wystarczającym, by zwyciężyć.*

*Nawet tymczasowy rozejm pomiędzy nimi dwoma mógłby okazać się przydatny, chociaż, co wtedy? Co by się stało, gdyby Ariach zażądał wszystkiego, co Elrykowi uda się odnaleźć? Czy można oszukać Księcia Piekieł, czy może śmiertelnik wygnać go z jakiegoś planu?*

*Elryk pojmuję, że takie właśnie rozmyślania przywiodły jego ojca do obecnej mizerii, uśmiecha się zatem i wraca do przerwane go śniadania.*

*Nie podejmie decyzji przed wieczorem, poczeka raczej, aż nadejdzie pora kolacji na pokładzie statku Gaynora.*

*Wheldrake zerka raz jeszcze za odchodzącą pięknoscią, wyciąga z rozmaitych kieszeni notes, pióro i podręczny kałamarz, po czym zaczyna, najpierw sestyną, potem refren, dalej villanelle, aż wraca znowu do sestyny. . .*

*Książę ruin wraca niepostrzeżenie do mapy i rozważań, Wheldrake zaś przestaje pisać, wzdycha i rzuca się na nowe dzieło, tym razem sonet. . .*

— A może raczej lepsza będzie oda. Może jakaś taka podobna do tego, co napisałem w Putney.

— Dobry wieczór, książę. Mam nadzieję, że wyjaśnisz nam powody, dla których skazałeś na zagładę cały naród? Czy masz dla nas w zanadrzu jakieś zabawne sofizmaty? — Wziąwszy się pod boki, drobny poeta spojrzął na tajemniczy hełm, jakby Gaynor zupełnie nie budził w nim lęku i jakby nie istniały żadne powody, towarzyskie na przykład czy związane z urodzeniem, dla których, skoro już znalazł się na pokładzie, winien był raczej trzymać język za zębami.

Elryk wolał zachować milczenie, szczególnie że dobrze pamiętał jeszcze wychowanie, które otrzymał w Melniboné jako następca tronu. Tak, dystans był co najmniej wskazany. Ten chłód postawy był dla Wheldrake'a czymś nowym, chociaż pozostały w Tanelorn Moonglum bez trudu rozpoznałby stan ducha przyjaciela. Elryk zwykł zachowywać się ten sposób wówczas, gdy okoliczności skłaniały go do cynizmu, trochę przyprawionego jeszcze tym i owym, trudnego zaś do oceny czy rozszyfrowania przez obserwatora. Długie, białe jak kość palce owinęły się wokół gałki rękojeści miecza, głowa przechyliła nieco, jakby wyrażając niejaki brak zainteresowania, zaś ponure oczy rozjarzyły się podejrzaną radością, którą w przypadku Elryka nawet Bogowie skłonni byli zwykle uznać za zapowiedź całkowitem prawdopodobnych a rychłych i potężnych kłopotów. Skłonił się niemniej, wykonał stosowny gest wolną ręką i spojrzął pewnie w wizjer hełmu, gdzie lśniły oczy równie ciemne, lśniące i niestałe, jak ognie piekielne.

— Dobry wieczór, Gaynorze. — W głosie Elryka brzmiała miękkość i stal

równocześnie. Wheldrake wyobraził sobie, że tak przemawiać by mogła miękka i futrzasta kocia łapa kryjąca pomiędzy poduszczkami komplet ostrych jak igły pazurów.

Niegdyś sługa Równowagi skłonił nieco głowę na bok, co mogło być sposobem na okazanie ironii, po czym odezwał się głosem melodyjnym, wyćwiczonym przez stulecia służby Chaosowi i idealnym dla wygłaszania kłamstw czy pochlebstw.

— Miło mi cię widzieć, mistrzu Wheldrake. Dowiedziałem się niedawno, że dany nam będzie ten zaszczyt i przywilej, by zaznać twego towarzystwa. Niemniej o tym, że nasz wspólny przyjaciel, Elryk, bawi akurat w Ulshinir, wiedziałem już dawno. — Wzruszeniem ramion zbył oczywiste pytanie. — Wydaje się, że ostatnio szczęście zaczyna nam sprzyjać. Choć kimże jesteśmy w tej potrzebie? Jajkami tłuczonymi na omlet szalonego boga? Nawiasem mówiąc, podobno mój szef kuchni jest naprawdę mistrzem w swym fachu.

W tejże chwili pojawiła się Charion Phatt przystrojona w aksamity i koronki i olśniewająca urodą niczym klejnot w puzderku.

Mistrz Wheldrake z miejsca odpracował misterny ukłon, który dziewczyna przyjęła z humorem i objęła poetę w drodze do kabiny na dziobie. Ponad nią, na pokładzie, drżał z lekka okryty brezentami pakunek, na który ani książę Gaynor, ani Charion nie zwrócili uwagi większej niż na byle kłęb lin.

Potem podano kolację. Nawet Elryk, który zwykle w ogóle nie zwracał uwagi na jakość spożywanych dań, musiał przyznać, że ucza jest dokładnie taka, jak Gaynor zapowiedział. W trakcie gospodarz zabawiał ich opowieścią o swej podróży do Aramandy i Mallow, gdzie poszukiwał Xermenifa Bluche, Najważniejszego w Volofar. Równie dobrze mogłoby się to wszystko odbywać pomiędzy mieszczańską inteligencją z Trollon, tak odległe stały się na kilka kwadransów sprawy Bogów, zagubionych dusz, jasnowidzów i podobnych bytów, ustępując miejsca rozważaniom o subtelnościach smaku *mousse*.

Książę Gaynor zasiadał w rzeźbionym, czarnym fotelu u szczytu stołu nakrytego ciemnoszkarłatnym obrusem. Zwracając hełm ku Elrykowi zauważył w pewnej chwili, że przywykł do pewnego standardu życia i starał się odeń nie odstępować, nawet tocząc walki z barbarzyńcami, którzy mocno się ostatnimi czasy rozplenili. Ostatecznie, dodał z pewnym rozbawieniem, skoro już i tak nie można przewidzieć swego losu, szczególnie wobec zbliżającej się koniunkcji, dobrze jest panować nad tym, nad czym zapanować jeszcze można.

Elryk niewiele rozumiał z całej tej przemowy i co rusz wiercił się niecierpliwie w swoim siedzisku, odsuwając talerze i sztucce.

— Powiesz nam może, książę, czemu właściwie nas zaprosiłeś?

— *Dopiero wówczas, gdy ty mi powiesz, czemu się mnie obawiasz, Elryku!*

— odparł Gaynor scenicznym szeptem, sącząc w duszę albinosa piekielny zaiste chłód.

Elryk jednak nie dał się zaskoczyć gospodarzowi.

— Boję się, bo jesteś waść skłonny uczynić wszystko, byle tylko znaleźć własną śmierć i przed niczym się nie cofniesz. A skoro życie nie ma dla ciebie żadnej wartości, należy bać się ciebie bardziej niż oszalałej w ataku wściekłej dzikiej bestii. Cel twój egoistyczny jest ze wszech miar samolubny, zatem nie dostrzegasz żadnych granic w dążeniu doń i to jest powód ostateczny, dla którego budzisz we mnie lęk, Gaynorze Przeklęty. I stąd też bierze się obecny twój przydomek. Oto twoje przekleństwo.

Hełm cofnął się gwałtownie, a barwy pod osłoną metalu zatańczyły płomieniscie. Książę się śmiał.

— A ja boję się ciebie, Elryku, bo choć też przeklęty jesteś, to zachowujesz się wciąż tak, jakbyś przeklęty nie był. . .

— Nie uczyniłem nijakiego paktu podobnego twojemu, książę.

— Ale cała twa rasa pakt podpisała! A teraz płaci za to, gdzieś, całkiem niedaleko stąd, w wymiarze, który ty nazywasz swym domem, ostatni z twoich ziomków poganiani są do marszu w armiach Chaosu. Ale nie nadszedł jeszcze czas ostatniej bitwy, chociaż przygotowujemy się do niej. Czy przetrwasz ją, Elryku? A może strącony zostaniesz w nicość i nawet pamięć po tobie nie zostanie, chyba że mistrz Wheldrake wspomni o tobie w którymś ze swoich wierszy. . .

— I owszem, sir! Ledwie zacząłeś waść przemowę, już pokazałeś się prostym kmiotkiem! Proszę, nie zapominaj waść jednak, że jesteś szlachetnie urodzonym dżentelmanem! — stwierdził Wheldrake i z powrotem zwrócił spojrzenie ku ukochanej.

— Czy jesteś w stanie znieść perspektywę wiecznej śmierci, Elryku? Ty, który kochasz życie równie mocno, jak ja go nienawidzę. Dla obu okazja, by najgłębsze pragnienie każdego. . .

— Myślę, że boisz się mnie, Gaynorze, bowiem nie jestem skłonny wyrazić zgody na kompromisowe rozwiązanie — powiedział Elryk. — We mnie budzi niepokój twoje całkowite oddanie Chaosowi, ciebie zaś napełnia lękiem, że ja Chaos traktuję z dystansem.

Coś zachrząkało gderliwie w hełmie, jakby ukrywała się tam przynajmniej grozę budząca świnia z kosmosu, ale zaraz weszło trzech marynarzy uzbrojonych w tamburyn, fujarkę i łuk muzyczny, którzy zaprezentowali jakąś żalobną szantę. Ku uldze wszystkich zebranych, Gaynor odprawił ich, zanim rozegrali się na dobre.

— Niech będzie i tak, sir — mruknął pancerny książę, odzyskując kontenans. — Czy mogę jednak złożyć waści pewną skromną propozycję?

— Jeśli ma ona dotyczyć połączenia sił dla odszukania trzech sióstr, to gotów jestem rozważyć taką propozycję — powiedział Elryk. — W każdym innym przypadku dyskusja będzie bezprzedmiotowa.

— Zatem szczęśliwie się składa, bo utrafiłeś w sedno, Elryku. Wszyscy tu



zgrupowani pragną odszukać trzy siostry, chociaż każdy z trochę innego powodu, podobnie jak i zaangażowanymi w sprawę Bogami kierują różne motywacje i różne interesy się tu krzyżują, powodując sporo zamieszania. Zgadzaście się z tym, panowie? — spytał, włączając do grona zainteresowanych również Wheldrake. Charion Phatt siedziała rozparta na swym miejscu, najwyraźniej wcześniej wtajemniczona w plan swego sprzymierzeńca.

Przytaknęli.

— Do pewnego stopnia jesteśmy potencjalnymi wrogami — ciągnął Gaynor — z drugiej jednak strony nie prowadzimy otwartej walki. Widzę, że i z tym się zgadzacie. Dobrze, zatem poszukajmy razem trzech sióstr, jak i tych spośród rodziny Phattów, których uda się odnaleźć. Działajmy ręką w rękę, przynajmniej do chwili, gdy nasze interesy staną się zbyt rozbieżne.

Elryk z Melniboné oraz mistrz Ernest Wheldrake uznali przemawiające za kompromisem racje przeklętego księcia i zgodzili się popłynąć wraz z nim. Wyjście z zatoki zaplanowano na rano następnego dnia, jak tylko zdoła się dostać do załogi jednego, a może i dwóch nowych marynarzy. Chętnych miano wyłonić spośród co bardziej zdesperowanych lub zuchowatych wilków morskich zamieszkałych w Ulshinir.

— Ale — zaznaczył Elryk, gdy już mieli wracać na brzeg — nie ustaliliśmy jeszcze trasy poszukiwań. Czy mamy ci ufać jedynie, czy może zdradzisz nam nazwę tej wyspy, na której wylądowały trzy siostry?

Z pokładu powyżej dobiegały co parę chwil przejawy dyskretnego życia, które toczyć musiało się pod plandeką, jakieś szuranie, przesuwanie czegoś, niekiedy nawet jakby lekkie uderzenie.

— Wyspy? — Hełm Gaynora aż pociemniał ze zdumienia i błękitne i czarne smugi zatańczyły na gładkiej, choć chwilami mętnej, powierzchni. — Jakiej wyspy? Nie wybieramy się na żadną wyspę.

— A zatem gdzie są trzy siostry?

— Tam, gdzie się udajemy, chociaż obawiam się, że nieprędko na nie trafimy.

— A gdzie się udajemy? — spytał niecierpliwie Wheldrake. — Gdzie to jest, sir?

Hełm znów zakołysał się, rozbawiony.

— Cóż, sir, myślałem, że sam odgadłeś — oznajmił melodyjny głos. — Czeka nas rejs przez Ciężkie Morze.

## Rozdział 3

**Niezwykłe sposoby żeglugi; cienie życia piratów.  
Zniknięcie runicznego miecza.**

Dopiero gdy Ulshinir zniknęło za horyzontem, a rafy jeszcze nie pojawiły się w polu widzenia, Gaynor Przeklęty polecił „przewietrzyć ropuchę”, a marynarze posłusznie, choć jakby z lekkim obrzydzeniem, zabrali się do zwijania plandeki przykrywającej, jak się okazało, żelazną klatkę, z której wyjrzały dwa olbrzymie, przysłonięte nieco zielonymi powiekami ślepia. Osadzone one były w gadzim łbie o rozdymających się nozdrzach i szerokim, szkarłatnym pysku, z którego wysuwał się ruchliwy język. Całość pokrytego łuską cielska wspierała się na łapach masywnych jak pnie wiązu i trzęsła aż i drżała od wysiłonego łapania tchu.

Ciemne jak półszlachetne kamienie ślepia poszukały Gaynora, który stał na pokładzie poniżej, pysk uchylił się i zatrzasnął, a z trzewi stwora dobiegły głuche jęki. Dopiero po chwili Elryk pojął, że potwór przemawia.

— Źle mi, panie. Głodny jestem.

— Niedługo już się pożywisz, pięknotku. Niebawem — zachichotał Gaynor, wspinając się tragem i ujmując opancerzonymi dłońmi pręty klatki zawierającej bestię przynajmniej pięciokrotnie większą i cięższą od niego.

Wheldrake nie miał najmniejszej ochoty podchodzić bliżej, cofnął się nawet, aż Charion Phatt roześmiała się z jego manewrów i przysunęła do potwora, a ten powitał ją całą serią cmoknięć, chrząknięć i steków.

— Stworzenie najwyraźniej ma skłonność do litowania się nad sobą — mruknął Elryk, patrząc na lokatora klatki z niejakim współczuciem. — Gdzie je znalazłeś? Może to prezent od Mashabaka, który uznał, że Chaos też ma swoje granice?

— Khorghakh jest rodowitym mieszkańcem sąsiedniego wymiaru, książę — wyjaśnił z rozbawieniem Gaynor. — Pomoże nam przebyć Ciężkie Morze.

— A co jest za tym morzem? — spytał Elryk obserwując, jak Charion wyciąga miecz i drapie nim stwora po brzuchu, aż ten chrząka z przyjemności i jakby nieco się uspokaja, chociaż nie przestaje narzekać na głód.

— Khorghakh naturalizował się w Ciężkim Morzu?

— Niezupełnie naturalizował — wyjaśnił Gaynor. — Ale owszem, teren nie

jest mu obcy, tyle przynajmniej słyszałem. Nabyłem go od pewnych poszukiwaczy przygód, a i to dopiero po trzech latach poszukiwań, gdy lądowaliśmy po kolei na wszystkich wysepkach, rozpytując o Ulshinir. . .

— Ciebie szukaliśmy — wyjaśniła Charion. — Wiedzieliśmy, że tu jesteś. Wyczułam cię zaraz po trzech siostrach i myślałam, że podążają za tobą. Zresztą, ty też je wyczułeś. Nie wiedziałam, że jesteś jasnowidzem.

— Bo nie jestem — odparł Elryk. — W każdym razie nie takim, jak ty. Nie mogę wybierać swego przeznaczenia. Dla ciebie, jak widzę, minęło kilka lat, dla mnie zaś ledwie chwila dzieliła runięcie do otchłani Chaosu od pojawienia się tutaj. Z kolei Wheldrake wędrował z rok. Może się zatem zdarzyć, że jeśli nawet znajdziemy trzy siostry czy twoją rodzinę, to mogą się oni okazać dziećmi lub zgrzybiałymi starcami.

— Zupełnie mi się ta przypadkowość losu nie podoba — mruknął Wheldrake. — Nigdy nie gustowałem w Chaosie, chociaż moi krytykanci twierdzili co innego. Wychowano mnie w poszanowaniu dla powszechnie akceptowanego prawa. Stwierdzenie, że ta hiperrealność kieruje się tylko kilkoma fundamentalnymi zasadami, które też czasem mogą ulegać zmianie, jawi mi się jako nad wyraz niepokojące.

— Mój ojciec mówił to samo — wtrąciła Charion. — To dlatego wybrał czysto domowy tryb życia. Oczywiście skłoniły go do tego pewne nie od niego już zależne okoliczności, bo ostatecznie to właśnie przez machinacje Chaosu stracił mą matkę, swego brata i żonę. Ja zaś nauczyłam się przyjmować niemiłe wyroki Losu. Rozumiem, że funkcjonując w całym multiwersum trzeba liczyć się z taką różnorodnością zjawisk i tyloma zaskoczeniami, że chociaż ma się świadomość, że czuwa nad tym wszystkim pewna nadrzędna logika, wrażenie dominacji Chaosu staje się trudnym do odparcia. W ostatecznym rozrachunku przywykłam zatem do myśli, że życie kształtuje nie tyle stałość Ładu, ile niepewność Chaosu.

— Pesymistyczne spojrzenie, moja pani — stwierdził Wheldrake, nie wdając się w dalsze dywagacje. — Ale czy nie lepiej jednak mieć w życiu punkt zaczepienia pod postacią zasad logiki?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć — odparła Róża, której wyraźnie zależało na opinii Wheldrake'a. — Pewną logikę akceptuję tak czy tak, to zasady władzy i podboju. . .

— Moi przodkowie też tak uważali — powiedział cicho Elryk. — Postrzegali multiwersum jako grę przypadku, stworzyli jednak filozofię, by systematyzować doznania. Twierdzili, że skoro ich światem rządzą kaprysy bogów, a zatem jedynym sposobem na przetrwanie jest zdobycie jak największej władzy, by w ten sposób zmusić destruktywny Chaos do paktowania. Ale do czego ostatecznie przywiodła ich potęga władzy? Do losu gorszego zapewne niż ten, który za sprawą podobnego myślenia przypadł twemu ojcu. . .

— Mój ojciec nie wiedział, co czyni — stwierdziła Charion, kładąc kres kon-

wersacji i zwracając uwagę na ropuchę podstawiającą pod skrobanie mieczem coraz to nowe fragmenty swej osoby. Potem dziewczyna zapatrzyła się w horyzont, na którym rysowała się już z wolna linia raf oddzielających w świadomości tubylców świat zamieszkały od niezamieszkałego. Słychać było huk przyboju, fal bijących o czarne wulkaniczne skały niegościnnych wybrzeży.

— Źle mi, pani. Głodny jestem. — Ropucha spojrzała na Charion i Wheldrake pojął błyskawicznie, że ma rywala. W osobliwy sposób poczuł się jednocześnie rozbawiony, zazdrosny i przerażony.

Elryk też zauważył pełne oddania spojrzenie ropuchy na Charion i zmarszczył brwi. Intuicja podpowiadała mu coś, co nie od razu przybrało postać wyraźnej myśli, ale trwało chwilę, nim wrażenie oblekło się w słowa i zamieniło w pewność.

— Nie martw się, przyjacielu — pocieszył Wheldrake’a. — Nawet jeśli brakuje ci urody i wdzięku naszego kompana, z pewnością górujesz nad nim intelektualnie.

— Och, bez wątpienia — mruknął Wheldrake tonem autoszyderstwa. — Ale wiem przecie, że w grze miłosnej na nic intelekt! Jakie słowa oddadzą tak niezwykłą sytuację, kiedy to w miłosnych szrankach ropuch zostaje rywalem poety! Jakież to cierpienie! Ile niepewności! I jakie to głupie!

Umilkł nagle, wpatrując się w olbrzymią ropuchę, która oddała spojrzenie, jakby wszystko rozumiała.

Potem otworzyła paszczkę i powiedziała powoli:

— Mojego jaja mieć waść nie będziesz. . .

— Bez wątpienia, sir. Właśnie mówiłem to mojemu przyjacielowi. — Po czym Wheldrake skłonił się tak dwornie, że nawet Elryk nie był pewny, co poeta chciał przez to powiedzieć. Potem rudowłosa postać oddaliła się ku rufie.

Z bocianiego gniazda dobiegł jakiś okrzyk, który obudził kontemplującego wodę Gaynora z bliskiego letargowi bezruchu.

— Co? A, tak. Nawigator. Nawigator na górę.

Spod pokładu sterburty wyłonił się niezbyt rosły, siwy mężczyzna, którego skóra była wyraźnie spierzchnięta od deszczu i wiatru, ale nie znała blasku słońca i którego oczy nie cierpiały jasnego światła. Potarł nadgarstki, jakby dopiero co zdjęto mu krępujące więzy, i uśmiechając się do znajomego widoku morza wciągnął głęboko w płuca słony wiatr.

— Oto twoja szansa, nawigatorze — powiedział Gaynor, wskazując na opadający i podnoszący się na fali dziób statku mierzący w czarne i zębate brzegi skupiska wysp. — Możesz zyskać wolność.

— Albo zatopić tę łajbę i zabrać wszystkich do piekła — uśmiechnął się bez troski nawigator, mężczyzna lat około czterdziestu pięciu, z przetykaną siwizną brunatną bródką, bujnymi włosami i jasnoszarymi oczami tak dziwnymi i świdrującymi, że najpewniej sam musiał kiedyś nauczyć się kryć je możliwie często pod

powiekami nie tylko przed słońcem. Uradowany, że ma wreszcie sposobność do działania, przycisnął się obok klatki z ropuchą nie zwracając na nią większej uwagi, zupełnie jakby codziennie widywał takie zjawiska, i przyłączył się do Gaynora na pokładzie dziobowym. — Trzeba jak najszybciej zwinąć żagiel — powiedział, przekrzykując wiatr. — Albo zawrócić i spróbować podejść raz jeszcze. Jeszcze kilka minut i nic nie uratuje nas od rozbicia się o skały!

Gaynor krzykiem pogonił załogę. Elryk z podziwem patrzył, jak sprawnie marynarze poruszają się na pokładzie. Statek skręcił, a żagiel zwisał luźno, a załoga zwinęła go na rei, nim ponownie zdołał wypełnić się wiatrem. Marynarze siedli do wiosła, bowiem tylko z ich pomocą można było nawigować w lukach pomiędzy rafami na krawędzi tego świata.

Statek mijał powoli wyspy, czasem w odległości jedynie paru cali od skał, czasem zaś szorując wręcz burtą o bazalt, przemykając pomiędzy filarami obsydianu. Wiatr huczał tak głośno, jakby Chaos wygrywał właśnie walkę nad światem. Około południa pierwsza linia raf została za nimi. Tutaj, na spokojnej wodzie postanowiono rzucić kotwicę i z forsowaniem drugiej linii poczekać do następnego dnia. Nawigator nakazał całej załodze dobrze się najeść i wypocząć.

Rankiem ponownie otoczyła ich kakofonia przyboju i wichru. Nawigator podawał wciąż nowy kurs, biegał od koła sterowego aż na bocianie gniazdo, nieustannie sprawdzając, co mają przed dziobem. Wyraźnie płynął tym szlakiem już nie jeden raz.

I kolejny pas spokojnego, błękitnego oceanu szemrzącego na jasnym piasku plaż, i kolejny postój na noc. Dotarcie do najdalszej linii raf zabrało im dwanaście dni, a po drugiej stronie ujrzeni widok niezbyt miły: czarną powierzchnię, której fale atakowały z wysiłkiem obsydianowe brzegi ostatniej bariery. Ciężkie Morze oddychało miarowo, powoli, szumiąc w paśmie dźwięków niesłyszalnych dla ludzkiego ucha. Niepokojący przestwór mroczył w ciszy.

— Zupełnie jak morze płynnego, choć zimnego ołowiu — powiedział Wheldrake. — To obraza dla praw natury! — Ale zaraz wzruszył ramionami, jakby chciał dodać „Ale co ich tu nie obraża?” — Jak można po tym żeglować? Napięcie powierzchniowe jest tu chyba aż nazbyt silne...

Odпочyiwający przy relingu nawigator uniósł głowę.

— Można je przebyć — powiedział. — Już to czyniono. To morze rozciąga się pomiędzy światami, ale są ludzie, dla których jest ono równie znajome, jak wody pomiędzy rafami a stałym lądem. Geniusz śmiertelników podpowiada zwykle, jak pokonać każdą przestrzeń, górą czy dołem.

— Ale to chyba niebezpieczne? — spytał Wheldrake, spoglądając na ciężkie fale z niesmakiem.

— Och, tak — zgodził się beztrąsko nawigator. — Nawet bardzo. Ale, jak niektórzy powiadają, wszystko co znane, przestaje być niebezpieczne...

— Albo staje się tym groźniejsze — mruknął Elryk. Spojrzał raz jeszcze na

Ciężkie Morze i zszedł pod pokład, do kabiny dzielonej w Wheldrakiem. Tej nocy pozostał u siebie, rozmyślając o sprawach nijak nie nadających się do głośnego przedyskutowania z kimkolwiek. Wheldrake przyłączył się z nawigatorem do załogi świętującej przebycie tak trudnego odcinka drogi. Jeśli jednak zamierzał dowiedzieć się czegoś więcej o nawigatorze, to spotkał go zawód. Nadal wiadomo było tyle tylko, że Gaynor wziął go na pokład kilka dni przed zawinięciem do Ulshinir. Nigdzie wkoło nie widać było Charion, coś powstrzymywało też Wheldrake'a przed powrotem do kabiny, może wycucie sytuacji i zrozumienie dla spraw dyskretnych. Został zatem jeszcze na pokładzie, słuchając szumu fal bijących o wygładzony wodą obsydian i wspominając egipską *Księgę Umarłych*, a także opowieści o Łodzi Dusz i Charonie Przewoźniku, tak silnie Ciężkie Morze kojarzyło mu się z tym podziemnym oceanem, który omywa brzegi piekła.

Nieświadomie zbliżył się do klatki, w której spało monstrum, chrapiąc przy tym i cmokając. Poeta poczuł przyływ współczucia dla tego stworzenia usidłego nie tylko przez żelazne pręty, ale i przez konieczny kompromis z Gaynozem. To ostatnie odnosiło się zresztą zapewne do wszystkich na pokładzie. Wheldrake oparł się o reling z czarnego drewna i spojrzął na wyglądający zza chmur księżyc. Srebrny poblask zalał łuskowate cielsko, luźne fałdy skóry i niemal przejrzystą błonę pomiędzy palcami ropucha. Brzydota była tak cudowna, że aż piękna. Pomysławszy tak, Wheldrake poszukał inkaustu, pióra i papieru, po czym zajął się poszukiwaniem romantycznych porównań pomiędzy poetą Wheldrakiem a ropuchem Khorghakhiem, obu skąpanymi w blasku księżyca. Z satysfakcją stwierdził, że istota rzeczy trudniejsza będzie do wyrażenia, gdyby sięgnąć, na przykład, po wiersz trocheiczny...

*Z takich schizm  
Okultyzm,  
Świeżo wzrosły,  
(Eufemizm)  
Rzadko bywa heroiczny.*

Zajęcie to pochłonęło go na tyle, że dopiero o pierwszym brzasku złożył głowę na poduszce, błyskawicznie zapadając w najśłodszy sen o miłości...

Świt zastał wszystkich (prócz Wheldrake'a) na pokładzie, wpatrzonych w zaniezione chmurami, deszczowe niebo. Przez noc zrobiło się cieplej, wzrosła wilgotność powietrza. Elryk poluźnił odzienie i pożałował, że nie może rozebrać się do naga w tej lepkiej parności. Nawigator pokonferował na przednim pokładzie z ropuchą, a potem podszedł do skupionych w jednym miejscu Gaynora, Elryka i Charion. Deszcz bębnił rytmicznie na osłaniającym ich brezentowym daszku. Mężczyzna otarł twarz połą wełnianego rękawa.

— Materia tego morza jest jak rtęć, chociaż nieszkodliwa. Gdyby dała się ugryźć, można by ją nawet połknąć. A teraz, książę, zawarliśmy pewną umowę

i właśnie wypełniłem pierwszą jej część. Za zgodą, zanim wyruszymy dalej, proszę oddać mi to, co jest mi należne.

Siwowłosa wpatrzył się spokojnie i niemal bez lęku w wizjer hełmu.

— Owszem — powiedział Gaynor. — Zawarliśmy takie porozumienie. . . — Przez chwilę zdawał się wahać, jakby ważył cenę złamania danego słowa, po czym stwierdził, że lepiej będzie je honorować. — Dotrzymam go, rzecz jasna. Poczekaj chwilę.

Schodzi pod pokład, by pojawić się po minucie z małym zawiniątkiem, może zrolowaną opończą, którą wciska w ręce nawigatorowi. Oczy mężczyzny rozjarzają się na chwilę, usta krzywią w uśmiechu, po czym powraca obojętność. Z tobołkiem w dłoniach wraca do ropuchy, by znów zamienić kilka słów.

— Człowiek na oko! — krzyczy w końcu. — Wioślarze na miejsca! Rozwinąć żagiel, niewiele jest wiatru, ale nie zaszkodzi spróbować.

Po czym przechodzi przez całą długość statku, dodając odwagi jednym, żartując z innymi i pogwizdując sobie pod nosem. Prawdziwy wilk morski, doświadczony kapitan żeglugi największej. Nawet ropucha posłusznie gramoli się z otwartej przez Charion klatki i krok za krokiem pełźnie na dziób, gdzie układa się na trzeszczącym bukszprycie. Statek tymczasem sunie wąskim kanałem (wskazany przez nawigatora usadzonego na takielunku ponad zieloną głową monstrum), u ujścia którego spienione bałwany ścierają się z ciężkimi falami, a w powietrzu unosi ołowiana zawiesina. Ostra jak brzytwa dziobnica statku wcina się w ową masę tym łatwiej, iż dziób obciążony jest dodatkowo masą ropuchy. Nawigator tłumaczy cały czas słowa monstrum sternikowi i tak zaczyna się podróż w mrok, ku miejscu, gdzie niebo jest jak odbijająca wszystko echem powłoka. Echo to wraca jednak nieustannie i mnoży się, aż wkoło rozbrzmiewać zaczynają głosy milionów śmiertelników, głosy nieznośną torturą atakujące uszy, tłumiące wszystkie inne dźwięki. Kto żyw, myśli już, żeby błagać stojącego teraz przy sterze Gaynora, by ten zawrócił statek, bowiem w przeciwnym razie marny koniec czeka wszystkich w tym potwornym, zabójczym zgiełku.

Ale Gaynor Przeklęty i tak by ich nie posłuchał. Jego zbroja odporna jest na wszystko, zdolny jest multiwersum całemu rzucić wyzwanie, nie zagrozi mu ani doczesność, ani zjawiska nadprzyrodzone. Oto ktoś, w kim śmierć nie budzi lęku.

Ropucha skrzeczy coś i wskazuje łapami, a nawigator pokazuje kierunek Gaynorowi, który zmienia kurs precyzyjnie jak operująca igłą szwaczka. Elryk tymczasem przyciska obie dłonie do uszu, szuka czegoś, by je zatkać, by uśmierzyć rozsadzający czaszkę ból. Niczym zjawa pojawia się na pokładzie Wheldrake i hałas milknie nagle. Cisza spowija statek.

— Też to słyszałeś — oddycha z ulgą Wheldrake. — A już myślałem, że to przez wczorajsze wino. Albo nadmiar poetyckiej wrażliwości. . .

Spogląda ze zdumieniem na mrok gęstniejący z wolna wkoło, zerka na wciąż hojne deszczem, chmurne niebo i bez słowa wraca do kabiny.

Zrządzeniem Chaosu statek sunie wciąż naprzód przez płynny labirynt, Ciężkie Morze oddycha, ropucha skrzeczy, nawigator wykrzykuje polecenia, a Gaynor kręci lekko kołem, zmieniając kurs o parę stopni na południe. Monstrum znów coś wskazuje, koło znowu idzie w ruch. Wszystkie oblicza na pokładzie, wyłączwszy Gaynora, Elryka i jego przyjaciela, blade są i okryte potem, zalęknione morzem, które miast słonej woni, zdaje się napełniać powietrze czystym strachem. Ludzie węższą niczym ogary za krwią, węższą niebezpieczeństwo, węższą śmierć. Ropucha jedna nie milknie ni na chwilę, pysk ma wilgotny, łakomy, a oddech chrapliwy łaknieniem. — Panie, muszę coś zjeść!

Dziwne wody przetaczają się jak rtęć przez pokład, gdy statek nurkuje na spotkanie fali i zamiera przez jedną przerażającą chwilę w kleistej substancji. Czy ruszy się, czy ugrzęźnie na zawsze? Ropucha chwytą linę i opiera się wielkimi stopami na wodzie, aż pokonuje napięcie powierzchniowe w tejże samej chwili szykując się do następnego skoku. Wyraźnie jest to jej naturalny sposób poruszania się. Ciągnie teraz cały statek za sobą, zostawiając na powierzchni ślady stóp. W końcu dziobnica pokonuje opór, a ropucha chlapie się w ciężkiej cieczy, wyraźnie radosna, gdy wielkie krople spływają po jej cielsku. Hałasuje przy tym, a echo wraca skądś z góry, odbite jakby od sklepienia wielkiej jaskini, może jakiejś organicznej manifestacji Chaosu. Nagle hucząca pieśń ropuchy zamiera i stworzenie skokiem wraca na pokład, ponownie usadza się na bukszprycie, nawigator zaś zawisa nad nią, a Gaynor chwytą za ster.

Zafascynowany tym wszystkim Elryk obserwuje krople ściekające z powrotem do morza. Nad nimi, w niestałej ciemności, błyska coś szkarłatem i głębokim błękitem, ale to słońce niepodobne jest do żadnego wcześniej im znanego. Nawet powietrze robi się tak gęste, że muszą otwierać usta niczym ryby, a jeden z marynarzy mdleje nawet i pada na pokład, ale Gaynor nie odrywa dłoni od steru, wyraźnie nie zamierza się zatrzymać. Nikt go teraz zresztą o to nie prosi. Elryk domyśla się, że ci tutaj przeszli już zbyt wiele, by obawiać się czegokolwiek, co jeszcze nadejdzie. Sama śmierć nie budzi już w nich grozy, chociaż wcale nie szukają jej świadomie. W odróżnieniu od Gaynora, gotowi byliby zabić się tylko wówczas, gdyby uznali, że śmierć jest jednak nieco bardziej interesującym stanem od życia. Tak, myśli Elryk, to nihilistyczne typy, równie dobrze, jak ksiązę, znające nudę egzystencji, znające głupotę i przekupstwo.

Wyczuwał jednak w nich coś jeszcze, coś przypominającego stan ducha jego własnego ludu z okresu, gdy Melniboné było jeszcze pieśnią przyszłości, gdy nadejść miały dopiero czasy spokojne i kojące, nie nacechowane walką, a raczej dążeniem ku sprawiedliwości i doskonałości. Podszedł do relingu i spojrzął na ciężkie fale morza zastanawiając się, gdzie za tym welonem ciemności mogą znajdować się trzy siostry. Czy wciąż mają ze sobą pudełko z drewna różanego? I czy spoczywa w nim jeszcze dusza jego ojca?

Wheldrake pojawił się na pokładzie razem z Charion Phatt, nucąc pod nosem



jakaś zdumiewająco prostą melodyjkę, po czym zatrzymał się i spiekił raka.

— Oj, to by się bardzo przydało wioślarzom — zauważyła dziewczyna. — Potrzeba im czegoś, co dyktowałoby wspólny rytm. Zapewniam cię, mistrzu, że nie zamierzam poślubiać tego ropucha. Zupełnie. Mam nadzieję, że słyszałeś już, co myślę o wątpliwych urokach życia domowego.

— Zatem nie dojdzie do konsumpcji! — jęknął poeta z ulgą, rzucając za burtę kartkę papieru, która wylądowała płasko na fali i zaraz zaczęła wyginać się wraz nią, jakby obdarzona nagłe życiem.

— Jak sobie życzysz, sir — odparła Charion i mrugnęła porozumiewawczo do Elryka.

— Wydajecie się w świetnych humorach — zauważył albinos. — Szczególnie jak na kogoś, kto wybrał się na wycieczkę do piekła.

— Wyczuwam trzy siostry — powiedziała dziewczyna. — Wyczułam je już godzinę temu i powiedziałam o tym Gaynorowi. I dalej je czuję. Musiały wrócić do tego planu. A jeśli one tu są, to może już niedługo znajdziemy mojego ojca, babkę, a może i kuzyna.

— Czy myślisz, że trzy siostry połączyły się z twoją rodziną? Czy tylko dlatego ich szukasz?

— Sądzę jedynie, że jeśli żyją, to najprędzej dotrzemy do nich właśnie przez siostry.

— Ale Róża i chłopak zginęli.

— Powiedziałam jedynie, że nie wiem, gdzie są, a to nie to samo... — W oczywisty sposób też obawiała się najgorszego, ale nie chciała przyznać tego głośno.

Elryk nie drażył tematu. Wiedział, jak bardzo ciężcy może taki żal.

Rejs ciągnął się w ciszy przerywanej jedynie skrzeczeniem ropuchy i głosem nawigatora.

Tej nocy rzucili kotwicę i wszyscy prócz Gaynora udali się na spoczynek. Przekłety książę przemierzał równym krokiem pokład, stawiając stopy w tym samym rytmie, w jakim fale Ciężkiego Morza kołysały statkiem. Elryk, który nie mógł zasnąć, a nie miał wcale ochoty dołączyć do Gaynora, usłyszał raz i drugi, jak książę krzyczy gdzieś w pustkę:

— Kto tam?

Czyżby to dziwne morze miało jednak swoich mieszkańców innych jeszcze prócz stworzeń pokroju ropuchy, nie tak pokojowo jednak nastawionych?

Na trzeci okrzyk Gaynora, albinos wstał, ubrał co miał pod ręką, sięgnął jeszcze po miecz i wyszedł na pokład. Tam z miejsca dostrzegł wyrastający z lewej burty kształt osobliwego statku, wysokiej, drewnianej konstrukcji zwieńczonej jakby wieżą, z której spuszczało się już na linach z pół tuzina zbrojnych w piki i noże wielorybnicze postaci.

Szerokie noże z pewnością nadawały się idealnie do walki przy abordażu, ale nie dorastały skutecznością Czarnemu Mieczowi, pomyślał Elryk i uśmiechnął się w przyływie czarnego humoru.

I to pomyślawszy, wzniósł ostrze i pobiegł ku miejscu, gdzie pierwsi piraci lądowali na pokładzie.

Na przednim pokładzie mignęła postać nawigatora, który spojrzał w górę i wycofał się na takielunek.

— Dramiańscy łowcy ropuch! — krzyknął. — Polują na naszego przewodnika! Jeśli go stracimy, to po nas!

Nawigator zniknął, gdy tylko pierwszy z piratów zaszarżował na Elryka, mierząc weń długą piką...

...by zginać momentalnie. Zanim jeszcze zrozumiał, co się zdarzyło, już Czarny Miecz wysysał jego duszę...

Zwiastun Burzy pomrukiwał ze szczęścia, a pieśń przybierała na sile w miarę, jak kolejni piraci padali jego łupem.

Przywykły do nadnaturalnych wrogów Elryk stanął pośrodku kręgu ciał spokojnie, niczym rolnik, który w pogodny, letni dzień wybrał się z kosą zebrać trochę siana. Charion i reszta załogi ścigali jeszcze niedobitki piratów, którzy próbowali teraz w panice umknąć na własny statek...

...Elryk jednak ich wyprzedził, złapawszy jedną ze zwisających nad pokładem lin, chociaż jakiś pirat usiłował za wszelką cenę odciąć ją piką. Księżę dopadł go, zanim dzieło zostało ukończone i wraził mu miecz głęboko w pierś. Mężczyzna złapał obiema dłońmi za ostrze, a czując jak dusza opuszcza ciało, usiłował je odepchnąć, wołał raczej rzucić się w czarną wodę widoczną pomiędzy kadłubami statków. Widząc to, Elryk poluźnił czemuś chwyt i ofiara, wciąż jeszcze z wbitym w pierś Zwiastunem Burzy, runęła w odmęty. Elryk ruszył dalej po linie, choć teraz bezbronny. Okazało się rychło, że widoczna dobrze wieża wznosiła się w dziobowej części sporego statku tak zaprojektowanego, by mógł ślizgać się z olbrzymią szybkością po powierzchni tego dziwnego morza. Widać było wielkie konstrukcje masztów, których końce ginęły w mroku.

Z wjazdu na pokładzie pirackiej jednostki wysypali się następni łowcy z nożami do oprawiania wielorybów w dłoniach, wyraźnie rozradowani perspektywą ich użycia. Elryk przeklął się za głupotę i zaczął się cofać, uważnie strzelając oczami na boki w poszukiwaniu jakiejś drogi ucieczki.

Napastnicy wyglądali na ludzi, którzy nie dość, że lubią swoje zajęcie, to jeszcze są entuzjastami dobrej roboty. Wyraźnie zamierzali zająć się Elrykiem metodycznie i po kolei. Pierwszy zamachnął się na próbę nożem. Szerokie, zakrzywione ostrze zaświszczało w parnym powietrzu.

Byli już prawie przy Elryku, gdy skądś z góry dał się słyszeć niski skowyt. Czyżby ropucha wspięła się aż tutaj, niezauważona? Gdy spojrzał jednak, dostrzegł rosłego, warczącego psa, którego srebrzysta sylwetka jarzyła się w ciem-

ności. Zwierzę skoczyło do gardła najbliższemu piratowi, zamieniając go po chwili w krwistą miazgę. Rozdymając nozdrza, bestia spojrzała za uciekającą resztą łowców. Elryka nie obchodziło w tej chwili, jakiej proweniencji jest jego zbawca, w pędzie zatem rzucił jedynie podziękowanie szczekliwemu i spojrzał za burtę, by przekonać się, jak radzą sobie pozostawieni na dole towarzysze. Radzili sobie nie najgorzej, Charion właśnie dokończyła kolejnego pirata.

Nieliczni teraz, żywi jeszcze łowcy, rzucili się w panice za burtę. Stercząca na burcie ropucha nie spuszczała z nich oczu, pies tymczasem zniknął.

Khorghakh wahał się wciąż, aż skądś z ciemności doleciał ożywiony głos Gaynora:

— Teraz, ropucho! Teraz, kochana, możesz się pożywić!

Nieco później, gdy jedynym śladem po piratach była płonąca w ciemności Ciężkiego Morza sylwetka statku i gdy ociężała ropucha chrapała zadowolona w swojej klatce, Charion usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok klatki, jakby bliżej być chciała istoty tak potężnej, Elryk zaś krążył po pokładzie i szukał swojego miecza.

Nie mógł wciąż uwierzyć, że dobrowolnie rozluźnił chwyt i pozwolił ostrzu spaść wraz z ofiarą. Zawsze, gdy w przeszłości zdarzało mu się stracić na chwilę kontakt z bronią, Zwiastun Burzy sam wracał do niego. Coraz mocniej podejrzewając, że miecz musiał chyba zostać skradziony przez jakąś tajemną moc, nie przerywał jednak poszukiwań.

Przetraszał wszystkie mroczne zakamarki statku wiedząc dobrze, że runiczne ostrze nie opuściłoby go dobrowolnie. Wróciłoby własnym przemysłem. Tymczasem okazało się, że pochwa też gdzieś wsiąkła, a to mogła już być jedynie robota złodzieja. Elryk rozglądał się także za psem, który pojawił się nagle i równie raptownie zniknął. Kto z załogi mógł trzymać psa? A może zwierzę było z tamtego statku? Lub, jak ropucha, przybyło z morza i skorzystało z okazji do zemsty?

Mijając jedną z kabin na dziobie, usłyszał zza drzwi znajome pomrukiwanie. Kabina należała do Gaynora. Zdumiony i zaniepokojony Elryk, przystanął na korytarzu i nastawił ucha. Żaden śmiertelnik nie mógł bezkarnie wziąć w dłoń Zwiastuna Burzy, szczególnie, jeśli miecz wchłonął tuż przedtem tyle energii. Jakimi zatem mocami rozporządzał Książę Przeklęty?

Elryk cofnął się cicho do drzwi kabiny, za którymi panowała teraz cisza. Nie były jednak zamknięte. Gaynor nie przejmował się potencjalnymi zamachami ze strony istot śmiertelnych.

Odczekawszy jeszcze chwilę, Elryk pchnął drzwi, prowokując powstanie miniaturowego, posykującego huraganu światła. Nim minęła jednak sekunda zawieruchy, Gaynor stał już w pełnym rynsztunku, poprawiając rękawicą hełm. W drugiej ręce trzymał runiczne ostrze, pulsujące wzorami i wyraźnie zdumione takim

obrotem sprawy. Albinos zauważył wszakże, że księżę nie jest w stanie utrzymać Czarnego Miecza nieruchomo i że cały się trzęsie.

Elryk wyciągnął dłoń ku broni.

— Nawet ty, Księżę Przeklęty, nie możesz zawładnąć tym mieczem. Czy nie rozumiesz, że stanowi on ze mną jedność? Że jesteśmy jak bracia? I że mamy jeszcze krewniaka, którego możemy wezwać w potrzebie. Zapewniam cię, że potężny to krewniak. Czyżbyś nie rozumiał istoty tego miecza, księżę?

— Tyle tylko wiem, co słyszałem w legendach — westchnął Gaynor. — Chciałem sam to sprawdzić. Czy zechciałbyś pożyczyć mi ten miecz, księżę?

— Równie dobrze mógłbyś prosić mnie, bym pożyczył ci rękę lub nogę. — Albinos ponownie zażądał gestem zwrotu swej własności.

Gaynor jeszcze się wahał. Przyjrzał się runom, sprawdził wyważenie, aż znów ujął broń w obie dłonie.

— Nie lękam się twojego miecza, Elryku.

— Najpewniej nie ma on dość siły, by cię zabić, bo tego pragniesz najbardziej, prawda? Mógłby jednak wypić twą duszę i zatrzymać w sobie, a tego chyba raczej nie pożądasz?

Nie poddając się jeszcze, Gaynor przesunął stałą rękawicy po ostrzu.

— Ciekawe, czy ożywia go moc Antyrównowagi?

— Nigdy nie słyszałem o czymś takim — odparł Elryk, przypasując pochwę z powrotem do pasa.

— Podobno jest to siła bardziej jeszcze ambitna niż najpotężniejsi bogowie. Bardziej niebezpieczna przy tym, okrutniejsza i skuteczniejsza niż cokolwiek w multiwersum. Podobno dość ma siły, by jednym, potężnym uderzeniem zmienić wszystkie prawa multiwersum, całą jego naturę.

— Wiem tylko, że Los połączył trwale to ostrze i mnie. Splótł nasze przeznaczenia. — Elryk rozejrzał się po skromnie urządzonej kabinie Gaynora. — Mało obchodzi mnie problemy kosmologiczne, mam raczej przyziemne pragnienia. Szukam jedynie kilku odpowiedzi i nie są mi nijak potrzebni do szczęścia tacy czy inni Bogowie ni ich machinacje. Ani nawet sama Równowaga.

Gaynor odwrócił się od niego.

— Ciekawy z ciebie gość, Elryku z Melniboné. Niezbyt dobrze dobrano cię chyba na sługę Chaosu.

— Jak i do wielu innych rzeczy. Służenie Chaosowi wynika jedynie z tradycji rodzinnej.

— Wierzysz, że można wygnać całkowicie i Chaos, i Ład? Uwolnić od nich multiwersum?

— W tej kwestii nie mam pewności, słyszałem jednak, że istnieją miejsca, w których obie te siły nie mają po równo nic do powiedzenia. — Z czystej ostrożności Elryk wolał nie wspominać nawet nazwy Tanelorn. — Słyszałem o światach, gdzie Równowaga rządzi niepodzielnie, a nawet...

— Też znam takie miejsca. Rządziłem jednym. . . — Coś zachichotało wewnątrz hełmu, a Gaynor oddalił się w kąt, jakby wyrzeć chciał przez bulaj.

Ostatnie słowa wypowiedziane zostały z taką żarliwością, że niemal fizycznie dotknęły nieprzygotowanego na podobne wydarzenia albinosa. . .

— Och, Elryku, jakże ja ci zazdroszczę i jak z zazdrości nienawidzę! Nienawidzę cię za to, że cieszysz się życiem! Nienawidzę cię, bo jesteś tym, kim sam mogłem niegdyś zostać! A najbardziej, to nie cierpię cię za twe aspiracje. . .

Skłaniając się ku drzwiom, Elryk spojrział raz jeszcze na Gaynora. Tak, ta wspaniała zbroja miała niegdyś ochronić go przed nieprzyjaciółmi i zagrożeniami, z biegiem czasu stała się jednak niczym więcej, jak tylko więzieniem.

— Ja zaś, Gaynorze Przeklęty — powiedział miękko albinos — współczuję ci z całego serca.

## Rozdział 4

**Wreszcie ład! Niejaki konflikt interesów.  
Czym jest i skąd się bierze likantrofia.**

— W moim świecie mawia się, że ludzkie przesady mierzyć mogą się jedynie z ludzką głupotą. Oczywiście, nikt nie deklaruje się jako przesądny, tego nie ma, podobnie jak paru ledwie głośno przyznało się dotąd do głupoty. . . — perorował Ernest Wheldrake do siwego nawigatora, gdy żeglowali następnego ranka po powolnie falującym Ciężkim Morzu.

Przeżuwający ledwie jadalną soloną wołowinę Elryk zaznaczył, że tak samo wygląda to w przytłaczającej większości społeczeństw zamieszkujących multiwersum.

Nawigator zwrócił szarozielone, przenikliwe oczy na albinosa.

— Znałem całe sfery, gdzie łagodność i umiłowanie rozumu, a także szacunek wobec innych i siebie samego, współistniały z niepokojem intelektualnym i wrzeniem artystycznym — powiedział o mało się nie uśmiechając. — Zaś wszelkie sprawy nadprzyrodzone nie były tam niczym innym, jak tylko metaforą. . .

Wheldrake wyszczerzył zęby.

— Nawet w mojej Anglii, sir, rzadko spotykało się taką doskonałość.

— Nie powiedziałem, że doskonałość jest stanem powszechnym — mruknął siwowłosa, zbierając się z ławy, przeciągając i zerkając na zaniezione niebo. Oblizał cienkie wargi, powąchał wiatr i skierował się na dziób, ku ropusze, która chrapała wciąż na tyle rozgłośnie, że nie pozwalała spać innym. — Oto kometa! — wskazał palcem gdzieś w górę. — A to oznacza, że pewien książę nie żyje. — Nastawił przez chwilę ucha, aż w końcu, mocno czemuś zadowolony, oddalił się do swych obowiązków.

— Tam, gdzie niegdyś mieszkałem — odezwał się grobowym głosem wyłaniający się spod pokładu Gaynor — powiadano, że za każdym razem gdy umiera kometa, gaśnie również życie jakiegoś poety. — Klepnął rękawicą ramię Wheldrake'a. — Czy w twoich rodzinnych stronach uważano podobnie, mistrzu?

— Widzę, że od samego rańca jesteś waść w paskudnym humorze — mruknął Wheldrake, który bardziej nie cierpiał zakutego księcia, niż się go bał. — Azali

nie męczą cię wapory kiszek, czyli sraczka?

Gaynor cofnął rękę, uznając że lepiej będzie nie drażnić się z sir Ernestem.

— Spokojnie, sir. Niektórzy książęta pragną śmierci bardziej niż inni, poeci zaś pieją na chwałę życia, wszyscy to wiemy. Lady Charion. — Skłonił się, aż cały hełm rozgorzał mu ognistą pasją. — Książę Elryku. Aha, i jeszcze pan Snare.

Siwy nawigator nadbiegał z powrotem ze swego stanowiska.

— Szukałem cię wcześniej, książę. Zawarliśmy pewną umowę.

— Nie ma dla cię nadziei — powiedział Gaynor Przeklęty, robiąc krok do przodu, co miało zapewne wyrażać współczucie. — Ona nie żyje. Zginęła, gdy kościół się zawalił. Teraz trzeba nam szukać twojej narzeczonej w Otchłani, Esbernie Snare.

— Obiecałeś mi, że powiesz. . .

— Obiecałem, że powiem prawdę. A prawda jest właśnie taka. Jej dusza czeka na ciebie.

Nawigator spuścił głowę.

— Wiesz, że nie mogę się z nią połączyć! Postradałem prawo do życia po śmierci! A w zamian, o niebiosa łaskawe, zdobyłem rękę istoty nieumierającej. . .

— Wybuchnąwszy tak nagle, Esbern Snare powrócił na dziobowy takielunek i wbił nieprzytomne oczy w horyzont.

Gaynor wydał odgłos przypominający westchnienie, a Elryk zrozumiał, co łączyło obciążonego przekleństwem życia księcia i nawigatora.

Wheldrake jednak zdawał się tryskać radością. Uderzył nawet dłonią w stół, wychlapując napar z ziół na obrus.

— Wielkie nieba, sir, toż to Esbjörn Snorrë! To kwestia wymowy. Wasz akcent, jego akcent. . . Oto, co nie dawało mi spokoju. Ale nie, nie skarzę się. Ostatecznie wypada być wdzięcznym matce naturze, że wyposażyła nas w taką jednostronną telepatię, że wymieszała tak akcenty naszej mowy. Ostatecznie często pozwala to przetrwać nam na oceanie społecznych konwenansów, a przecież wiemy, jak zmienna panuje nad tymi wodami pogoda. Tak, natura wyraźnie postanowiła w ten sposób rozgrzeszyć się nieco za uczynienie naszej egzystencji taką uciążliwą. Zdumiewająca sprawa, gdy tak o niej pomyśleć.

— Ale słyszałeś coś o naszym nawigatorze? — spytała Charion, wyłapując z przemowy poety drobiazg dla niej najistotniejszy.

— Słyszałem o Esbernie Snare, ale tamta historia kończyła się szczęśliwie. Podstępem skłonił trolla do wzniesienia kościoła, w którym mógł poślubić swą narzeczoną. Żona trolla zdradziła mu imię męża i tak uwolniła Esberna Snare od ciężaru paktu. Wciąż słyhać ją czasem, jak zawodzi pod wzgórzem Elshoi. Napisałem nawet o tym balladę, część *Pieśni Norweskich*, splagiatowaną potem, rzecz jasna, przez Whittiera, ale tę kwestię lepiej będzie przemilczeć. Bez wątpienia biedak pilnie potrzebował gotówki, a plagiat przynosi ujmę na honorze tylko wówczas, gdy grosz z niego uzyskany mniej staje się wart niż grosz ukradziony.

— Ale pobrali się, mówisz? — Charion uznała, że ponownie musi interweniować. — Słyszałeś jednak, co powiedział Gaynor?

— Wychodzi na to, że oryginalna opowieść ma jeszcze ciąg dalszy. Ja znam ją tylko do miejsca owej uwiecznionej powodzeniem sztuczki z kościołem. Jeśli doszło później do jakiejś tragedii, musiała ona ulec do moich czasów zapomnieniu. A tak w ogóle, to chwilami mam wrażenie, że to sen, w którym spotykam herosów jak żywych. I jeszcze heroiny, wszelkich łajdaków i rzezimieszków, całe to towarzystwo, które opisałem w mych wierszach. Przychodzą teraz, by mnie straszyc, by się zaprzyjaźniać, stapać ze mną w jedno. Trzeba przyznać, że w Putney nie mógłbym liczyć na tak urozmaicone towarzystwo. . .

— Zatem nie wiesz, skąd Esbern Snare znalazł się na tym statku?

— W tej materii jestem równie ciemny, jak ty, pani.

— A ty, książę? — spytała coraz żywiej przypatrującego się jej albinosa. — Znasz tę historię?

Elryk potrząsnął głową.

— Wiem jedynie, że Snare jest zmiennokształtnym. I to jeszcze, że jest jedną z najciężej przeklętych dusz, wyjątkowej przy tym dobroci i łagodności. Spróbujcie sobie to tylko wyobrazić!

Nawet Wheldrake opuścił głowę, jakby przez szacunek. Ostatecznie niewiele może być rzeczy gorszych niż rozdzielenie dwóch istot nieśmiertelnych, odebranie im naturalnej radości życia. Tak, poznają wówczas jedyni cierpienie śmierci miast ekstazy wiecznego życia. Radość ich jest krótka, a cierpienie wieczne.

Pod wpływem tej opowieści, Elryk przypomniawsobie o ojcu oczekującym pośród ruin, rozdzielonym od jedynej ukochanej istoty za sprawą dobrowolnie zawartej umowy z patronackim demonem, umowy dającej mu odrobinę większą władzę na Ziemi.

Albinos zadumał się nad naturą podobnych umów jako takich, umów z pewnością nie świętych. I jeszcze jego własna zależność od Zwiastuna Burzy, zdolność przywoływania nadnaturalnego wsparcia. . . A nade wszystko, niechęć wyleczenia się z choroby okultyzmu i ta dziwna część jego osobowości pragnąca dopełnienia się losu, poznania wyroków Przeznaczenia. Doczytać dzieło do końca, ujrzeć finał sagi, dowiedzieć się, czemu służyły te wszystkie udręki.

Zupełnie nieświadomie, Elryk ruszył po pokładzie. Minął klatkę z chrapiącą ropuchą i oparł się o obite miedzią mocowanie bukszprytu. Wzrokiem poszukał tkwiącego nieruchomo na takielunku nawigatora.

— Dokąd zmierzasz, panie Snare? — spytał.

Siwowłosa uniósł głowę, jakby dobiegł go znajomy, choć odległy jeszcze dźwięk gwizdka. Potem dopiero zielono-szare oczy poszukały karmazynowych źrenic albinosa. Westchnął głęboko, a na policzkach pojawiły się ślady łez.

— Teraz już nigdzie. Donikąd, sir.

— Dalej będziesz służył Gaynorowi? Nawet wtedy, gdy dotrzemy do lądu?



— Owszem, chyba że zdecyduję inaczej. Jak sam wkrótce ujrzysz, ląd jest nie dalej niż milę przed nami.

— Widzisz go? — zdumiał się Elryk, usiłując dojrzeć cokolwiek przez opary Ciężkiego Morza.

— Widzieć, to nie. Ale mogę go wywąchać.

I rzeczywiście niebawem z ponurych odmętów wynurzyły się strzępiaste klify z czarnego marmuru, coś jakby grzbiet budzącej się bestii, złowrogi cień obrębiony smolistymi plażami, na których niczym dym piekielny gasły mroczne fale...

Ląd wyglądał na tak niegościnnie, że aż Ciężkie Morze zdać się mogło przy nim bezpiecznym schronieniem. To Wheldrake zaproponował, aby może popłynąć trochę dalej, a może uda się znaleźć coś bardziej przystępnego.

Gaynor jednak potrząsnął przecząco hełmem i położył lśniące rękawice na smukłych ramionach Charion Phatt.

— Powiedziałaś mi, dziecko, że pozostali Phattowie są gdzieś tutaj. Czy znaleźli siostry?

Dziewczyna powoli pokręciła głową, a jej twarz spoważniała, oczy zdały się zerkać w jakąś odmienną rzeczywistość.

— Nie znaleźli sióstr.

— Ale i oni, i siostry są tutaj?

— Poza tym... tak... tam... — Wykrzywiła usta i wskazała ku skąpanemu w czarnym pyłe masywowi klifu. — Tak... tam... i jeszcze tam... idą, ale... Och, wujek! Już rozumiem! Siostry jadą. Ale wuj? Gdzie jest babcia? Siostry jadą na wschód. Zawsze teraz kierują się na wschód, taka ich natura. Wracają do domu.

— Dobrze — powiedział Gaynor z głęboką satysfakcją. — Musimy znaleźć dogodne miejsce do lądowania.

Wheldrake zwierzył się Elrykowi z obaw, że Gaynor najpewniej szuka sposobności, by rozbić statek, a pozbawiwszy ich pewnego pokładu pod nogami, zmusić do pościgu *per pedes*.

Ostatecznie statek zarył dziobem w czarny żwir sponiewieranej przyplływami i odpływami plaży.

— Zupełnie jak melasa — mruknął Wheldrake, brodząc z podwiniętym wokół chudego pasa odzieniem przez płyciznę. — Obrzydliwe. Skąd to się bierze, panie Snare?

Esbern Snare wędrował obok z tobołkiem pod pachą, wysoko unosząc nogi.

— Z niczego specjalnego — mruknął. — To tylko drobne naruszenie materii czasu. W tej akurat sferze to sprawa dość powszednia, w mojej rodzinnej nie zdarzała się prawie wcale. Trafiłem tam tylko na jedną taką, kilka stóp zaledwie w pobliżu Bieguna Północnego. Zdarzyło się to chyba gdzieś u schyłku stulecia, w którym panu dane było żyć, mistrzu Wheldrake.

— To znaczy którego stulecia? Bo żyłem w kilku. Można powiedzieć, że jestem bezczasowcem. Pełne ironii zafundowałem sobie przeznaczenie. . .

Esbern wysforował się naprzód, na plażę, za którą w ścianie marmuru otwierała się wielka szczelina. Przez nią to wlewała się patoka złotego blasku.

— Chyba znaleźliśmy drogę na szczyt urwiska — powiedział, chwycił tobolek w zęby i zabrał się do wspinaczki, doskonale znajdując długimi kończynami punkty zaczepienia. Niczym wielki, szary pająk odnalazł najpierw jedną półkę, potem drugą, aż oznaczył dla pozostałych stosunkowo łatwy szlak na sam szczyt. Wspięli się po kolei, Elryk ostatni. Tymczasem marynarze rozpięli ponownie żagiel i, zgodnie z rozkazem Gaynora, zawrócili statek na głębszą wodę. Z pokładu dziobowego rozległo się pełne żalu pojękiwanie dopiero teraz rozbudzonej ropuchy, która zrozumiała, że jej ukochana odchodzi, najpewniej na zawsze.

Gdy stanęli na górze i spojrzeli za siebie, nie dojrzeliby już powierzchni morza skrytego za czarną chmurą, słychać było tylko szum wzbierającego przypływu, coraz słabszy zresztą, jakby sceny zdarzeń oddalały się od siebie lub też klif rósł coraz wyżej.

Elryk obrócił się. Chmury zalegały teraz w dole i lżej było oddychać. Przed nimi rozciągała się monotonna równina połyskliwych skał, z przewagą marmuru, w którym gdzieś jarzyły się światełka, jakby iskry osobliwego życia, któremu kamień równie potrzebny jest do egzystencji, jak tlen pozostałym.

— To wygląda jak kraina trolli. — Esbern Snare przypomniał sobie rodzime lęki. — Czyżbym odbył całą tę długą wędrówkę tylko po to, by zaznać gościnności Trollheim? Wielka byłaby to ironia losu.

Gaynor uciszył go.

— Jeśli zaczniemy rozpamiętywać wszelkie mogące nas oczekiwać kłęski, to zostaniemy tu już na zawsze, panowie. Fakt, że przynajmniej dwóch z naszej kompanii to istoty nieśmiertelne, czyni taką perspektywę szczególnie nudną. Proszę usilnie, Esbernie, nie wspominaj mi tu więcej myślą ni słowem o prywatnych zaszłościach twej obolałej duszy.

Nawigator zmarszczył brwi, może nieco zdumiony tonem upomnienia, które o wiele bardziej pasowałoby do samej osoby upominającego. Gaynor jednak daleki był od podobnych refleksji. Z całej mieszanej mocno kompanii on jeden nie był w stanie odnosić się tolerancyjnie wobec słabości innych, chociaż sam pragnął owej tolerancji nade wszystko. Chyba brakowało mu niegdysiejszej atmosfery pobłażliwości, tak charakterystycznej dla Kosmicznej Równowagi. Co gorsza, robił się coraz bardziej zaleknioty i niecierpliwy, może za sprawą jakichś skrywanych przed pozostałymi sekretów na temat tego lądu i jego mieszkańców? Zamilkł w końcu i nie odzywał się, aż marmur podłoża ustąpił miejsca porośniętej trawą glebie, a teren zaczął opadać ku zdumiewająco urokliwej dolinie, przez którą wił się strumień. Zbocza porastały gęsto drzewa iglaste, nie było jednak widać żadnego śladu mieszkańców, a powietrze robiło się coraz chłodniejsze. Pozba-

wionymi jakichkolwiek szlaków czy ścieżek zeszedli na sam dół, nie raz i nie dwa radując się po drodze, że zabrali w plecakach cieplejszą odzież.

Tylko Esbern odmawiał konsekwentnie nałożenia czegokolwiek więcej, dźwigając swój tobołek przytulony mocno do piersi, jakby bał się, że ktoś mu go zabierze. Elryk coraz lepiej rozumiał starszego pana, który utracił tego dnia wszelką nadzieję.

Nocny obóz rozbili w sosnowym lasku, grzejąc się przy wielkim ognisku. Na czystym, zimowym niebie pojawił się niespodziewanie księżyc, olbrzymi i srebrzysty, rysujący pomiędzy drzewami głębokie cienie mieszające się kontrastowo z migotliwymi cieniami płomieni.

Niedługo podsycane chrustem ognisko rozgorzało tak bardzo, że Elryk, Charion i Wheldrake musieli odsunąć się nieco. Tylko Esbern i Gaynor pozostali tuż obok płomieni, siwowłosey, smutny mężczyzna i widmowy książę w niestałej zbroi, dwóch dawno potępionych nieśmiertelnych, próbując rozgrzać przy ogniu dusze ściśnięte mrozem wiecznej nocy. Istoty, które chętnie zamieniłyby obecne swe życie na żar piekieł, które tęskniły za inną rzeczywistością, znaną niegdyś, za czasami bez cierpienia, czasami, kiedy to rzadko poświęcało się spokój codzienności dla mistycznych skarbów, a zwykle przyjemności dla metafizyki okultyzmu.

— *Ile piękna zawiera się w skrzydle motyla* — powiedziała nagle Charion, jakby myślała o tym samym. — *Szczodrością natury w paku róży zaklęta cud-chwila*. Znasz to, mistrzu Wheldrake?

Poeta odparł, że tego utworu nie ma w jego repertuarze, jednakże zastanawia się właśnie nad metrum właściwym dla oddania uroku obecnej godziny.

— *Wcześniej chyba sen mnie zmorzy* — powiedziała dziewczyna z żalem.

— *Spanie to jeden z najważniejszych tematów moich wierszy* — zgodził się Wheldrake. — *W tej materii wspaniały jest sonet Daniela*. Przynajmniej, jeśli oceniać go według kryteriów akademickich. Znasz go?

*Śnie cudowny, synu sobolowej nocy,  
Bracie śmierci w cichej ciemności zrodzony,  
Przywróć światło, daj ulgę duszy udrepczonej;  
Spraw, niech mnie za dnia jeno mroczy  
Żaloba po młodości marnie utraconej.*

Wyrecytował, zaś lekki, chłodny wietrzyk wtórował mu błędząc pomiędzy drzewami. Nie trwało długo, a pochrapywanie poety dołączyło do odgłosów snu pozostałych.

O świcie spadł śnieg. Podczas gdy większość towarzystwa przeklinała głośno swój pech, jeszcze donośniej szczękając przy tym zębami, Esbern, żwawy niczym

skowronek, zajął się śniadaniem, dziwnie rozkoszując się przy tym swym jestestwem, szczególnie długo manewrując ustami. Na pierwszy tego dnia konflikt nie trzeba było jednak długo czekać.

— Nie pamiętasz, pani, naszej umowy? Umowy, którą sama zaproponowałaś — krzyknął nagle Gaynor.

— Nasza umowa wygasa w tej chwili, sir. Miałeś już ze mnie niejeden pożytek, teraz ponownie należę do siebie. Przyprowaździłam cię tutaj, gdzie możesz już szukać dalej swych sióstr, ale bez mojej pomocy!

— W naszym interesie leży działać dalej razem! Głupotą będzie się rozdzierać! — Książę Gaynor poszukał rękawicą rękojeści miecza i dobyłby go pewnie, gdyby nie zabraniająca tego duma. Uważał, że naturalne siły, którymi rozporządza, wystarczą w pełni, by zapanować nad dziewczyną i widać to było w każdym jego poruszeniu, słychać w każdym słowie. — Twoja rodzina odnajdzie siostry. Jest na to skazana. A my pragniemy tego samego!

— Nie — odparła Charion. — Z jakiegoś powodu, nie mam pojęcia jakiego, siostry podążają w swoją stronę, ale mój wujek gdzie indziej. Muszę za nim podążyć!

— Zgodziłaś się, byśmy razem poszukali trzech sióstr.

— I uważałam tak do chwili, gdy dowiedziałam się, że wuj i babcia znajdują się w niebezpieczeństwie. Ruszam do nich. Niezwłocznie i nieodwołalnie!

I z tymi słowami zniknęła pomiędzy pniami drzew, nie żegnając się z nikim, strącając impetem śnieg z gałęzi, przyspieszając wciąż w kłębach pary oddechu, jakby nie miała chwili do stracenia.

Wheldrake zbierał swoje drobiazgi, krzycząc, by poczekała, bo chce iść z nią! Przecież nie może w trakcie niewiadomych jeszcze przygód obyć się bez mężczyzny. Poeta pożegnał się błyskawicznie a zdawkowo i pobiegł pozostawionym przez dziewczynę w śniegu śladem. Nad popiołem wygasłego ogniska zapadła nagła cisza. Trzej osieroceni w ten sposób mężczyźni popatrywali po sobie niepewnie.

— Poszukasz ze mną tych sióstr, Elryku? — spytał w końcu Gaynor głosem cichym, niemal uprzejmym.

— Mają coś, czego pożądam, zatem muszę je odszukać, by o ów drobiazg poprosić — odparł Elryk.

— A ty, Esbernie? Nadal jesteś z nami?

— Ani mnie te twoje siostry grzeją ni ziębią — mruknął siwowłoso. — Chyba żeby znały klucz do mego wyzwolenia.

— Gdzie są dwa klucze, tam znajdzie się pewnie i trzeci — mruknął Elryk, kładąc Esbernowi przyjacielskim gestem dłoń na ramieniu. — Istnieje w każdym razie takie prawdopodobieństwo, że będą miały i coś dla ciebie.

— Niech będzie zatem. Dołączę do was jutro. Ruszacie na wschód?

— Zawsze na wschód. Tyle przynajmniej wiemy o siostrach — powiedział Gaynor.

Tak zatem trzy wysokie postacie, smukłe niczym łasice w środku zimy, ruszyły na wschód pokonując strome stoki doliny i obchodząc zmarznięte wzgórza, coraz bliżej zwietrzałych granitów starych gór, niepewnych, kruchych przejść, śnieg tymczasem sypał coraz gęściej i coraz solidniejsza pokrywa lodu zagradała im każdorazowo dostęp do świeżej wody. Tylko w południe, gdy słońce rozgrzewało świat, srebrne wstążki wody pojawiały się na białej równinie.

Gaynor milczał posepnie, Esbern zaś rześko skakał z kamienia na kamień wyprzedzając pozostałych, jakby zaniepokojony i uradowany znajomym widokiem zarazem. Przez cały czas, czy maszerował, jadł czy spał, tulił do piersi swój tobołek, tak że pewnego dnia, gdy wędrowali ostrożnie ponad głęboką rozpadliną pełną śniegu, kiedyś mającego zamienić się w materię lodowca, pod którym już teraz płynęły z hukiem jaskiniami i tunelami strumienie wody, Elryk spytał go w końcu, czemuż tak ceni swój bagaż. Czy to może jakaś pamiątka?

Przystanęli dla nabrania oddechu na ścieżce niewiele szerszej od ich stóp, tylko Gaynor podążył dalej niewrażliwy na zmęczenie i grozę ziejącej poniżej otchłani.

— W pewnym sensie jest to skarb! — roześmiał się ponuro Esbern. — Coś, co przyszło mi cenić ponad wszystko. Bardziej nawet niż własne me życie. Życie, nie duszę, bowiem ta najpewniej niewiele jest warta.

— Zatem jest to coś nader cennego dla ciebie — powiedział Elryk, któremu po odejściu Wheldrake'a nader brakowało kompana do rozmów, a nawet więcej, miał wrażenie, jakby cała szlachetna część człowieczeństwa, miłość i beztroska, ulotniły się wraz poetą. Czuł się jak ten lodowiec na dole, zimny i twardy, z szalejącym pod powłoką żywiołem niezdolnym wydostać się na światło dzienne. Może było to coś gorszego, a może tylko brakowało mu słów, by wyrazić umiłowanie świata, które odnaleźć można w przyjaźni. Lepiej niż ktokolwiek inny rozumiał teraz, jak dalece język giętki może zyskać komuś szacunek pośród mieszkańców tego świata, ile ulgi mógłby przynieść samemu księciu, który przecież był człowiekiem z gruntu życzliwym ludziom, chociaż dotąd częściej usiłował okazywać to raczej działaniem niż słowami. Cóż, ostatecznie to bezmyślnie podejmowane czyny, ślepe porywy serca doprowadziły do zagłady tego, co ukochał. Chciał niegdyś to pojąć, zrozumieć, wybrał jednak drogę dyktowaną przez innych, ruszył bezmyślnie starym szlakiem szlachetnie urodzonych Melnibonéan. Załatwiał cudze sprawy. Zresztą, i w tej chwili nie działał w swoim imieniu, nie dla siebie podjął tę misję. W głębi serca wiedział już, że niedługo, a będzie musiał pomyśleć o bardziej twórczych sposobach osiągnięcia tego, co pragnął uzyskać niszcząc Imrryr i całe Imperium Melniboné. Tak, dorósł do spojrzenia z dystansu na przeszłość, ale wciąż jeszcze nie znał odpowiedzi na wiążące się z teraźniejszością pytania. Kilka przykładów, przesłanek, oto wszystko, co dotąd zebrał.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni stali w milczeniu na wąskiej ścieżce patrząc ponad przepaścią na jej drugi brzeg, na nie znające ani króliczych ścieżek, ani ptasich gniazd kamienie. Zupełnie jakby czas, który na Ciężkim Morzu zwalniał jedynie, tutaj zatrzymał się zupełnie. Huk wody pod lodowcem także zamarł, słychać było tylko oddechy wędrowców.

— Kochałem ją — powiedział nagle siwowłosy, wzdragając się, jakby uderzyło go coś ciężkiego. Znow minęła dłuższa chwila, nim ponownie się odezwał. — Na imię miała Helva, pochodziła z Nesvek, była córką tamtejszego lorda, najlepszą i najbardziej kobiecą spośród istot śmiertelnych, mądrą przy tym i utalentowaną, wdzięczną i urokliwą. Nie istniała nigdy kobieta bardziej święta i w naturalny sposób swobodna, niż moja Helva. Ja zaś, cóż, pochodziłem z dobrej rodziny, ale nie tak bogatej i znanej, jak rodzina lorda Nesveku. Ten zaś wielokrotnie powtarzał, że odda rękę swej córki tylko Bogom równemu mężczyźnie. Domyślałem się, że według oczekiwań lorda miałby to być ktoś miły Bogu w kategoriach nie tyle metafizycznych, ile ziemskich, czyli nieprzyzwoicie wręcz bogaty. Taki był według owego lorda naturalny porządek rzeczy. Wiedziałem zatem, że nie mam szans, chociaż ona już wybrała właśnie mnie. Pomyślałem w końcu o przywołaniu nadnaturalnej pomocy, krótko mówiąc, dogadałem się z trollem, który miał wybudować dla mnie przystojny kościół katedralny, najlepszy na całej Północy. Po zakończonej budowie ja zaś miałem odgadnąć imię architekta, w przeciwnym razie moje oczy i serce należałyby do trolla. Szczęśliwym trafem podслуchałem, jak żona trolla śpiewała piosenkę ich dziecku, a stało w tej piosence, że nie trzeba płakać, bo wkrótce Fine, jego ojciec, wróci do domu z ludzkimi oczami i sercem na obiad.

W ten sposób osiągnąłem mój cel, a lord Nesveku nie mógł, rzecz jasna, odmówić zalotnikowi, który zbudował Bogu tak wspaniały i kosztowny, bez wątpienia, pomnik.

Tymczasem, gdy biedna trollowa, zbawczyni moja nieświadoma, zaznawała codziennego lania od rozwścieczonego małżonka, ja zacząłem organizować me własne włości. W pobliżu kościoła, z milę gdzieś od Kallundborg. Budowa rażno postępowała naprzód i bez trollowej pomocy i niedługo można było rozróżnić już wieże mego przyszłego domu ponad wiechą głównej sali, były i porządne pomieszczenia dla służby i zabudowania gospodarcze, a wszystko dzięki wianu Helvy. Wydawało się, że wszystko zmierza, ku dobremu i było tak, aż następnej zimy nasze włości nawiedził wilk. Długa, zimowa noc, która miała być dla nas czasem wspólnej radości, zmieniła się w koszmar za sprawą wielkiej bestii, dwakroć potężniejszej i cięższej od mężczyzny, która zabijała i pożerała psy, bydło, owce i dzieci, a nawet czasem wysysała szpik, jakby wyżywić chciała nie tylko siebie, ale i swoje młode. To ostatnie mocno zdumiało nas w środku zimy, chociaż wiadomo, że wilczyce potrafią mieć szczenięta więcej niż raz w roku, szczególnie jeśli poprzednia zima była lekka, a wiosna wczesna. Potem wilk za-

bił ciężarną żonę mego rządcy, a czego nie pożarł od razu, zabrał ze sobą, tak że nic nie znaleźliśmy w płytkiej jamie, w której zwierzę odpoczywało przez chwilę i uctowało zbierając siły do ucieczki. Bowiern, rzecz jasna, ruszyliśmy wówczas za nim pościg.

Oddział wykruszał się z wolna, mężczyźni zawracali znajdując różne wymówki, które my, rządcą i ja, przyjmowaliśmy za dobrą monetę, aż w końcu sami zostaliśmy na tropie wilka. Pewnej nocy wilk przeskoczył jednak przez ogień, którym naiwnie się od niego na noc odgradziliśmy, i zabrał mego rządcę, zabijając go i przeciągając przez ogień, jakby płomienie wcale go nie parzyły.

Muszę przyznać, że zamarłem wówczas z przerażenia! Wpakowałem bestii kilka strzał z łuku, ciąłem ją mieczem, a ona nic! Rany goiły się błyskawicznie i wiedziałem już, jako jedyny, że nie mam do czynienia ze zwykłym zwierzęciem.

Przez chwilę Esbern w skupieniu maszerował dalej. Nie należało stać zbyt długo, jeśli nie chciało się tu zamarznąć zostawszy na noc bez schronienia. Opowieść podjął dopiero przy następnym odpoczynku.

— Śledziłem bestię, która uważała widocznie, że uwolniła się już od prześladowców. Po to właśnie zabiła najpewniej mego towarzysza, nie z głodu, ale by mnie zniechęcić. I rzeczywiście, na większość szczątków trafiłem już następnego dnia, zdumiawszy się przy tym mocno, bo wiem ktoś, po śladach sądząc człowiek, przywłaszczył sobie większość rzeczy zmarłego, tylko ubranie było zbyt zakrwawione, by komuś się przydać.

Narastała we mnie złość i pragnienie zemsty tak silne, że nie mogłem nawet zasnąć. Zmęczony tak i niewyspany dotarłem pewnej nocy do ludzkiego obozowiska, gdzie przy trzech kwartach księżycą dostrzegłem poprzez drzewa kobietę z dwojgiem małych dzieci, chłopcem i dziewczynką. Ostrożnie nie ujawniałem się, gotów jednak bronić ich, gdyby wilk znów się pojawił. Dzieci ubrane były w skóry zwierzęce i inne, rozmaicie dobrane odzienie, jadły akurat zupę z zawieszzonego nad ogniem kociołka. Kobieta wyglądała na zmęczoną i zniszczoną życiem. Pomyślałem, że mogła uciec od męża-brutala, mogła ocaleć jako jedyna z wioski spalonej przez najeźdźców. Doszedłem aż do terenów pogranicza między Pomocą a ziemiami Południowców, okrutnych nomadów nie znających ani chrześcijańskiego miłosierdzia, ani pogańskiej poczciwości. Coś jednak powstrzymało mnie wciąż przed ujawnieniem się, aż w końcu pojąłem, że traktuje ją jako przynętę na wilka. Ale ten nie przybył, za to ja obserwowałem obozowisko, aż w końcu dostrzegłem wielką wilczą skórę zwieszającą się z pobliskiego drzewa, pod którą to skórą sypiała z dziećmi. Uznałem, że to musi być jakaś sztuczka powstrzymująca wilka od zaatakowania. Spędziłem tam jeszcze jeden dzień, potem noc, a gdy ruszyła dalej, poszedłem w ślad za nią ku odległym góróm zamieszkanym przez dzikich Południowców. Myślałem nawet, czyby nie ostrzec jej przed niebezpieczeństwem, ale coraz bardziej wyglądała mi na kogoś, kto nie obawia się żadnego niebezpieczeństwa. Poruszała się pewnie, dbała o dzieci jak ktoś, kto

z dawna żyje poza zasięgiem cywilizacji, wyłącznie na łonie natury. Podziwiałem ją. Była przystojna, a jej sposób noszenia się sprawił, że zapomniałem o mojej przysiędze małżeńskiej. Pewnie i dlatego tak się też jej przyglądałem. Z wolna zacząłem cenić sobie tę dyskretną znajomość, szpiegowanie jej napełniało mnie osobliwą siłą. Wadzą możliwą do osiągnięcia tylko komuś jej podobnemu. Teraz wiem już, że to była władza raczej niż cokolwiek innego. W przeciwnym razie rychło by mnie zauważyła.

Pewnej nocy, gdy na niebie świeciła pełnia, ujrzałem jak zdejmuje z drzewa wilczą skórę i owija się nią cała, potem opada na czworaki i w jednej chwili zamienia się w wilczycę. Stała tak powarkując z cicha na pozostawione przy ogniu dzieci i patrząc w noc. Wciąż jednak nie zauważyła mnie ani nie wyczuła. Odeszła w kierunku gór i wróciła dopiero w południe dnia następnego dźwigając zdobycz, martwego chłopaka z jakiegoś plemienia nomadów, najpewniej pasterza, bowiem na nim, jak na saniach, ciągnęła jeszcze dwa jagnięta. Ludzkie szczątki zostawiła dla siebie, po czym przybrawszy ludzką postać zabrała jagnięta do obozowiska, gdzie przyrządziła je dla dzieci. Wieczorem, gdy jadły wonny stew, wróciła do swej ludzkiej zdobyczy i pożarła sporo, najpewniej znów pod postacią wilka. Nie widziałem dokładnie, bo wolałem nie podchodzić za blisko.

Do tej pory dotarło do mnie, oczywiście, że kobieta owa jest wilkołakiem, i to nader groźnym, bowiem mającym dwa ludzkie szczenięta pod opieką. Dzieciaki były niczemu nie winne i najwyraźniej nie miały skłonności do likantrofii, czyli wilczego szaleństwa. Pomyślałem, że chyba desperacja musiała skłonić ją do takiego trybu życia, w przeciwnym bowiem razie jej dzieciom groziłaby śmierć z głodu. Z drugiej strony oznaczało to śmierć i zagłodzenie wielu innych dzieci, ofiar jej macierzyńskich starań. To ostudziło moje współczucie. Gdy zasnęła tej nocy objędzona, zebrałem się na odwagę i wśliznąwszy do obozu, zdarłem wilczą skórę z drzewa i wróciłem do lasu.

Obudziła się niemal natychmiast, teraz jednak skóra była moja i wiedziałem, że jestem bezpieczny. Bez niej nie mogła zmienić się w niezwyciężoną bestię. Skryty w cieniu odezwałem się do niej: „Pani, mam to straszne coś, z czego pomocą zabiłaś moich przyjaciół i ich rodziny. Gdy wrócę, spalę to przed kościołem w Kallundborg! Nie zabiję matki na oczach dzieci, tak zatem dopóki jesteś z nimi, nie grozi ci moja zemsta. Zegnam cię”.

Biedaczka zaczęła płakać i zawodzić, zupełnie nie jak matka chowająca w głuszy swe dzieci. Ale ja jej nie słuchałem. Pewien byłem, że trzeba jej wymierzyć karę. Nie miałem oczywiście wówczas pojęcia, jak okrutna jest ta kara. „Czy wiesz, na jakie przetrwanie mnie skazujesz, zabierając mi skórę?”, spytała. „Owszem, pani, wiem” odparłem. „Ale pora dla ciebie ponieść konsekwencje tego, coś uczyniła. W kociołku masz dość mięsa na parę dni, i jeszcze trochę więcej obok obozu. Chyba nie będziesz się nim brzydzić. Raz jeszcze zatem, mówię żegnaj pani. To siedlisko zła spłonie na chrześcijańskim stosie”.



„Miej miłosierdzie” powiedziała. „Przecież jesteś mojej krwi. Niewielu potrafi zmieniać się tak, jak ja. I jak ty. Tylko ktoś taki jak ty mógł wykraść mi tę skórę. Wiedziałam, że ty jesteś dla mnie najgroźniejszy, ale oszczędziłam cię, bo rozpoznałam w tobie pobratymca. Czy nie okażesz się, panie, lojalny raczej wobec wspólnoty krwi i nie ocalisz mych dzieci przed najokrutniejszym losem?”

Nie słuchałem jej jednak dłużej i odszedłem, ona zaś zaczęła wyć jak opętana, krzyczała i błagała niczym zwierzę. Nic w niej nie było wtedy z człowieka. Oto ironia losu nieumierających, że tak przywiązują się do tych strzępków ludzkiej dumy, które im zostały, do wspomnień o tym wszystkim, co utracili w zamian za swój obecny stan! Dla wilkołaka to los najgorszy z możliwych, chociaż w życiu zdarzyć się mogą chwile jeszcze paskudniejsze, a okrutniejsze na pewno. Zostałem wilczą kobietę zawodzącą, praktycznie oszalały wrak już tylko tej istoty, którą była jeszcze niedawno. Trudno sobie wyobrazić jej cierpienie, którego zaznawała już teraz, nie mówiąc o tym, co miało dla niej nadejść.

Ciągu dalszego łatwo się domyślić. Wystarczy pamiętać, jak wszechwładna bywa ludzka głupota. Osaczony przez zimę na pustkowiach, sam użyłem owej skóry. Nim wróciłem do Kallundborgu, była mi ona bliższa niż moja ukochana żona. Szukałem pomocy w religii, ale to tylko pogorszyło moje położenie. Ruszyłem zatem w świat, by znaleźć sposób powrotu do szczęśliwych dni przeszłości. Potem rzuciło mnie jeszcze dalej, podróżowałem od sfery do sfery, aż dowiedziałem się, że łaknący zemsty troll omotał sobie wokół palca pewnego duchownego, bawiącego z wizytą biskupa, skutkiem zaś intrygi cała katedra zawaliła się, i to w chwili, gdy większość mieszkańców okolicy, w tym moja żona, modliła się w środku za zbawienie mej duszy. . .

I to właśnie Gaynor obiecał mi powiedzieć, co stało się z moją żoną. A dlatego oplakuję ją dopiero teraz, choć tyle czasu minęło od zdarzenia.

Elryk nie potrafił znaleźć słów, by ukoić cierpienie tego dobrego człowieka, człowieka przeklętego przez związanie swego losu z ową skórą, zmuszonego do wyboru pomiędzy życiem pełnym dzikiego okrucieństwa a zagubieniem w nicości. I pozbawionym nadziei na połączenie się z ukochaną, nawet po śmierci.

Nie było zatem nic dziwnego w tym, że gładząc głowicę rękojeści miecza Elryk zadumał się nad tym, co łączy go z piekielnym orężem i uznał, że los Esberna jest gorszy o wiele od jego własnego brzemienia.

Gdy podał po chwili dłoń siwowłosemu mężczyźnie, który potknął się w półmroku na kamieniach, uczynił to w taki sposób, jakby chciał wspomóc przyjaciela. Historie ich żywotów były odmienne, ale losy nader podobne. Powoli ruszyli dalej kamienną granią, z dołu zaś znów dobiegł ich złowrogi szum wody wyrzynającej sobie łożyska w zalegających dolinę śniegach.

## Rozdział 5

**Aluzje dotyczące wyższych sfer; jak to się układa między patronami a ich podopiecznymi; ofiara z szaleńca i nie tylko.**

Książę Gaynor Przeklęty przystanął na skalistym zboczu ostatniej góry i zerknął ponad granią na porośniętą mizerną trawą nieużytki po drugiej stronie i widniejący w oddali kolejny łańcuch górski.

— Nic tylko góry i góry — powiedział. — Ale istnieje szansa, że to ostatnie, nadbrzeżne pasmo. Siostry nie mogą być daleko, a na stepie nie powinniśmy ich przeoczyć.

Zjedli mizerne ostatki prowiantu, wciąż nie dostrzegając wkoło ani śladu żadnego zwierzęcia.

— Zupełnie jakby ten łąd nigdy nie był zamieszkały — zauważył Esbern Snare. — Lub jakby życie wypędzono stąd ze szczeniem.

— Widywałem już takie miejsca — mruknął Elryk. — Podejrzana to sprawa i ponure rzeczy sugeruje, bo można by pomyśleć, że albo Ład zwyciężył ostatecznie w takich krainach, albo w skryty sposób rządzi nimi Chaos. . .

Pozostali zgodzili się, że odnoszą podobne wrażenie, Gaynor zaś zdradzać zaczął coraz większe zniecierpliwienie i usilnie nalegał, by jak najszybciej ruszać ku tym drugim górcom.

— Żeby tylko siostry nie wsiadły tam na jakiś statek — poganiał ich, ale Esbern, który nie czerpał sił życiowych ani z mocy nieczystych, ani ze smoczego jadu, był już solidnie głodny i zdradzać zaczął oznaki zmęczenia. Coraz częściej gładził na dodatek przytulony do piersi tobolek i Elrykowi zdawało się nawet raz i drugi, że słyszy z jego strony ciche zawodzenie i powarkiwanie, a gdy usiłował spojrzeć w oczy siwowłosego, dostrzegł w nich jedynie cierpienie.

Nad ranem rozbili obóz, i wówczas okazało się, że Esbern Snare, Wilkołak Północy, zniknął gdzieś, ulegając najwyraźniej pokusie, która nie dość, że odebrała mu niegdyś nadzieję, to wciąż nie chciała go opuścić. Dwakroć zdawało się Elrykowi, że słyszy odległe, pełne żalu wycie, ale głos odbijał się echem od zboczy gór i nie sposób było ustalić kierunek, z którego dochodził. Potem zaległa cisza.

Przez cały dzień i noc Gaynor i Elryk nie zamienili nawet słowa, maszerowali tylko niczym w transie ku górom. Następnego ranka stwierdzili jednak, że grunt podnosi się nieco, przechodząc w łagodne wzgórza, spomiędzy których sączy się z wolna stłumiony zgiełk mogący zwiastować osadę, a może nawet i spore miasto.

Podniesiony na duchu Gaynor klepnął Elryka w ramię.

— Już niedługo, Elryku — powiedział niemal radośnie. — Znajdziemy, czego szukamy.

Albinos nic nie odpowiedział zastanawiając się, czy nie szukają przypadkiem tego samego, jeśli nie zawartości, to przynajmniej opakowania. To ostatnie znów skierowało jego myśli ku Róży i posmutniał.

— Może powinniśmy powiedzieć sobie dokładnie, czego oczekujemy od trzech siostr — mruknął Elryk. — Żeby nie było nieporozumień, jeśli faktycznie je tu spotkamy.

Gaynor wzruszył ramionami i zwrócił hełm ku Elrykowi. Wyglądał na o wiele pogodniejszego niż jeszcze parę chwil temu.

— Nie pożądamy tej samej rzeczy, Elryku z Melniboné, tego możesz być pewien.

— Ja szukam pudełka z drewna różanego — wyjął albinos.

— A ja kwiatu — rzucił Gaynor. — Kwiatu, który kwitnie od początku Czasu.

Byli już blisko szczytu wzgórza, gdy ziemia zatrzęsa się, omal nie zwałając ich z nóg. Huk powtórzył się, donośny, wibrujący, zupełnie jakby ktoś uderzał w gigantyczny gong. Elryk zakrył uszy, Gaynor opadł na jedno kolano, niczym przyciśnięty do ziemi gigantyczną dłonią.

Dźwięk i wstrząsy powtórzyły się po dziesięciokroć, ale drgania i echa nie milkły, chwiejąc szczytami pobliskich gór.

Mogąc wreszcie uczynić krok, podeszli na szczyt wzgórza, by po drugiej jego stronie ujrzeć osobliwą konstrukcję, przy czym obaj byli gotowi przysiąc na cokolwiek, że istnieje ona w tym miejscu dopiero od paru chwil, chociaż wyglądała nad wyraz solidnie. Była to skomplikowana maszyna złożona z drewnianych legarów i monstrualnych kół zębatach, a wszystko to skrzypiało i jęczało, obracając się powoli, ale niewstrzymanie, pobłyskując metalowymi częściami z miedzi i brązu, srebrnymi drutami, lewarami i przeciwwagami układającymi się w osobliwe wzory i struktury. W środku zaś kręciły się tysiące ludzkich postaci przesuwających się po masywnych wspornikach, obracających dźwignie, chodzących w wielkich młynach kieratów, przenoszących piasek i wodę w cebrach, przemykających ostrożnie pomiędzy wyważonymi starannie sworzniami. Całość zaś trzęsa się, jakby zaraz miała się zawalić miażdżąc wszystkie te nagie postaci mężczyzn, kobiet i dzieci. Na samym szczycie sterczała olbrzymia kula, którą Elryk w pierwszej chwili wziął za kryształową, potem jednak pojął, że widzi największą, jaką dotąd napotkał, sferyczną błonę ektoplazmatyczną i od razu odgadł, kto siedzi w środku, bowiem mało który czarownik na Ziemi nie próbował kiedyś zgłębiać

boskiego sekretu czynienia takich cudów...

Gaynor również zdał sobie sprawę z tego, co widzi i wyraźnie obawiał się, jaki to duch wylezie zaraz z tej misternej maszyny, gdy wkoło rozbrzmiał melodyjny głos:

— No i widzicie, skarbuszki, w jaki to sposób Arioch wprowadza miarę czasu w świecie, który czasu nie zna. Jeden z drobnych pożytków płynących z Chaosu i hołd, który składam Równowadze.

Wypowiedź zakończył wybuch rubasznego i okrutnego śmiechu.

Monstrualny zegar tykał i zgrzytał, stukał i rzeził, trząsał się i wzdrygał, zaś w kołyszącej się wraz z całą konstrukcją kuli na szczycie pojawiało się od czasu do czasu a to gniewne oko, a to pełna klów, wykrzywająca się milcząco morda czy sięgająca drapieźnie, pazurzasta łapa gotowa rozedrzeć wszystko, co znajdzie się w polu zasięgu, skutecznie jednak uwięziona w najdoskonalszej klatce znanej we wszystkich światach. Zaś jedyną istotą, która mogłaby wymagać takiego aż zamknięcia, mógłby być tylko Bóg ze Światów Centralnych!

Gaynor, który dochodził równocześnie do tych samych wniosków, co Elryk, cofnął się o krok i rozejrzał wkoło, jakby w poszukiwaniu ucieczki, ale tej nie było, a Arioch śmiał się coraz głośniejszym, widząc jego zmieszanie.

— Tak, Gaynorku, wszystkie twoje głupawe gry i zabawy donikąd cię zawiodły. Kiedy wreszcie się nauczysz, że nie masz w sobie ani dość charakteru, ani siły, by stawiać się Bogom, nawet tak mizernego stanu jak ja czy obecny tu hrabia Mashabak? — Śmiech wciąż przybierał na sile.

Tego właśnie Gaynor obawiał się najbardziej. Jego pan, jedyny byt gotów bronić go przed Ariochem, przegrał walkę. Co oznaczało, że Sadryka również mogło spotkać niepowodzenie w jego pojedynku z patronem.

Zbyt wiele jednak Książę Przeklęty stracił do tej pory, zbyt wielu strachom stawiał czoła i zbyt wiele przeżył, by dać poznać po sobie niepokój. Wyprostował się, złożył ręce na piersi i opuścił głowę, jakby w geście skruchy.

— A zatem to ciebie muszę teraz zwać moim panem, Ariochu — powiedział.

— Właśnie, właśnie. Zresztą, zawsze nim byłem. Zawsze interesowałem się jego niewolnikami i moimi ludzikami, którzy tak wspaniale nieraz odbijają w swoich snach i ambicjach dążenia Bogów. To do Ariocha właśnie zwracają się zwykle śmiertelnicy, gdy pragną wsparcia Chaosu. A ja was kocham, najbardziej zaś kocham lud Melniboné, a zwłaszcza Sadryka i Elryka.

Gaynor czekał, wciąż z pochylonym hełmem, jakby spodziewał się jakiejś nader niemiłej niespodzianki.

— Patrzcie, jak dbam o mych niewolników — ciągnął wciąż niewidoczny Arioch, zaś źródło rozbawionego głosu przemieszczało się nieustannie z jednego końca doliny na drugi. — Zegar podtrzymuje ich żywoty, gdyby którykolwiek z nich, młody czy stary, ustał choć na chwilę w wysiłkach, cała konstrukcja się zawali. W ten oto sposób moje stworzonka uczą się, czym jest niezależność. Niech

choć jeden sworzeń znajdzie się w złym miejscu, jedno wiadro wody pocieknie gdzie nie trzeba, zdarzy się jeden fałszywy krok w młynie kieratu, niechby czyjaś ręka zawahała się na dźwigni, a zniszczenie ogarnie wszystko. By żyć, muszą pracować przy zegarze, przy czym każdy odpowiedzialny jest za życie pozostałych. Wprawdzie mojego przyjaciela, hrabiego Mashabaka, nie spotkałaby wówczas żadna szczególnie krzywda, to miłym byłby mi widok, jak jego mała cela stacza się pomiędzy ruiny. Widzisz swego niegdysiejszego pana, Gaynor? Co takiego kazał ci znaleźć?

— Kwiat, panie. Kwiat, który żyje od tysięcy lat, od chwili gdy został zerwany.

— Ciekawe, czemu Mashabak sam nie chciał mi tego powiedzieć. Zadowolony jestem z ciebie, Gaynor. Będziesz mi służył?

— Jak sobie życzysz, panie.

— Dobry niewolnik, znów cię kocham! Dobry, posłuszny niewolnik. Och, jak cię kocham, cukiereczku!

— A ja kocham ciebie, panie — odparł zgorzkniałe Gaynor, który doświadczył już niejednej porażki i frustracji. — Jestem twym niewolnikiem.

— Moim niewolnikiem! Jak cudownie! A nie zdjąłbyś tego hełmu, by pokazać mi swe oblicze?

— Nie mogę, panie. Nie ma tam zresztą nic do pokazania.

— Zatem niczym jesteś, Gaynor, masz tylko tyle życia, ile ja ci daruję. Tyle tylko siły, ile przekażę ci z Otchłani. Porusza cię tylko wszechwładna zachłanność. Czy chcesz, abym cię zniszczył, Gaynor?

— Jeśli taka twoja wola, panie.

— Myślę, że nie zaszkodzi, jeśli popracujesz trochę na rzecz zegara. Chcesz? Czy może wolisz ruszyć w dalszą drogę?

Elrykowi niedobrze już robiło się od tej całej gadaniny. Czyżby i jego przeznaczeniem miało być służenie Chaosowi w ten sam sposób, bez cienia chociażby szacunku wobec swej osoby czy wolnej woli? Czy to była ostateczna cena płaconą przez wszystkich, którzy zawarli pakt z Chaosem? Wiedział jednak, że los jego był odmienny, a wola wciąż do pewnego stopnia wolna. A jeśli to tylko złudzenie, iluzja, w której Arioach utrzymuje go, by osłodzić gorzką prawdę? Zadrzał.

— A ty Elryku, chciałbyś popracować trochę w zegarze?

— Jeśli już chciałbym czegoś, to ciebie zniszczyć, panie — powiedział zimnym tonem albinos z dłonią na rękojeści piekielnego miecza. — Pakt nasz opiera się na tradycji i dziedzictwie krwi moich przodków. Nie zaprzedałem ci własnej duszy, jedynie dostarczam ci dusze innych.

Czuł w sobie siłę, której nawet Książę Piekieł nie mógł się skutecznie przeciwstawić. Wciąż część jego duszy była wolna, chociaż albinos widział przed sobą i taką możliwą przyszłość, w której ów ostatek swobody zostanie mu odebrany. A wówczas tylko pustka już i beznadzieja Gaynora Przekłętego...

Bez pogardy spojrzął na swego kompana, lepiej rozumiał teraz tragedię tej istoty, wciąż samemu będąc jeszcze w lepszej o stopień sytuacji.

Coś zachrobotało w ektoplazmatycznym więzieniu. Najwyraźniej hrabia Mashabak nie omieszkał wyrazić radości z połajanki, która spotkała rywala.

— Nie zapominaj, Elryku, że jesteś mym niewolnikiem — zamruczał lord Chaosu. — Zawsze nim pozostaniesz, tak jak wszyscy twoi przodkowie byli moi...

— Prócz jednego, tuż przede mną — stwierdził twardo Elryk. — Kto inny złamał tę umowę, Ariochu. Ja już niczego nie odziedziczyłem. Jak wspomniałem, ilekroć mnie wspierasz, odpłacam ci tymi duszami, które teraz poruszają twój zegar. Ani ci nie zazdroszczę, ani nie skąpię ci niczego. Bez mego wezwania, jak sam wiesz to świetnie, nie możesz przecież, podobnie zresztą jak wszyscy Bogowie, wnikać do mego świata. Tym sposobem jestem najpotężniejszym spośród wszystkich śmiertelnych czarowników. Tylko mnie jednemu wrodzona jest moc, by przywoływać cię poprzez wymiary i ja jedynie potrafię utworzyć psychiczny most, po którym przybywasz. Sam wiesz to doskonale. Oto czemu pozostaje przy życiu. Oto czemu mnie wspierasz. Jestem kluczem, który Chaos ma nadzieję wykorzystać pewnego dnia, by rozewrzeć szeroko drzwi do niezdołanego dotąd multiwersum. Oto źródło mej siły. A ponad wszystko, Ariochu, ode mnie zależy, jak ową siłę wykorzystam, sam decyduję, z kim i na jakich warunkach zawierać przymierza. Oto ma siła i tarcza przeciwko groźbom i mściwości zaświatów. Uznaję cię jako mego patrona, szlachetny demonie, ale nie jako mego pana.

— Głupio gadasz, Elryczku. Mlecz na sierpniowym wietrze. Przecież wcale nie pragnąłeś się tu znaleźć, a proszę, jesteś. A i ja, postarawszy się nieco, objawiłem się dokładnie tam, gdzie chciałem. No i gdzie tu wolność wyboru, kochany, bezbarwny przyjacielu?

— Skoro tak już stawiasz sprawę, Ariochu, to przyznać muszę, że wybierając między samostanowieniem lub podporządkowaniem się tobie, nadal wolę być sobą. Ostatecznie nieustanne panowanie Chaosu, podobnie jak i Ładu, musi być niezmiernie nudne. Jest jak niezmienny stan śmierci. W multiwersum spotkać zaś można jeszcze wiele innych stanów niż tylko twoja martwota. Żyję zatem i nie zamierzam tego zmieniać.

Z hełmu księcia Gaynora dobiegło coś jakby pohukiwanie. No tak, podobnie jak Esbern Snare, nie należał on ani do świata żywych, ani martwych.

Nagle, na samym wierzchołku kuli pojawiła się postać nagiego młodzieńca urody tak cudnej, jakby dopiero co przybył tu z mitycznej Arkadii. Przepiękne oblicze kryło jednak oczy pełne okrucieństwa i kłamstwa, zapowiedzi wszelkiej możliwej perwersji i odstępstwa.

Zjawa zachichotała.

To Arioch zachichotał. Potem wykrzywił usta i zeszczał się na ektoplazmatyczną kulę, zaś jego bezradny rywal zaryczał ze złości jak przypalany blaskiem

tysiąca słońc.

— *Pomyłony Jack Porker znów dostał po kulasach; stuknęli go w główkę i walili tak, aż ducha wyzionął, och, zachłanny Porker. Chciwy Porker, chciwy Porker, za garb go wzięli, i zrobili tak...* Spokojnie, kochany hrabio, proszę cię, muszę sobie ulżyć, nie wierć się więc, bo jeszcze sobie nogi opryskam. Paskudny z ciebie demon, za nic manier, zawsze to powtarzałem... Cha, cha... Czujesz woń serka? A może chcesz lodu, jak Jim? Hę, hę...

— Jak zapewne wspomniałem już wcześniej — odezwał się Elryk do znieruchomiłego w ukłonie Gaynora — najpotężniejsze z bytów nie muszą być wcale najinteligentniejsze. Ba, nie są nawet zrównoważone umysłowo, o dobrym wychowaniu nie mówiąc. Im lepiej poznaje się bogów, tym mniejsze ma się co do nich złudzenia...

Odwrócił się plecami do Ariocha i jego zegara ufając, że patronacki demon nie zdecyduje się na żaden zbrodniczy zamach. Wiedział, że jak długo chowa jeszcze odrobinę szacunku do samego siebie, nic nie zdoła go złamać. To było dokładnie to, co niektórzy woleli nazywać nieśmiertelną duszą.

Albinos czuł jednak, że z każdym słowem i ruchem słabnie coraz bardziej, pragnąc wykrzyczeć rozgłosnie, że nie jest nikim więcej ponad niewolnika Ariocha i nader wszystko pragnie zadowolić swego pana, podporządkować się każdemu jego kaprysowi, przyjmując wszelką karę. To ostatnie mogło się zresztą i tak zdarzyć w każdej chwili.

Elryk wiedział bowiem świetnie, że każdy kompromis z tyranią jest w ostatecznym rozrachunku poddaniem się jej i zgodą, by owa tyrania zmiażdżyła poddanego. Jediną logiczną szansą na przetrwanie i pozostanie przy zdrowych zmysłach jest nieustanny opór. Ta świadomość dawała Elrykowi siłę, podsycala w nim bunt przeciwko niesprawiedliwości i nierówności, ugruntowaną odwiedzeniem Tanelorn wiarę, że można żyć w zgodzie ze wszystkimi śmiertelnymi, pozostając niezmiennie ciekawym świata i wolnym. Takie wartości nijak nie dawały się pogodzić z dyktatem Chaosu. Niezależność miała oczywiście swą cenę, a była nią świadomość posiadania własnego sumienia. Elryk żyć musiał pamiętając, kogo zabił czy skrzywdził, które to brzemie, jak można było się domyślić, zbyt wielkim okazało się dla Gaynora. Jego poczucie winy było o wiele potężniejsze.

Spojrzał ponownie na obsceniczny zegar, okrutny żart Ariocha uwielbiającego bawić się zarówno swymi niewolnikami, jak i cieszyć przegraną wroga. Widowsko burzyło krew w Elryku nieprzywykłym do biernego przyglądania się cudzym nieszczęściom i do tak monstrualnego cynizmu.

— Czy przyniosłeś mi duszę swego ojca, Elryku? Gdzie jest ta wiedźma, którą kazałem ci znaleźć?

— Wciąż ich szukam, Ariochu. — Elryk wiedział, że Arioch nie ustanowił jeszcze pewnej władzy nad tymi obszarami i musi czuć się wciąż nieswojo w nowym wymiarze. A to oznaczało, że władza obecnie tylko ułamkiem tych sił, który-

mi rozporządza we własnej domenie, gdzie tylko zupełny szaleniec odważyłby się mu sprzeciwić. — A kiedy ją znajdę, wówczas oddam ją ojcu. Powiedziałbym, że według mnie powinniście tę sprawę rozstrzygnąć między sobą.

— Im dalej jesteśmy od mego królestwa, tym bardziej przybywa ci odwagi, łasiczko. . . Ale i ten kawałek świata też niedługo będzie mój. Cały. Nie złość mnie lepiej, bladolicy kochasiu. Przyjdzie czas, gdy będziesz bez reszty na me rozkazy!

— Możliwe, wielki panie piekielny, ale póki co jeszcze jest inaczej. Nie zamierzam ustanawiać żadnych nowych paktów z osobą waszeci. Skłonny jestem sądzić, że w takiej sytuacji, zechcesz raczej, panie, pozostać przy naszym starym układzie miast żadnego.

Arioch warknął z wściekłości i aż uderzył pięścią w ekto plazmatyczną powłokę, hrabia Mashabak zaniósł się zaś w środku szalonym śmiechem. Księżę Piekieł przyjrzał się pograżonym w pracy tysiącom i wymierzył palce w jedną z postaci, jakby chciał strącić ją ze stanowiska i tym samym przywieść zagładę na cały mechanizm.

Potem zerknął na nieruchomego Gaynora.

— Odszukaj dla mnie ten kwiat, a uczynię się Kawalerem Chaosu, nieśmiertelnym giermkim władającym w naszym imieniu tysiącem królestw.

— Znajdę ten kwiat, wielki diuku — odparł Gaynor.

— A ciebie, Elryku, wykorzystamy, aby innym dać przykład. Zwyciężając cię, teraz i tutaj, zapanuję w pełni nad tym planem.

Złociste ramię wystrzeliło nagle, rosnąc coraz dłuższym, w kierunku twarzy Elryka. Jednak wprawny latami walki albinos błyskawicznie wyciągnął miecz i Zwiastun Burzy groźnym pomrukiem rzucił wyzwanie mieszkańcom wszystkich światów, by przyszli, by rzucili się na czarne ostrze, pożywili oręż i jego dzierzyciela. Ten miecz nie należał wprawdzie do nikogo, znał jednak w swej niezależności lojalność i uznawał zwierzchnictwo Elryka, czuł się z nim związany podobnie, jak i albinos, któremu potrzebna była do przeżycia dostarczana przez oręż energia. Nieświęta ta symbioza, bardziej tajemnicza niż wszystko, co śniło się filozofom, uczyniła z Elryka wybrane dziecko Losu, w ostatecznym rachunku pozbawiając go jednak upragnionego szczęścia.

— Nie może być! — Arioch wycofał błyskawicznie zagrożoną amputacją kończynę. — Siła nie powinna napotykać innej siły! Jeszcze nie! Nie teraz!

— Więcej jest w multiwersum sił, niż Ład jeno czy Chaos, mój panie — odparł spokojnie Elryk nie opuszczając miecza. — Niejedną z nich można nazwać wrogą twej osobie. Lepiej zatem mnie nie złość.

— Proszę, proszę, oto najodważniejsza z moich duszyczek, wybrana spośród śmiertelnych, by rządzić nimi w moim imieniu. Całe światy będą twoje, Elryku, całe sfery drzeń będą przed twymi kapryсами. Cała ta rozkosz może być twoja, tyle doświadczeń. Nieskończona rozkosz. I to za darmo, bez konsekwencji, bez ceny, którą by trzeba potem zapłacić, Elryku!



— Wyjaśniłem już moje stanowisko w kwestii wszelkich nieskończoności czy wieczności. Może nadejść i taki dzień, kiedy uznam, że mój los spoczywa w całości w twoich rękach. Na razie jednak. . .

— Mogę zaatakować twą pamięć. Tyle mogę!

— Tylko do pewnego stopnia, Ariochu. Nie tkniesz snów, a w snach pamiętam wszystko. Na dodatek to miotanie się z planu do planu i ze sfery do sfery wymieszało skutecznie moje sny i jawę, toteż teraz są już jednym. Owszem, możesz naruszyć mą pamięć, ale tylko z wierzchu. Pamięci duszy nie sięgniesz.

Oszalały już zupełnie hrabia Mashabak dostał spazmów w swym więzieniu.

— Gaynor! — krzyknął z przekrwionymi ślepiami do swego niegdysiejszego sługi. — Uwolnij mnie, a nagrodzę cię dziesięć razy szczodrzej, niż obiecałem!

— Śmierci — odparł nagle Gaynor. — Śmierci. To jedyne, czego pragnę. A tej mi ofiarować nie możesz!

— Boś cenny dla nas nader. . . — odparł cherubinek na szczycie kuli, chichocząc przy tym niczym spłoszony strzyżyk. — Ja jestem Chaosem. Jestem wszystkim. Władcą nielinearności, kapitanem przypadku, celebrantem entropii! Jestem wiatrem znikąd, jestem zgubą światów, księciem niezliczonych wariantów, poliposybilistą! Jakież cudowne zmiany zajdą na obliczu multiwersum, jakież to związki perwersyjne zawarte zostaną przed kapłanami piekła, ile zawiść i rozkoszy nas czeka, Elryku! A wszystko to nieprzewidywalne. Przypadek jeden stanowi w multiwersum wszelką sprawiedliwość, on decyduje o rzadkich nader narodzinach bogów czy ich anihilacji! Tak, wygnać trzeba rozum na rzecz rewolucji, wiecznych zmian! Niech żyje zatem Rewolucja i Kryzys Nieustanny!

— Obawiam się, że zbyt wiele czasu spędziłem ostatnio pomiędzy łagodnymi mieszkańcami Młodych Królestw — odparł spokojnie Elryk — byś skusił mnie tymi obietnicami, panie. Nie zamierzam też udawać, że się ciebie boję. Razem z księciem Gaynorem mamy coś jeszcze do zrobienia, jeśli zatem chcesz, byśmy jeszcze przydali się sobie wzajem w przyszłości, to proponuję, abyś puścił nas w dalszą drogę.

Arioch poprawił kształtne poślądki na kuli.

— Ten przeklęty może iść, gdzie chce — powiedział słodkim głosem. — A jeśli o ciebie chodzi, oporny sługo, nie mogę bezpośrednio cię ukarać, ale mogę zatrzymać cię w wędrówce na tak długo, aż mój bardziej godzien zaufania podwładny wypełni swe zadanie. A obiecuję mu za to nagrodę o wiele wyższą niż Mashabak. Obiecuję mu śmierć.

Gaynor zatchnął się aż w zbroi i padł na kolana, najpewniej z wdzięczności.

Arioch uniósł w obu pięściach wydobyte skądś złote młoty, a młodzieńcze rysi wykrzywiły się w mściwej radości, gdy uderzył, najpierw jednym, potem drugim, w ektoplazmatyczną kulę. Za każdym uderzeniem rozlegał się dźwięk gongu, zaś hrabia Mashabak zakrył łuskowatymi łapami swe symetryczne uszy i zamknął się w milczącym cierpieniu.

— Oto czas! — krzyknął Arioeh. — To Czas!

Elryk też zakrył uszy dłońmi i padł na ziemię. Podobnie Gaynor, skrzeczący przy tym głosem tak wysokim, że aż przebijał się ponad dudnienie gongu.

Elryk poczuł, jak materia jego osoby zaczyna być powoli, z niemal niesłychalnym, niskim gwizdem przeciągana z jednego planu do drugiego. Spróbował oprzeć się tej sile, dzięki której Książę Piekieł zmieniał już nie raz historię, rujnując całe narody i wymiary, ale usiłowania były bezskuteczne, miecz zaś był w tej walce na nic. Więcej nawet, Zwiastun Burzy zdawał się z radością opuszczać ten pozbawiony życia plan, w którym nie mógł liczyć na żadne wolno chodzące dusze do pożarcia, zaś o użyczeniu jakiejś przez Arioeha nie było co marzyć.

Patrząc, jak okrywa się mgłą monstualny zegar, jak coraz mniej wyraźna staje się sylwetka Gaynora, albinos dostrzegł jeszcze wielki, szary kształt sadzący ku niemu susami z wywieszonym językiem, pałającymi zielono szarymi ślepiami, bielejącymi kłami i pazurami drącymi ziemię. Poznał głodnego wilkołaka na tyle oszalałego zapewne z łaknienia, że stworzenie gotowe było nawet zaryzykować spotkanie ze Zwiastunem Burzy!

Ale nagle bestia zawróciła, ślina pociekła jej z pyska. Nastawiła uszy, potem położyła je po sobie, aż płynnym ruchem, zupełnie jakby nagle zawisła w powietrzu, rzuciła się na wciąż chichoczącego Arioeha, który pisnął zdumiony gdy Esbern Snare zatopił kły w gardle tego, w kim rozpoznał prawdziwego sprawcę swych nieszczęść.

Arioeh został kompletnie zaskoczony, a że niewiele miał jeszcze sił w tym planie, nie mógł ani zmienić postaci, ani uciekać, bowiem wówczas jego dopiero co uwięziony rywal niechybnie łatwo wy dostałby się na wolność, a do tego bóg za nic nie chciał dopuścić. Podjął zatem walkę na chybotliwym szczycie zegara, zaś dusze poniżej pracowały potępieńczo, by odparować wszelkie nieprzewidywalne ruchy całego urządzenia. Elryk ujrzał jeszcze wilcze ciało Esberna płonące jaskrawym, czerwonożółtym blaskiem, jakby wilkołak z radością wypromieniowywał z siebie ostatki życia.

Potem ektoplazmatyczna kula zachwiała się i wraz ze szczepionymi w zmaganiach Esbernem i Ariochem runęła na ziemię. Coś błysnęło i ciemność pochłonęła Elryka, unosząc go przez szczeliny w murach odgradzających tysiące wymiarów, z których każdy gorzał inną barwą i innym głosem protestował przeciwko gwałtowi. Ostatnim wysiłkiem Arioeh zdołał jednak pchnąć go w szaloną podróż po multiwersum.

Esbern Snare wiedział o tym i dlatego tak długo czekał na sposobną chwilę, by przyjść przyjaciółom z pomocą.

Był to bowiem rzeczywiście człowiek rzadkiej prawości i dobroci, który na zbyt długo pozostawał w niewoli złych sił. Zdażył ujrzeć, jak wniwecz obraca się wszystko, co było dlań cenne. Nie mogąc odzyskać, jak sądził, swej nieśmiertelnej duszy, postanowił przynajmniej unieśmiertelnić swą osobę takim czynem, który

na zawsze powiąże jego postać z dobrem i miłością, aż legenda o nim przetrwa wiele lat, powtarzana z ust do ust w niejednym świecie.

W ten to sposób Esbern Snare, Wilkołak Północy jeśli nawet me odzyskał duszy, to na pewno przywrócił dobrą sławę swemu imieniu.

**KSIĘGA TRZECIA**

**RÓŻA UWOLNIONA;  
RÓŻA OŻYWIONA**

*Trzy szybkie miecze dla sióstr trzech;  
Pierwszy z kości słoniowej, imię ma „Stary Człek”.  
Drugi z bitego złota, „Żaru Pochodnią” się zowie.  
A trzeci, granitowy, („Wolność” mu) —  
Ten ciągle głodny jest.*

Wheldrake,  
*Ballady Pogranicza*

# Rozdział 1

**O orężach obdarzonych wolną wolą; rodzina znów razem, przyjaciele odnalezieni, a wyprawa ciągnie dalej.**

Elryk walczył ze skutkami gniewu Ariocha. Wyciągnął lewą rękę, jakby chciał złapać dłonią samą materię czasu i zwolnić nieco tempo szalonej wędrówki przez wymiary, prawą dłoń zacisnął na zawodzącym nieustannie runicznym mieczu. Oręż pulsował wściekłością na Księcia Piekieł, który wyładował całą dostępną mu energię temporalną w jednym, żalonym w sumie, akcie zemsty. Ostatecznie Arioch udowodnił w ten sposób, że jest typowym wytworem Chaosu, istotą chimeryczną gotową dla chwilowej satysfakcji zniszczyć wszystko, co nie pasuje do obrazka stochastycznej przyszłości. Skłonność z dawna znana i podpowiadająca, czemu nie należy zawierzać Chaosowi, podobnie zresztą jak i Ładowi (gotowemu przedsiębrać nader podobne akcje, tyle że w imię pryncypialnych wartości, których zasadnicze wykładnie dawno zostały już zapomniane; w ten sposób Ład, powołując się na Intelpekt, potrafił zgotować śmiertelnym nie mniej strapień niż głoszący nadrzędność Wrażliwości Chaos).

Takie to myśli nawiedzały albinosa, kiedy to płynął, pokonując promieniście kolejne bariery multiwersum tworzącego niemal nieskończoność. Niemal, bowiem wieczność czy nieskończoność wymykają się pojęciom rozumu, który zwiedziony takimi okolicznościami popada w stan bolesnego oczekiwania na koniec poniewierki, który nie następuje. Wieczność jest śmiercią dla czasu, ale przecież winna nieść również zagładę dla samego oczekiwania, zatem stawać się początkiem życia, życia prawdziwie wolnego! Tak i Elryk pomyślał o pięknie i doskonałości multiwersum, o tym osobliwym, acz urokliwym stanie psychicznym zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią, pomiędzy Ładem a Chaosem. Stanie, w którym akceptuje się wszystko, co nadchodzi, kocha się wszystko i wszystko jest się gotowym ocalać w trakcie nieustannej transformacji. Wieczna chwila nieustannie ewoluujących społeczeństw, istot inteligentnych działających swobodnie pod łaskawym okiem sił nadprzyrodzonych, zmienność, która jednak nie tępi różnicowania a hołubi je w ramach harmonijnej anarchii — ten znany mędrcom naturalny stan dowolnej istoty w dowolnym świecie, przez niektórych utożsamia-

ny z pełnią wszechwiedzy czy Sumą Nieskończoności.

Ludzka miłość, myślał albinos, kiedy to kolejne wszechświaty połykały go i wypluwały, jest jedyną stałą, jedyną niezmienną wartością pozwalającą nam mierzyć się z nieugiętą logiką entropii. Jakby słysząc to, miecz zadrżał w jego dłoni. Czyżby chciał się uwolnić zde gustowany tak sentymentalnym altruizmem? Elryk jednak mocniej przytrzymał ostrze, które było dlań w owej chwili jedynym punktem stałym, punktem oparcia w szaleństwie Czasu i Przestrzeni, w którym zatraciły się już wszelkie kolory i dźwięki.

Miecz znów zaprotestował, usiłując obrać własny kurs poprzez wymiary, a Elryk z szacunkiem pomyślał o tej sile, która ożywia Zwiastuna Burzy, sile najwyższej zrodzonej z Chaosu, nie podporządkowującej się jednak ani Chaosowi, ani Ładowi, ani nawet Równowadze. Sile przeciwstawnej wszystkiemu, co dotąd cenił sobie w życiu, przerażająco samodzielnej i skrytej zarazem, dziwnie dobrze znajdującej się w tej ironicznej więzi pomiędzy rozmarzonym idealistą a cynicznym solipsystą, więzi często spotykanej pośród większości istot myślących, która aż naddramatyczne zobrazowanie znalazła w tym, co połączyło Zwiastuna Burzy i ostatniego władcę Melniboné...

Miecz podążał teraz przodem, torując drogę. Czyżby runiczne ostrze postanowiło przejąć kontrolę nad nurtem zdarzeń, ostatecznie przeciwstawić się tak Ariochowi jak i konsekwencjom działań podjętych pod wpływem emocji. Czyżby był to jednak miecz z zasadami, pragnący skorygować zdeformowaną tkankę kosmosu, zapobiec jakimś zdarzeniom?

Nagle porwał Elryka wiejący pomiędzy wymiarami huragan. W jednej chwili w głowie zapaliły mu się tysiące sprzecznych myśli, na sekundę stał się tysiącem różnych istot. Wprawdzie dotąd dane mu było przeżyć tyle, ile wypada zwykle na ponad dziesięć ludzkich żywotów, był to czas niewielkich stosunkowo zmian, do których można było bez trudu się przyzwyczaić, toteż zalew wrażeń, których zaznał uświadamiając sobie równocześnie rozległość i różnorodność multiwersum, pchnął go niemal na skraj szaleństwa. Księżę błagać zaczął miecz o miłosierdzie, błagać, by przerwał ów obłąkany lot, oszczędził swego włodarza.

Oreż jednak kierował się instynktem, swoje dobro mając przede wszystkim na względzie. Musiał ponownie znaleźć się we właściwym dla się miejscu multiwersum. Elryk był tu postacią drugoplanową.

Zmysły albinosa uległy wielokrotnieniowi i kolejnej zmianie.

*Dala się słyszeć słodka, spokojna muzyka róż, muzyka ojca Elryka, przesycająca duszę niewypowiedzianym smutkiem... i lękiem... jakby przekazem, że oto czas już się kończy i nic innego wkrótce nie zostanie Sadrykowi, jak tylko połączyć się z synem...*

*Miecz jednak dał opór i tej sugestii, jakby własną tylko logikę i ambicję uznawał, gotów przetrwać za wszelką cenę i unikając kompromisów z kimkolwiek, nawet z Elrykiem, którego czeka zapewne gdzieś tam ponury koniec w chwili, gdy*

wypełni już swoje przeznaczenie, nieznane na razie ani jemu, ani nikomu innemu, nawet temu czarnemu mieczowi nie żyjącemu w tej samej przeszłości, terażniejszości ni przyszłości, co pozostałe istoty światów wszelkiej rangi, a jednak tkającemu misternie swój własny wzór losu, odwołującemu się do sił niepojętych i potężniejszych, niżby wyobraźnia dopuszczała, w zamian zaś żądającemu jedynie tych dusz, które spośród wielu pojmany, nie trafiły do Ariocha. . .

— Elryku!

— Ojcie, obawiam się, że straciłem twą duszę. . . !

— Nie, synu, ty nigdy jej nie utracisz. . .

Nagły promień różowozłotego światła przesuwa się przed oczami niczym błysk stali oręża, do tego mroźne powietrze chłodzi nagą skórę i jeszcze ten odgłos, tak znany a rytmiczny, tak wspaniały w tej chwili, że aż łzy gorące przywołujący, łzy, które jedna za drugą spływają po policzkach. . .

*Gaynor podążył do Okrętu Bywszego,  
swoim go uczynił.*

*A siostry trzy odkryły,*

*Że zasiąść pragnie na Chaosu tronie.*

*Pierwsza z nich była Kwietny Pąk, Druga zwyczajnie Pąk.*

*Trzecia zaś to Tajemny Cierń*

*I w krwi czerwieni jej mieszkanie.*

Płacząc, Elryk padł w szeroko otwarte ramiona skarłałego, ale obdarzonego wielkim sercem poety, mistrza Ernesta Wheldrake'a.

— Kochany, stary przyjacielu! Witaj, książę Elryku! Coś cię goni? — spytał poeta, wskazując na głębokie zasy śnieżne okalające dolinę. Na gładkiej pokrywie śniegu widać było świeży trop, jakby Elryka, sugerujący, że przybył on gdzieś z góry, ześlizgując się na dno kotlinki.

— Cieszy mnie twój widok, mistrzu Wheldrake. — Albinos otrzepał ubranie ze śniegu zastanawiając się, nie po raz pierwszy zresztą, czy nie przyśniła mu się przypadkiem ta podróż przez multiwersum. A może smoczy jad powoduje jeszcze jakieś inne skutki poza pobudzeniem organizmu? Spojrzał na naznaczoną świeżymi śladami przecinkę pomiędzy nagimi brzożami, gdzie niewinnie oparty o drzewo czekał Zwiastun Burzy. Przez chwilę całkiem szczerze zapałał nienawiścią do oręża, części jego własnej osoby, bez której nie potrafił już funkcjonować lub też (jak podpowiadał jakiś cichy ale uparty głos dobywający się z mrocznego zakątka umysłu) nawet i nie chciał, bowiem jedynie gorączka bitewna wyzwalała przez magiczne ostrze pozwalając mu znaleźć chwilową ulgę i ucieczkę przed ciężarem sumienia.

Z rozmyślną powolnością podszedł do drzewa, podniósł i przypasał broń, jakby był to najzwyczajniejszy miecz na świecie. Potem spojrział uważnie na wymizerowane oblicze przyjaciela.



— Jak się tu znalazłeś, mistrzu? Znasz ten plan?

— Dość dobrze, książę. Ty chyba zresztą też. Nadal jesteśmy w świecie Ciężkiego Morza.

Dopiero teraz Elryk zrozumiał, czego dokonał miecz — przyniósł ich z powrotem do tego właśnie świata, z którego Arioeh pragnął ich wygnąć, co wskazywało, że Zwiastun Burzy miał własne powody, by pozostać tu razem ze swoim panem. Albinos zachował te refleksje dla siebie, wysłuchał za to uważnie wyjaśnień Wheldrake'a na temat odszukania przez Charion Phatt jej wujka Fallogarda i babki.

— Wciąż jednak nie wiadomo, co dzieje się z Koropithem — stwierdził poeta pod koniec — lecz Fallogard twierdzi, że wyczuwa bliską obecność syna, tak zatem mamy nadzieję, drogi książę, że już niedługo wszyscy ocaleli Phattowie znów zaznają bezpieczeństwa ogniska domowego. — Obniżył piskliwy głos do konspiracyjnego szeptu. — Poczynione zostały już pewne kroki w kwestii mojego małżeństwa z kochaną Charion.

Zanim jednak zdążył zacząć przemawiać mową wiązaną, spomiędzy okrytych śniegiem gałęzi wyłoniła się rzeczona Charion z rękami zajętymi dwiema przednimi żerdziami lektyki, na której siedziała uśmiechnięta niczym królowa podczas procesji matka Phatt. Z tyłu szedł jej wyraźnie zaniedbany ostatnimi czasy syn, który uśmiechnął się radośnie na widok albinosa, jakby ten ostatni był dawno nie widzianym w tawernie kompanem. Tylko Charion wydawała się lekko speszona przybyciem gościa.

— Rok temu wyczułam kres twego żywota — powiedziała cicho, ustawivszy nosze na śniegu. — Zostałeś wypchnięty poza dostępne postrzeganiu granice egzystencji. Jak udało ci się przetrwać? A może jesteś Gaynozem lub jakimś zmiennokształtnym pod postacią Elryka?

— Zapewniam cię, panno Phatt — odparł też nieco zmieszany Elryk — że jestem wciąż tą samą, znaną ci osobą. Z jakiegoś powodu Los nie chciał jeszcze mej zagłady, bo wyszedłem z niej nie dość że żywy, to jeszcze bez szwanku na ciele i umyśle.

Ta ostatnia, ironiczna uwaga musiała przekonać nieco i uspokoić dziewczynę. Nie oznaczało to jednak, że Charion zawierzyła albinosowi bez reszty i że zrezygnuje z czujności.

— Zaiste, dziwny z ciebie gość, Elryku z Melniboné — powiedziała, odwracając się do babki.

— Świetnie, że znalazłeś nas, sir. Uzyskaliśmy właśnie pewne znakomite informacje dotyczące mego zaginionego syna — zawołał radośnie Fallogard niepomyślnie obaw swej córki. — Tak zatem, jak widzisz, z wolna znów zbieramy naszą gromadkę razem. Najpewniej słyszałeś już, co zamierza moja bratanica?

Charion Phatt splonęła na to jak małolata, z miejsca zła na siebie za taką reakcję, jednak spojrzenie, jakie rzuciła na rudego kogucika, było dziwnie podobne

do tego, jakim ją samą zaszczycał niegdyś pewien ropuch. Nie od dziś dobrze wiadomo, że kochankowie nie zważają na paradoksy...

Matka Phatt otworzyła uśmiechnięte usta, w których wciąż widniało kilka zębów, i zawołała:

— Dzyń, dzyń, sześć dziewczuch sprzedajnych, a smutnych! Dzyń, dzyń, czekać im nie każmy! — Zupełnie, jakby w swej chorobie opętana została przez pomyloną papugę, machnęła jednak dłonią wyraźnie aprobując wybór córki i mrugając całkiem przytomnie do Elryka, który odpowiedział tym samym i gotów był przysiąc, że starsza pani się uśmiechnęła. — Czarne to dni dla chłopca niewinnego jako ta lilija, jasne dni dla mrocznej radości! Ucztuje Zło, ucztuje Dobro, świętuje plemię Chaosu. Ucztuje diabeł, ucztuje syn, ciemne dni dla rozjaśnionych blaskiem. Bo kwiaty w puszczy kwitną po nocy, a statki miast po falach, żeglują po lądzie. Dzyń, dzyń, dla chłopczyka białego jak lilia, dzyń, dzyń dla dobrych i złych; dalej żegluj przez dziką puszcę, ziarno rzucaj w morze; Chaos przybył do Krainy Trójcy.

Gdy jednak spytali, jaki sens kryje się w jej słowach, zachichotała jedynie i zażądała herbaty.

— Matka Phatt to chciwa stara baba — zwierzyła się Elrykowi. — Ale zrobiła już swoje w życiu, proszę pastora, i chyba się pan zgodzi. Matka Phatt usiadła pod drzewem i zrodziła Wieczności pięciu silnych synów.

— Zatem Koropith jest gdzieś niedaleko? — spytał Elryk Fallogarda. — Mówiłeś, że go wyczuwasz.

— Niestety, zbyt wiele tu Chaosu — wyjaśnił rosty jasnowidz potakując energicznie. — Trudno się przebić i zajrzeć głębiej. Trudno go wezwać czy usłyszeć odpowiedź. Wszystko jest zamazane, niewyraźne. Kosmos zawsze tak wygląda, gdy Chaos bierze się do dzieła. Nawet ten świat jest zagrożony. Najeźdźcy są tu już od dawna, ale najwyraźniej coś ich powstrzymuje.

Elryk ponownie pomyślał o runicznym mieczu, ale czuł wyraźnie, że Zwiastun Burzy sam w sobie nie ingeruje w bieg wypadków, jedynym jego działaniem był dotąd samodzielny powrót do miejsca, w którym powinien się znaleźć w określonej chwili. Coś innego musiało blokować Chaosowi wstęp do tego świata. Może trzy siostry mają w tym swój udział? Albinos wiedział o nich tylko tyle, że posiadały skarby cenne i dla niego, i dla Gaynora, chyba żeby wziąć pod uwagę balladę Wheldrake'a, wytwór poetyckiej wyobraźni raczej niż źródło wiarygodnych informacji. Zresztą, czy te siostry w ogóle istnieją? A może w całości są wymysłem barda z Putney? Może wszyscy obecni gonią od dłuższego czasu jedynie za chimera, czyli płodem romantycznej nadwrażliwości?

— No dobrze, sir — powiedział Elryk podsycając dopiero co rozniecony ogień, jeszcze bowiem przed jego niespodziewanym przybyciem Phattowie za-

mierzali rozbić tu obóz — czy te twoje stare rymy są w stanie powiedzieć nam cokolwiek konkretnego o siostrach i miejscu ich pobytu?

— Za pozwoleniem, sir, muszę zauważyć, że trochę je zmodyfikowałem, by uwzględnić ostatnio zdobyte wiadomości, niemniej przyznaję, że nie jestem wiarygodnym źródłem informacji, z wyjątkiem, oczywiście, spraw fundamentalnych. Jak większość poetów zresztą, sir. Jeśli zaś chodzi o Gaynora, trochę wieści o nim zebraliśmy, ale nic nie wiemy o panu Snare. Zastanawialiśmy się nawet, cóż mogło się z nim stać.

— Poświęcił się — mruknął Elryk. — Najpewniej uratował mnie przy tym przed odczuciem wszystkich skutków rozbuchanej furii Ariocha. O ile mogę się czegoś domyślać, wyrzucił Ariocha z tego planu i sam przy tym zginął.

— Straciłeś zatem sprzymierzeńca?

— Tak. I wroga też straciłem, mistrzu Wheldrake. Na dodatek zgubiłem gdzieś cały rok w tym świecie. Nie mam też już patrona, rozstaliśmy się z Władcą Entropii, ale nie zamierzam z tego powodu lamentować.

— Lecz Chaos wciąż nam zagraża — powiedział Fallogard. — Ten plan aż cuchnie Chaosem, który przymierza się doń jak drapieżnik, nim połknie ofiarę!

— Czy to na nas Chaos ma taką chrapkę? — zainteresowała się Charion, ale wuj potrząsnął przecząco głową. — Nie o nas tu chodzi, dziecko. Najpewniej jesteśmy dlań nie bardziej istotni niż pchła. Wie, że nie będzie miał z nas już pożytku, chętnie zatem pozbędzie się nas przy okazji. — Zakrył oczy ciężkimi powiekami. — Jego złość rośnie, czuję to... Jest i Gaynor... widzę go... woń... smak... Gaynor... czuję jego obecność... jedzie... dalej, dalej... Jest, jedzie i wciąż szuka trzech sióstr. I ma już blisko! Gaynor służy Chaosowi i sobie. Subtelna potęga. Chaos chce to mieć. Bez tego nigdy nie podbije w pełni planu. Siostry... wreszcie je wyczuwam. Szukają czegoś innego. Gaynora? Chaosu? Co to jest? Sprzymierzeńca? Szukają... nie Gaynora, jak sądzę... Ach! Znowu Chaos, zakłóca tam mocno... Znowu mgła. Niepewność... — Uniósł głowę i jak ktoś bliższy utonięcia, ciężko złapał chłodne powietrze. Ostatecznie był jedynie żeglarzem na morzu sił psychicznych...

— Gaynor pojechał ku górą na wschodzie — powiedział Elryk. — Czy siostry wciąż tam są?

— Nie — odparł Fallogard, marszcząc brwi. — Już dawno opuściły Mynce i... czas, Gaynor zyskał na czasie, ktoś mu w tym pomógł... czy to pułapka? Co? Co takiego? Nie widzę go!

— Musimy szybko zwinąć obóz — stwierdziła praktyczna jak zwykle Charion — i spróbować odnaleźć siostry przed Gaynore. Jednak przede wszystkim rodzina. Kronopith tu jest.

— W tym planie? — spytał Elryk.

— W tym lub jakimś pobliskim, który akurat się z nim przenika.

Odfamała kawałek kandyzowanego owocu i zaproponowała go Elrykowi, który jednak odmówił, nie mając ochoty na specjały ze świata, o którego kuchni Wheldrake stwierdził, że gorsza jest nawet niż w jego ojczyźnie.

— Ciekawa jestem — dodała dziewczyna — czy ktokolwiek poza mną zdaje sobie sprawę z tego, w jak pozytywny sposób Gaynor podchodzi do istoty zła.

Po czym zapatrzyła się w ogień, skrywając przed wszystkimi oczy.

Nad ranem cicho spadł śnieg, skrywając skutecznie ślady stóp tak z dnia wczorajszego jak i ze ścieżki. Świat opanowały mróz i cisza. Poszukiwacze maszerowali przez puszcę trzymając zamiar na wysoki brzeg urwiska przed nimi i usiłowali na podstawie wątych promyków słońca odgadnąć kierunek swej wędrówki. Niemniej i tak nie wahali się podążać naprzód, jako że podstawowym ich drogowskazem był psychiczny trop tym wyraźniejszy, że świat ten zdawał się pozbawiony naturalnych mieszkańców. Przystanęli na krótki odpoczynek, głównie zresztą ze względu na starszą panią, która zapragnęła ciepłej herbaty ziołowej. Zresztą, wszyscy żywili się obecnie tym, co matka Phatt poleciła zbierać im przy każdej okazji. Gdy dotarli nieco wyżej, gdzie było mniej śniegu, starsza pani obejrzała uważnie mech oraz przyniesiony jej specjalnie kawałek kory, po czym orzekła, że zima trwać będzie ponad rok i że bez wątplenia jest to robota Chaosu. Mruzczała jeszcze coś o lodowych gigantach, o Ludziach Mrozu z legend słyszanych jeszcze od jej matki wywodzącej się z rasy starszej od człowieka, która rządziła Kornwalią zanim jeszcze kraina ta zyskała ludzką nazwę. Był wówczas ktoś, też książe, z tej dawnej rasy, który poślubił kobietę nowego ludu. Dzieci zrodzone z tego związku były właśnie przodkami jej matki.

— To dlatego obdarzeni jesteście niezmiernie tak silnym darem jasnowidzenia — powiedziała Elrykowi, klepiąc go po ramieniu, gdy przyklęknął przy niej podczas jednego z krótkich odpoczynków. Traktowała go niczym ulubionego wnuka. — Tamta rasa była nawet nieco podobna do ciebie. Z wyjątkiem pigmentu, rzecz jasna.

— Czy pochodzili z Melniboné?

— Nie, nie, nie! To słowo nic nie znaczy. To byli wielcy Vadhaghowie, którzy żyli na długo przed Mabdenami. To co, najpewniej jesteście spokrewnieni, książe Elryku? — zerknęła nań z nie skrywaną inteligencją w oczach. Była wyraźnie w dobrym humorze, a Elrykowi, gdy spojrzał w jej oblicze, zdało się, że patrzy prosto w twarz Czasu. — Czy nie jesteście oboje potomkami herosów? — spytała.

— To całkiem możliwe, pani — odparł cicho, ledwie rozumiejąc jej słowa, ale ciesząc się, że starsza pani zrzuciła z siebie brzemię, które musiało chyba ciążyć jej już dość długo.

— I po to najpewniej zrodzeni, aby żale tego świata samotnie dźwigać na swych barkach — dopowiedziała.

Po czym znów zaczęła chichotać i podśpiewywać.

— Ding-dong-bong! Stary Pim się kąpie! Bogaty i śliczny chłopczyk szykuje się po raz pierwszy na święto majowe! — Zaczęła wybijać łyżką na talerzu jakiś dziki rytm. — Z krwi i pamięci rodzi się raptownie pamięć bólu!

— Och, mammo! Łono, które mnie zrodziło! Nie dość, że Chaos maści mi myśli, to jeszcze twoje wspominki dzikiej przeszłości dokładają mi swoje! — odezwał się Fallogard nieco nerwowo, acz uprzejmie, wyciągając błagalnie ręce.

— Nawet te resztki wspomnień i tych kilka ostatnich zdrowych zakamarków mózgu chcą mi odebrać — mruknęła wiekowa dama z żałością, ale syn pozostał niewzruszony.

— Mamo, dotarliśmy już prawie do Koropitha, ale wygląda na to, że będzie nam szło coraz ciężej. Musimy oszczędzać siły. Mamo! Dobrze będzie trzymać język za zębami i przestać jazgotać, w przeciwnym razie zostawisz na naszym szlaku tak wyraźny ślad psychiczny, że dla całej armii starczy, by nas odszukać. A to byłoby nierozważne, mammo.

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą — odszczeknęła się starsza pani z chichotem, ale usłuchała syna.

Elryk zauważył, że powietrze ocieplało nieco i lód zaczął topnieć na drzewach, a śniegowe czapy spadały ciężko na gąbczastą glebę, która szybko wszystko wchłaniała. Po południu, gdy słońce przygrzewało już dość mocno, minęli szereg groteskowo opancerzonych półbestii, półludzi powykręcanych osobliwie i uwięzionych w lodzie, który zdawał się parzyć dotknięty, ale pozwalał dojrzeć wewnątrz poruszające się oczy, usiłujące wymówić coś usta, drgające spazmatycznie w nieustannym cierpieniu kończyny. Fallogard zgodził się z Elrykiem, że musiał to być jakiś pomniejszy oddział Chaosu pokonany nieznanymi czarami, może za sprawą Ładu? Wędrowali teraz przez pustynię przeciętą szlakiem wodnym, bez wątpienia sztucznego pochodzenia, z którego mogli czerpać wodę do picia.

Pustynia skończyła się następnego dnia, kiedy to ujrzeli przed sobą bujne listowie mrocznej, gęstej puszczy. Rosły tu drzewa smukłe i szczupłe jak ludzkie ciała o liściach długich na wzrost człowieka i różnorodnym zabarwieniu. Były liście szkarłatne, były ciemnożółte, czarnobrazowe i szaroniebieskie, dominowały jednak odcienie bladego różu, purpury i szarości, przez co las wyglądał jakby korzeniami dobywał z ziemi krew miast wody.

— To chyba tutaj powinniśmy znaleźć naszego zagubionego potomka! — zapowiedział Fallogard, chociaż nawet jego matka z powtapiowaniem spoglądała na rozbujającą zieleń i nie budzące zaufania pnącza. W zwartej ścianie roślinności nie otwierał się żaden szlak.

Jednak mocno podekscytowany Fallogard potruchnął naprzód, zmuszając niższą znacznie bratanicę do wydłużenia kroku, aż w końcu dziewczyna krzyknęła na wuja. Uczyniła to w chwili, gdy ten już nurkował w gąszcz.

Rad, że wreszcie trafił się kawałek cienia, Elryk oparł się o pień, który poddał

się pod naciskiem niby żywe ciało. Książę odsunął się od podejrzonej rośliny.

— Bez wątpienia robota Chaosu — powiedział. — Dobrze znam jego wytwo-  
ry. Różne niby-zwierzęta, niby-warzywa, które zwykle wzrastają jako pierwsze  
w każdym świecie, gdzie Chaos zapuszcza macki. Tak naprawdę są to jedynie po-  
ronione płody różnych domorosłych uczniów czarnoksiężników. Nikt mojej klasy  
nie marnowałby czasu na takie śmieci. Chaos jednak, jak już się przekonaliście,  
pozbawiony jest gustu i dobrego smaku. Za to Ład ma tego aż w nadmiarze.

Ostatecznie okazało się, że wędrówka była o wiele łatwiejsza, niż na początku  
sądziłi. Cieliste gałęzie dawały się bez trudu rozsunać na boki i tylko czasem  
jakiś strączek usiłował przywrzeć zmysłowo do czyjegoś ramienia lub twarzy,  
a szklizielone pnącza kwapiły się do obejmowania przechodniów niczym cały  
pułk kochanków. Wszystko to jednak nie było nazbyt ożywione, widać Chaos nie  
kontrolował na bieżąco tych tworów i Fallogard szybko posuwał się naprzód.

Trwało to do chwili, gdy nagle, bez ostrzeżenia, dżungla straciła organiczny  
charakter.

Stała się krystaliczna.

Blade światło w tysiącu odcieni padało przez pryzmaty tworzące dach lasu,  
odbijało się od krystalicznych liści i spływało po pniach. Niemniej Fallogard na-  
dal parł przed siebie, bowiem kryształ dawały się odkształcać równie łatwo jak  
przedtem gałęzie.

— A to pewnie jest dzieło Ładu, co? — spytała Charion Elryka. — Tak zwane  
sterylne piękno?

— Chyba gotów byłbym się zgodzić... — mruknął Elryk przyglądając się  
uważnie sposobom, w jakie światło przedzierało się przez roślinność, by osta-  
tecznie zalać poszycie lasu powodzią kolorów. Można by sądzić, że brodzi się  
po kolana w strumieniu ciemnych ametystów, rubinów i szmaragdów. Barwy te  
udzielały się też skórze wędrowców, tak że Elryk po raz pierwszy nie różnił się  
niczym od swych towarzyszy, bowiem wszyscy byli teraz kolorowi aż do bólu  
zębów i niestrawnie wręcz śliczni. W końcu dotarli do wielkiej jaskini wypełnio-  
nej chłodnym, srebrzystym blaskiem. Gdzieś w dali słycać było szum wody, ale  
poza tym panowała cisza tak głęboka, jaka zdarza się jedynie w Tanelorn.

Fallogard Phatt zatrzymał się i skinął na bratanicę, by opuściła lektkę na  
słodko pachnące mchy podłoża pieczary.

— Weszliśmy w strefę, gdzie ani Ład, ani Chaos nie mają nic do powiedzenia.  
Tutaj rządzić musi chyba Równowaga. Tutaj znajdziemy Koropitha i tutaj poszu-  
kamy trzech siostr.

Nagle, gdzieś spod oświetlonego blaskiem zachodzącego słońca stropu jaski-  
ni, gdzie musiała znajdować się jakaś galeryjka, dobiegł ich odległy głos:

— Co za banda kretynów! Pospieszcie się! Dalej, żywo! Gaynor tu jest! Po-  
rwał już siostry!

## Rozdział 2

**Znów z Różą; dalsza radość rodziny; Gaynor odparty; nareszcie udaje się odnaleźć trzy siostry; kolejna nieoczekiwana odmiana losu.**

— Koropith, fiołeczku kochany! Radości oczu moich! — Fallogard zadarł głowę, by przez smugi światła dojrzeć syna na zarosłych zielenią i pachnącymi kwiatami skalnych galeriach, wyciągnął nawet ku niemu rękę.

— Szybko, tato! Chodźcie wszyscy! Tu jestem! Nie może mu się udać! — głos chłopca brzmiał czysto jak szmer górskiego źródła, ale ton był zdesperowany.

Elryk odnalazł wykute w kamieniu stopnie wijące się aż pod sam strop i nie namyślając się, ruszył w górę, pociągając za sobą Fallogarda i Charion, Wheldrake został zaś starszej pani do ochrony i towarzystwa.

W jaskini panowała wciąż atmosfera chłodnego spokoju, gdy dysząc ciężko, Fallogard dostrzegł coś na kształt naturalnej katedry, zupełnie jakby „Bóg umieścił ją tutaj nam wszystkim za przykład do naśladowania” (z usposobienia, jak i z wychowania, ojciec rodziny był monoteistą). Gdyby nie ponaglące krzyki chłopca, Fallogard najpewniej przystanąłby, gotów podziwiać i kontemplować piękno tego miejsca.

— Tam jest! Teraz już dwoje! — krzyknął enigmatycznie z dołu Wheldrake. — Już prawie jesteście! Ostrożnie, kochana! Uważaj na nią, ojciec!

Charion nie potrzebowała przewodnika ni pomocy. Pewnym krokiem, z mieczem w dłoni deptała Elrykowi po piętach i gdyby nie mizerna szerokość schodów, chętnie by go przegoniła.

Doszli do galerii, której ściana uformowana była z czegoś na kształt żywopłotu gęsto rosnącego od strony urwiska i wyraźnie zasadzonego tutaj w roli wysokiej balustrady. Elryk zdumiał się nad artystycznym wyrafinowaniem żyjących tu niegdyś ludzi. Czy przetrwali zbliżanie się Chaosu? A jeśli tak, to gdzie teraz byli?

Ściany galerii rozbiegły się na boki, ukazując wejście do sporego tunelu.

I tam właśnie stał mocno podekscytowany niedawną wizją Koropith Phatt, cały przy tym radosny, że znów dane jest mu ujrzeć ojca i kuzynkę.

— Szybko, tato! Gaynor ją wykończy, jeśli się nie pospieszymy! I nie tylko ją, każdego może teraz załatwić!

Nie czekając ruszył naprzód, przystanął, oglądając się, czy biegną za nim, i z krzykiem pognał dalej. Wyrósł w ostatnim czasie i jakby nieco wychudł, zapowiadał się na mężczyznę równie kanciastego i szczupłego jak ojciec. Cała grupa przemykała przez pełne zielonego blasku galerie, ciche komnaty, szeregi pokoi z oknami wychodzącymi na ogrom jaskini, a wszystko to wyraźnie opuszczone. W biegu poznawali całe, rozległe miasto wykute w skale wraz ze schodami i korytarzami, miasto stworzone niegdyś przez wyraźnie cywilizowanych ludzi. . .

. . . naraz doszły ich odgłosy walki, walki zarówno fizycznej jak i psychicznych zmagani: błysk pomarańczowego światła, nagła kurtyna ciemności, wir kolorów i głębokie, nierytmiczne bicie ogromnego serca. . .

. . . Elryk wpadł pierwszy do sali noszącej ślady wielkiego kunsztu nieznanego artystów i mogącej śmiało konkurować pod względem piękna z widzianą dopiero co wielką jaskinią. . .

. . . na podłodze z bladobłękitnego, żyłkowanego srebrzyście marmuru leżała młoda kobieta w brunatnozielonych szatach i z wielką szopą rudawych włosów, które nie pozwalały pomylić jej z kimkolwiek innym. Obok jej nieruchomej prawej dłoni spoczywał miecz, w lewej ścisnęła wciąż sztylet.

— Ach, nie! — krzyknął gniewnie Koropith. — On nie może jej zabić!

Chowając Zwiastuna Burzy, Elryk przyklęknął przy kobiecie i przytknął dłoń do szyi, szukając pulsu. Żyła, chociaż ledwie się to życie w niej kołatało. Otworzyła niezbyt przytomne oczy.

— Gaynor? — wymamrotała.

— Zwiął — stwierdził Elryk. — I wygląda na to, że zabrał siostry.

— Nie! Pewna jestem, że je obroniłam! — Róża poruszyła słabo ramionami, spróbowała się podnieść, ale spasowała. Koropith wyjrzał Elrykowi znad ramienia, mrucząc coś pod nosem w desperacji. Dziewczyna spojrzała na niego z uśmiechem. — Nic mi nie jest — powiedziała. — To tylko wyczerpanie. . . — Złapała dwa szybkie oddechy. — Gaynorowi pomaga jakiś Władca Chaosu. Przyjął spokojnie wszystkie zaklęcia, które kupiłam w Oio, by stawić mu opór. Mało co mi już zostało.

— Nie wiedziałem, że władasz nie tylko mieczem, ale również i czarami — zauważył Elryk, pomagając jej usiąść.

— To nasza naturalna zdolność — odparła. — Ale nie wszyscy z niej korzystamy. Chaosowi trudniej jest się przeciwstawić takim właśnie talentom, co daje mi pewną przewagę. Zamierzałam uwięzić go i wziąć na spytki.

— Zdaje się, że wciąż jest na usługach hrabiego Mashabaka — powiedział Elryk.

— Tyle, to sama wiem — mruknęła Róża znacząco, nie ujawniając jednak, co jeszcze ma na myśli.

W końcu dała się usadzić na wyściełanej ławie. Jej skóra różowiała lekko w błękitnym blasku sali, a włosy układały wokół subtelnej twarzy.



Po paru chwilach pojawili się Koropith i Wheldrake dźwigający starszą panią przetransportowaną łatwiejszą drogą korytarzami, z pominięciem schodów. Ostatecznie Róża doszła na tyle do siebie, by opowiedzieć im swe losy od chwili, gdy „niczym zakradający się po nocy złodziej przemknąwszy przez wymiary” dotarła do tej jaskini. Znalazła kryjówkę sióstr. Chociaż wysforowała się przed wszystkimi w pogoni, nie zdobyła tego, o co jej chodziło. Mimo to, zaproponowała siostronom pomoc, nie po raz pierwszy zresztą. Gaynor, którego twierdza mieściła się nie dalej, jak pięćdziesiąt mil od tego miejsca, musiał jednak wyczuć jakieś zaburzenia w materii kosmosu, przybył bowiem błyskawicznie na czele skromnej armii, by pojmać siostry i ich skarb. Nie oczekiwał, że napotka opór, szczególnie zaskoczyła go magia Róży, magia zbyt subtelnej natury, by Chaos mógł ją rozszyfrować.

— Moje talenty nie biorą się ani z Ładu, ani z Chaosu — powiedziała. — Maja swe źródło w samej naturze. Czasem zdarza się, że rzucone przez nas zaklęcie potrzebuje całego stulecia, by naruszyć podstawy jakiejś tyranii, ale gdy już dokona dzieła, to dokładnie i na zawsze. Naszym powołaniem jest właśnie wyszukiwanie takich przypadków niesprawiedliwości i likwidowanie ich. Robiliśmy to z takim powodzeniem, że aż najpotężniejsi Bogowie poczuli się zaniepokojeni. Ostatecznie to oni właśnie wykorzystują do swych celów najnikczemniejszych spośród ludzi.

— Jesteście Córkami Ogrodu — wtrącił się Wheldrake, milknąc zaraz tytułem przeprosin. Nie na długo jednak. — Znam pewną perską opowieść o was. To znaczy, chyba o was. Może zresztą spisano ją w Bagdadzie. Inne imię to Córki Sprawiedliwości. . . Spotkała was jednak męczeńska śmierć. . . Raz jeszcze przepaszam, ale tam naprawdę tak było napisane. . .

*Hrabia Malcolm to okrutny człęk,  
Przybył tam z ogniem i żelazem.  
Kwiatów z Bannon Brae szukam — rzekł,  
Mękę im niosę i zagładę.*

— Wielkie nieba, pani, czasem mam wrażenie, że wpadłem w potrzask własnej twórczości i nijak nie mogę ująć, błędząc między wersami. . .

— A pamiętasz, jak kończyła się ta ballada, panie Wheldrake?

— Zdaje się, że miała parę zakończeń — odparł dyplomatycznie poeta.

— Mam na myśli tylko jedno z nich, pamiętasz?

— I owszem, pani — mruknął Wheldrake, czemuś przerażony. — Och, pani, tylko nie to!

— Niestety — powiedziała Róża i wyrecytowała z wysiłkiem inkryminowany fragment. . .

*Każda z gałęzi w Bannon Brae,  
Znaczyła jedną cierpiącą duszę.  
Hrabia Malcolm ścinał kwiaty. Jeden ocalony  
Wciąż śpiewa lament, co serce wzrusza.*

— To ja byłam tym kwiatem, którego ostatecznie nie ścinał ów zbrojny, zwany w balladzie „hrabią Malcolmem”. Gaynor poprzedzał go, opowiadając kłamstwa na temat własnych, heroiczych zmagania z Siłami Ciemności. — Urwała, jakby powstrzymywała łzy. — Oto jak zaskoczył nas, nieprzygotowane na atak. Zaufaliśmy Gaynorowi, sama przemawiałam za nim! Potem dowiedziałam się, że nie wysilając zbyt wyobraźni, dotąd opowiada wszystkim tę samą historyjkę. No i dałyśmy się oszukać! W ciągu kilku godzin nasza dolina zamieniła się w pustkowie. Możecie sobie wyobrazić, jak strasznie to wyglądało. Nie byłyśmy gotowe na nadejście Chaosu, pamiętając, że nie jest on w stanie wtargnąć do żadnego planu, o ile nie uzyska współpracy śmiertelnego wysłannika, a Gaynor okazał się właśnie kimś takim. I wszystkie te ogłupiałe ze szczętem i niczego nie świadome istoty...

— Och, pani — odezwał się znów Wheldrake, na co Róża wciągnęła doń uspokajającą rękę. Ale to on chciał ją pocieszyć. — Jedyne kwiecie...

— Ocalała jeszcze jedna, ale oddała się później w desperacji podejrzanym czarom i zmarła niezbyt chwalebnie śmiercią...

— A zatem nie masz nic wspólnego z trzema siostrami? — mruknął Fallogard. — Zdawało mi się...

— Duchowo owszem, ale poza tym znacznie się różnimy. One stawiają czoło temu samemu wrogowi i dlatego wspieram je nieprzerwanie. Poza tym, wśród innych powodów, jest jeszcze i ten, że znają klucz mogący posłużyć mi do realizacji mego własnego celu.

— No ale gdzie Gaynor je zabrał? — dociekała Charion. — Powiedziałaś, że ma warownię jakieś pięćdziesiąt mil stąd?

— A wkoło tej warowni zastępy Chaosu oczekują jedynie na hasło do ataku. Ale wątpię, by pojmał trzy siostry.

— To jak ostatecznie, ma je czy nie? — spytała Charion.

Róża potrząsnęła jednak tylko głową. Z wolna wracała do siebie i zdolna już była zrobić kilka kroków bez niczyjej pomocy.

— Ukryłam je przed nim, ale miałam niewiele czasu i nie wiem, czy działałam wystarczająco szybko. Poza tym nie byłam w stanie ukryć wraz z nimi ich skarbów.

Wyraźnie nie miała ochoty opowiadać dalej o tym incydencie, zasypali ją (oraz Koropitha) pytaniami o to, co właściwie zdarzyło się na cygańskim moście. Opowiedziała, że znaleźli siostry i Gaynora dokładnie na chwilę przed zniszczeniem budowli przez Mashabaka.

— Oczywiście to Gaynor go przywołał. Chciałam powstrzymać Mashabaka i uratować tych ludzi, ale tak mnie to pochłoneło, że nie piklowany Gaynor zdołał umknąć. Sam wprawdzie, bo siostry oswobodziły się własnym przemyśleniem, ale zawsze. Próbowalam jeszcze ostrzec Cyganów, ale kiedy i to nie wyszło, ruszyłam na poszukiwania Gaynora lub Mashabaka. Byliśmy z Koropithem całkiem blisko odszukania ich w innych czasach, ostatecznie jednak tropem sióstr wrócili właśnie tutaj. Chaos zbiera siły. Gdyby nie nasz opór, no i opór sióstr, już dawno zdobyliby ten wymiar.

— Zimne poty na mnie biją, gdy pomyślę o wizycie w Dworcach Chaosu, pani — powiedział powoli Wheldrake — ale jeśli mogę ci być na coś pomocny w tej sprawie, to proszę, rozporządzaj mną wedle swego życzenia — zakończył i skłonił się lekko.

Charion zaraz stanęła u boku swego fatyganta i oddała Róży na usługi swój miecz i talenty.

Dziewczyna przyjęła te wszystkie hołdy, zaraz jednak uniosła dłoń.

— Nie wiemy jeszcze, co nam czynić — stwierdziła, wstając na równe nogi, zsunęła z ramion aksamitną szatę, po czym uniosła głowę i gwizdnęła głośno.

Gdzieś w pobliżu rozległy się uderzenia licznych łap galopujących po marmurze oraz dyszenie i mogło się zdawać, że Róża wezwała na pomoc same Ogary Piekieł, ale do sali wpadły po chwili jedynie trzy rosłe wilczury, wszystkie z wywieszonymi czerwonymi jęzorami i okazałymi kłami zwiastującymi nieludzkich zgoła i prymitywnych przodków. Jeden był biały, drugi popiołkowy a trzeci zło-cisty, a każdy gotowy do walki z dowolnym wrogiem, do pogoni i dopadnięcia zdobyczy. W pierwszej chwili skupiły się u boku Róży i spojrzały na nią, jakby czekały na polecenia.

Nagle jeden ze zwierzaków dostrzegł Elryka i niezwłocznie zawiadomił o tym skamleniem pozostałe, te również żywo zainteresowały się osobą księcia, który pomyślał nawet przez chwilę, czy nie są to przypadkiem jacyś pobratymcy Esberna Snare, mniej niż on przeciwni urządzaniu ofiar z albinotycznej szlachty królewskiej krwi.

W następnej chwili wszakże wilczury galopowały już ku Elrykowi. Róża usiłowała przywołać je do nogi, ale bez skutku. Żaden nawet łba nie odwrócił.

Książę nie bał się wszakże, widząc bydłęta coraz bliżej, przeciwnie, było w nich coś swojskiego, dodającego pewności siebie i zdumiewającego zarazem.

Psy były już tuż obok, węsząc, popiskując i powarkując do siebie nawzajem, aż w końcu, jakby nader zadowolone z siebie, posłusznie wróciły do solidnie zadziwionej Róży.

— Właśnie miałam wyjaśnić — powiedziała dziewczyna — czemu powinniśmy wstrzymać się z wszelkim działaniem. Te psy to właśnie trzy siostry. Nałożyłam na nie ów czar, by ochronić je przed magią Gaynora i w razie potrzeby dać im tym fortem możliwość bronienia się przed kolegą Przeklętym. Niestety, misja

siostr spaliła na panewce.

— A co to była za misja — spytał cicho Elryk, odstępując o krok od pozostałych i przyglądając się psom, które wzajem śledziły jego kroki z czymś na kształt tęsknoty w ślepiach.

— Ta misja ciebie dotyczyła — powiedziało złociste zwierzę, rosnąc w zwierzęcej postaci, po czym w jednej chwili zmieniając się w kobietę o szacie w tym samym kolorze, co niedawna sierść. Krój stroju był Elrykowi dziwnie znajomy, jedwabie skrojono na sposób obowiązujący niegdyś w Melniboné. Popiołkowa wilczyca zamieniła się tymczasem w kobietę w szatach szaroniebieskich, analogicznie przemieniła się biała, aż wreszcie wszystkie trzy siostry, w sumie drobnej postury, stanęły przed Elrykiem. Sądząc po urodzie, bez wątplenia musiały pochodzić ze Smoczej Wyspy. — To ciebie szukałyśmy, Elryku z Melniboné — powtórzyły razem.

Wszystkie miały czarne włosy okrywające im głowy na podobieństwo hełmów, wielkie, skośne fiołkowe oczy i skórę barwy bladego mosiądzu, do tego idealnie w łuk skrojone usta. . .

. . . i przemawiały wyłącznie do Elryka, jako że używały dawnej, Szlachetnej Mowy Melniboné, którą z pozostałego towarzystwa ledwie Wheldrake odrobine rozumiał, a i to piąte przez dziesiąte.

Zaskoczony takim obrotem spraw, Elryk mimowolnie odstąpił o krok, potem jednak wziął się w garść, odklonił krótko i, pomimo licznych wcześniejszych postanowień, sam zdradził swe pochodzenie, wypowiadając dawne pozdrowienie przynależne rządzącym rodowi Jasnego Imperium:

— Zobowiązania wasze są moimi. . .

— . . . a twoje naszymi, Elryku z Melniboné — odparła złocista. — Jestem księżniczka Tayaratuka, a to są moje siostry z tej samej kasty, księżniczka Mishiguya i księżniczka Shanug'a. Przez trzy milenia i w tysiącach sfer szukałyśmy waszeczki!

— Ja zwiedziłem tylko coś kilkaset lat i z pięćset sfer — mruknął skromnie Elryk — ale koniec końców wygląda mi, że byłem jak ogon goniący za łasicą. . .

— Gdy stuknięty Porker założył się o nogę! — krzyknęła starsza pani z wygodnego siedziska na poduchach. — Goniliśmy się w kółko! Rozumiecie! Wiedziałam, że coś się w tym kryje! We wszystkim zawsze kryje się jakiś plan. Dzwon dzwoneczku, dzwon stepowy, aż zginiesz. Sławna to rasa. A Porker przypadkiem został osądzony. Jego ostatni uczynek był aktem najczystszej heroizmu. Wszyscy tak mówią. Panie i panowie, oni przybijają nasze stopy do podłoża, to nie jest czysta gra! — Po czym pograżyła się w jakimś abstrakcyjnym dialogu mającym wyraźnie swe korzenie jeszcze w czasach dzieciństwa spędzonego w ruchomych miastach. — Buffalo Bili i Żyd Wieczny Tułacz! Oto było nasze wielkie *finale!* Zwieńczenie dzieła.

Trzy siostry wysłuchały tego z nienaganną cierpliwością, dopiero potem znów

się odezwały...

— Chciałyśmy poprosić cię o pewną przysługę — stwierdziła księżniczka Tayaratuka. — W zamian pragniemy coś ci podarować...

— Prośby wasze są moim obowiązkiem — odparł odruchowo Elryk.

— A twoje naszą powinnością — oznajmiły siostry, najwyraźniej równie dobrze znające rytualne formułki.

Księżniczka Tayaratuka opadła na jedno kolano i przyciągnęła Elryka do siebie, aż i on uklęknął naprzeciwko.

— Dobra wszelkiego ci życzę, mój panie — powiedziała, nadstawiając czoło do pocałunku. Potem nastąpiła dłuższa ceremonia, w trakcie której wszyscy przemawiali do wszystkich i obcałowywali się na finał.

— Jak mogę wam pomóc, siostry — spytał Elryk, odpracowawszy jeszcze potrójny pocałunek przyjaźni. Melnibonéańska krew aż wrzała w nim, a tęsknota do ojczystej krainy powracała uporczywymi falami. Te kobiety były równe mu stanem, tak zatem błyskawicznie zaistniała pomiędzy całą czwórką specyficzna więź silniejsza nawet od braterstwa krwi, silniejsza od miłości, nie będąca jednak ciężarem czy zawadą. Elryk pewien był, że umiejętności magiczne tych kobiet równać się mogą z jego własnymi, z poprawką, rzecz jasna, na ich wyczerpanie długotrwałymi poszukiwaniami. Znał dotąd wiele potężnych i wspaniałych niewiast, wliczając w to i ukochaną Cymoril, i Myshellę z Tańczącej Mgły, czarodziejkę, której nie tak dawno służył, ale te tutaj księżniczki robiły na nim największe wrażenie (jeśli, oczywiście, chwilowo nie liczyć Róży) spośród spotkanych od chwili, gdy złamany opuścił płonący nad ciałem ukochanej stos pogrzebowy Imrryru.

— Pochlebia mi, że mnie szukałyście, dostojne — powiedział, dając sobie chwilowo spokój z upiornie dobrymi manierami i przechodząc na bardziej pospolitą mowę. — Jak mogę wam pomóc?

— Chcemy pożyczyć twój miecz, Elryku — odparła Shanug'a.

— Pożyczyć go możecie, moje panie, ale razem ze mną, bym mógł dla was władać tym orężem — zgodził się dwornie pamiętając o honorze szlachcica, nie zapominając jednak o grozę budzącym duchu jego ojca, który, kto wie, może czai się gdzieś w pobliżu gotów na byle znak zagrożenia wskoczyć na zawsze w osobę Elryka... A czy Gaynor nie pożądał Czarnego Miecza?

— Nie spytałeś, po co chcemy go pożyczyć — powiedziała Mishiguya, siadając obok Róży i sięgając po jeden z małych owoców leżących na oparciu kanapy. — Nie jesteś ciekaw naszej propozycji?

— Oczekiwałbym, że pomożecie mi tak, jak ja jestem gotów wam pomóc — odparł Elryk rzeczowo. — Ale skoro przywołaliśmy przed chwilą razem ślubowanie krwi, jesteśmy już jednym. Nie dzieli nas żaden konflikt interesów.

— Nosisz w sobie lęk, Elryku — odezwała się nagle Charion. — Zgodziłeś się wesprzeć te kobiety, nie mówiąc jednak, czego się obawiasz! — stwierdziła tonem dziecka, bezkompromisowo domagającego się prawdy i uczciwości, nie

rozumiejącego, że niektórzy wolą skrywać głęboko swoje prywatne upiory.

— A one przyjęły moje wsparcie również nie dzieląc się ze mną swoimi łąkami — upomniał albinos dziewczynę. — Wszyscy obecnie żyjemy tylko dzięki temu, że okiełznaliśmy strach, lepiej zatem będzie nie popuszczać tej bestii cugli.

Charion przyjęła to wytłumaczenie i umilkła, rzucając jednak pełne złości spojrzenia na Wheldrake'a, że nie poparł jej głośno w tej kwestii. Poeta wołał jednak zachowywać się dyplomatycznie, nie wiedział ostatecznie, jakiej to gry jest właściwie świadkiem ni o jaką stawkę się ona toczy. Mimo to gotów był jednak wziąć w niej udział.

— Gdzie chcecie, bym podążył z mym ostrzem? — spytał Elryk.

Księżniczka Tayaratuka spojrzała najpierw na siostry, otrzymując od nich milczącą zgodę na wyjawienie sprawy.

— Nie potrzebujemy twojego ramienia, by władało mieczem. Wyraziłyśmy się dosłownie. Chcemy pożyczyć twój runiczny miecz, Elryku. Zaraz wszystko wyjaśnię.

I opowiedziała im o świecie, w którym życie płynęło w harmonii z naturą. Było tam ledwie kilka miast, zaś osady wznoszono tak, by nie naruszyć piękna gór, lasów, dolin czy strumieni, tak by ktokolwiek odwiedzający ten plan nie mógł na pierwszy, a nawet na drugi rzut oka orzec, że jest to ziemia zamieszkana. W końcu jednak nadciągnął Chaos, a wiódł go Gaynor Przeklęty. Najpierw poprosił ich o gościnę, a potem zdradził, podobnie jak wielu innych w dziejach, wzywając swego patrona, który niezwłocznie wywarł na całej krainie piętno Chaosu.

— Otaczające ten ląd Ciężkie Morze dobrze chroniło nas dotąd przed potencjalnymi wrogami, mało kto w ogóle widział kiedykolwiek naszych pobratymców. Lasy były tu gęste a rzeki kręte, toteż nikt nie ryzykował życia po to tylko, by sprawdzać bajania zawarte w starych legendach, które mogły powstać w innych częściach świata. Bez przesady można stwierdzić, że żyło nam się tu jak w raju. Na dodatek nie działo się to niczym kosztem i nie miało złych konsekwencji dla nikogo, nawet dla zwierząt, również dzikich, które tu bytowały. Nadeszło jednak kilka dni i nocy okropnych i wszystko to przeminęło, a my sami musieliśmy zabarykadować się w enklawach, tej podobnych, gdzie dzięki naszym czarom życie mogło toczyć się po staremu, jak za czasów sprzed przybycia Chaosu.

— I długo tak żyliście w stanie oblężenia? — spytał ze współczuciem Fallogard, unosząc zaraz wysoko brwi, gdy otrzymał odpowiedź.

— Około tysiąca lat. W tak patowej sytuacji większość naszych pobratymców zdecydowała się wyruszyć na poszukiwanie nowego lokum w innych planach, pozostali jednak dalej pełnili straż. My jesteśmy ostatnimi strażniczkami. W czasie, gdy cię szukałyśmy, wielu naszych zginęło w potyczkach z Chaosem usiłującym zdobyć tę twierdzę.

— A co było przyczyną odwleczenia egzekucji? — spytał Elryk.

— Konflikt pomiędzy dwoma Władcami Chaosu. Szczególnie mocno zaangaż-

zował się weń Arioch, bawiąc się w utalentowanego stratega. Ostatecznie to jego machinacje doprowadziły Mashabaka do zniszczenia cygańskiego mostu i do wielu innych manipulacji. Ostatecznie tak zagmatwał sprawę, że udało mu się uwięzić Mashabaka na terytorium, które uważał za własne, w naszym świecie. Pozbawionemu demonicznego wsparcia Gaynorowi pozostało liczyć na trzy siostry. Chciał, byśmy sprowadziły go z powrotem. Wyszło jednak nieco inaczej. Na dodatek Mashabak wrócił i pewnie lada chwila wyśle swe wojska do walki. Ktokolwiek stoi za uwolnieniem tego demona, pozbawił nas w ten sposób wielu lat spokoju, na które mieliśmy jeszcze uzasadnioną nadzieję. . .

Elryk nic nie odpowiedział, pamiętając poświęcenie Esberna i odwagę, z jaką Wilkołak Pomocy rzucił się na Boga, by ratować przyjaciela, mimowolnie niszcząc przy tym równowagę sił i niwecząc kruchy rozejm pozwalający dotąd siostronom znaleźć wytchnienie we własnym pałacu.

Skrajnie zdeterminowany, opuszczony przez Mashabaka Gaynor rozpoczął rozpoczął prywatną wojnę, już nie w imieniu patrona, ale we własnym! Tak jak niegdyś wyzwał Równowagę, tak teraz stawiał czoło Chaosowi! Ten osobnik nie potrafił znieść niczyjej władzy nad sobą. Z początku zgubił się, spędzając całe lata subiektywnego czasu na poszukiwaniach drogi powrotnej do tego wymiaru. Posłużył się przy tym całą swą siłą, nie zawahał się przed żadną sztuczką ni podstępem, nieustannie rozpamiętując odstępstwo niedawnego sprzymierzeńca. Mimo to jednak zdecydowany był ustanowić tu swoją władzę! Ostatecznie postanowił podążać śladem sióstr, które musiały przecież, koniec końców, skierować się do domu. Pierwotnie Mashabak wysłał go, by odnalazł umykające siostry i przyniósł z powrotem ową żywą różę. Ale skoro Mashabaka zabrakło w grze, róża stała się celem drugoplanowym. Obiektem pożądania Gaynora był teraz miecz Elryka.

No i wrócił Książę Przekłęty, od razu na wstępie demonstrując zainteresowanym, że pałac przestał być mu niedostępny. Wdarł się do środka i zagroził siostronom mieczem, żądając wydania legendarnych trzech skarbów, które dźwigały ze sobą, by zwrócić ładunek po powrocie temu, od kogo owe cenneści pożyczły. Gaynor zamierzał wygnać je z pałacu do jaskini, gdzie przy wschodnim wejściu czekała sfera Chaosu, sama niezdolna wnikać dalej.

Wykorzystując do maksimum zdolności Koropitha, który wyczuł niebezpieczeństwo grożące trzem siostronom, Róża zdołała ostatecznie dostać się do właściwego wymiaru, dokładnie w ostatniej chwili, by rzucić osłaniające zaklęcie na siostry i wyzwąć Gaynora, którego zmusiła mieczem i czarami do odwrotu. Wiele ją to jednak kosztowało i byłaby najpewniej umarła z wyczerpania, gdyby nie Elryk i towarzystwo, którzy dodatkowo spłoszyli Księcia Przekłętego swym przybyciem na tyle, że wycofał się on do swojej warowni.

— My też gotowałyśmy się już na śmierć — stwierdziła księżniczka Shanug'a. — W jednej chwili wszystko się zmieniło. Ciekawe, co nas połączyło? I czemu w tym właśnie momencie? Czy czujesz coś, panie Phatt? Czy to może

Przeznaczenie?

— To może być tylko Równowaga — odparł Fallogard z niezachwianą pewnością.

Elryk jednak wiedział dobrze, że Zwiastun Burzy nie służy Równowadze, a bez pomocy miecza nigdy by tu najpewniej nie dotarł, by wspomóc siostry. Ale czy miecz zdawał sobie sprawę, czego teraz od niego chciały?

Nagle pewna myśl aż poraziła Elryka. A co, jeśli miecz uzyskał już od obecnego włodarza wszystko, czego potrzebował i nie jest mu potrzebna dłużej owa więź symbiotyczna, bez której to więzi albinos nie potrafi się jednak obyć? Idea była przerażająca, pogłębiała jeszcze obrzydzenie, które Elryk czuł do siebie z racji owego uzależnienia od runicznego oręża. Pewnym ruchem odpiął pochwę z mieczem od pasa i zrobił to, czego wcześniej odmówił Gaynorowi, mianowicie wręczył Zwiastuna Burzy trzem siostrą.

— Oto miecz, którego pragniecie — powiedział, ni słowem, ni gestem o nic więcej nie pytając. Nie wahał się, nie okazywał niechęci. Honor przeważał wszystko inne.

Księżniczka Tayaratuka postąpiła krok, skłoniła się i wzięła miecz w drobne dłonie napinając mięśnie ramion, by otrzymać ostrze. Udało jej się. Musiała być naprawdę o wiele silniejsza, niżby się wydawało.

— Mamy nasze Runy — powiedziała. — Zawsze je znaleźliśmy. Od kiedy pierwszy nasi pobratymcy przybyli tutaj, czyniąc ten świat poddanym. Nawet gdy smoki nas opuściły, nie baliśmy się, mieliśmy bowiem Runy. Niektórzy nazywają je Runami Ostatniej Szansy. Muszą one jednak zostać wypowiedziane zgodnie z pewnym rytuałem i w szczególnej obecności pewnego obiektu. Przede wszystkim konieczne jest posiadanie Czarnego Miecza, potem ten, kto mieczem owym włada, musi przyłączyć się do recytujących. Dalej, trzeba znać imiona pewnych bytów, które muszą zostać wezwane. A wszystko to zgrane w czasie i przestrzeni. Oto, co trzeba nam uczynić, by odwzorować istniejące i rozszcześcić rzeczywistość. To z kolei uwolni najelementarniejsze siły multiwersum. Dopiero wówczas, o ile wszystko właściwie przeprowadzimy, uda nam się ożywić tak nam potrzebnych sprzymierzeńców gotowych wesprzeć nas w walce z Chaosem. Sprzymierzeńców dość potężnych, by wygnać i Mashabaka, i Gaynora, i wszystkich ich pomniejszych poddanych z tego wymiaru! W przypadku powodzenia, książę Elryku, gotowe jesteśmy ofiarować ci jeden z trzech inkryminowanych skarbów. — Spojrzała na Różę, ale w tejże chwili Wheldrake wtrącił się żywo w jej kwestię z recytacją:

*Pierwszy skarb Radinglay to różane  
Puzderko, w różę misternie rzeźbione,  
Drugim był posag panny, kwiat róży zerwany  
W letni poranek. Trzecim, z wrzośca trzy pierścienie,  
Zdolne wrócić do życia z zimnej krainy plemię.*



— Dokładnie tak — stwierdziła księżniczka Mishiguya unosząc brwi ze zdumienia, jakby zaskoczona, że słowa, które dopiero zamierzała wypowiedzieć, od dawna już znajdują się w repertuarze minstrela.

— Przepraszam, ale jemu wiersze lęgną się w głowie jak króliki na wiosnę — powiedziała Charion tonem usprawiedliwienia. — Czasem sam nie wie, skąd się biorą.

— Zaiste! — warknął Wheldrake. — Szczególnie, gdy recytuję me własne utwory! Może wam się to nie podobać, wasze prawo, nie ma obowiązku, by wszystko się wszystkim podobało. Ja tam mam swoje rymy i rytmy... — i mruknął sobie pod nosem jeszcze kilka strofek.

Księżniczka Mishiguya nie zamierzała jednak czynić wyrzutów, a Róża wprost wzięła się do obrony poety:

— Bez kadencji mistrza Wheldrake'a i jego pamięci do imion, zapewne do dziś szukalibyśmy się po zakamarkach multiwersum. Jego talenty okazały się przydatne dla nas wszystkich.

— Jeśli nam się uda — stwierdził Elryk — to gotów będę przyjąć waszą propozycję jeśli chodzi o podarunek. Jest wśród waszych skarbów i taki, z którym mój los jest z dawna związany...

— Nie wiemy, który to. Zresztą, do niedawna nie wiedzieliśmy nawet, że jesteś naszym rodakiem, a przecież to powinno być dla nas oczywiste od początku. Niestety, nie mamy już owych pożyczonych darów...

— Ależ one nie przepadły! — krzyknęła Róża. — Ukryłyśmy je przed Gaynorem...

— Byłaś w stanie ochronić nas — odparła księżniczka Tayratuka — ale nie nasze skarby. Gaynor porwał je z ukrycia tuż przed powrotem na Okręt Bywszy. Niestety, owe insygnia potęgi i władzy znajdują się już w rękach Chaosu. Myślałam, że wiesz...

Róża usiadła z wolna na ławie i jęknęła.

— No tak, tym bardziej jest teraz istotne, byście przeprowadzili te wasze obrzędy...

Podążając za siostrami w podziemia pałacu, jedyne stosowne miejsce na rytualne zabiegi, Elryk rozmyślał ponuro, że teraz chyba przepadła ze szczętem i jego dusza, i dusza jego ojca, i wszystko...

## Rozdział 3

**Rytuał krwi; Rytuał Żelaza.**

**Trzy siostry miecza.**

**Sześć mieczy przeciwko Chaosowi.**

Przez krużganki z różowo-czerwonymi mozaikami, przez aleje kwitnących krzewów, przez smugi płynącego z sekretnych światełek światła słonecznego i galerie obrazów i rzeźb podążała cała czwórka.

— Czuję w tym wszystkim dalekie echo Melniboné, a jednak Melniboné to nie jest — powiedział Elryk w zamyśleniu.

Księżniczka Tayaratuka poczuła się niemal obrażona.

— Mam nadzieję, że nic tu nie przypomina tak naprawdę twojego Melniboné. Nie wywodzimy się z wojowniczej linii, jesteśmy z tych Yadhaghów, którzy woleli umknąć przed wspieranymi przez Chaos Mabdenami. . .

— My, w Melniboné, postanowiliśmy, że nie będziemy już więcej uciekać — odparł cicho Elryk. Nie zamierzał wypierać się sztuki wojennej przodków, skoro umiejętności te mogły być znowu przydatne. Niemniej wyczuwał tkwiącą w tym myśleniu pułapkę i nader się jej obawiał.

— Nie zamierzałam cię krytykować — powiedziała księżniczka. — My, w razie konieczności, wolimy wyruszyć w drogę, niż naśladować tych, którzy pragną nas zniszczyć. . .

— Teraz jednak — wtrąciła się księżniczka Shanug'a — musimy stanąć do bitwy, by obronić, co nasze.

— Nie zostało powiedziane, że nigdy nie będziemy walczyć — dodała stanowczo jej siostra. — Chcę tylko zaznaczyć, że nie jest i nie było nigdy naszym zamiarem stanowanie imperiów. To dwie różne rzeczy.

— Rozumiem cię, moja pani — odparł albinos. — I przyjmuję to rozróżnienie. Akurat w tym ostatnim też nigdy osobiście nie gustowałem.

— Właśnie, mój panie, wiele jest sposobów, by zapewnić sobie bezpieczeństwo — mruknęła tajemniczo księżniczka Mishiguya.

Tayaratuka niosła wciąż wielki miecz, chociaż wyraźnie ciążył jej coraz bardziej. Gdy jednak Elryk zaproponował pomoc, zaprotestowała. Wyraźnie uznała

to za swój obowiązek.

Korytarz ponownie przeszedł w trójkątny krużganek otoczony ogrodem różanym, na którym rozpościerało się granatowe niebo. Pośrodku widniała fontanna, której podstawa wyrzeźbiona została w groteskowe postaci nie pasujące stylem do smaku całości budowli i w pnące róże sięgające po trójstronnej kolumnie aż ku krawędzi wielkiej misy z wizerunkami groźnych smoków i odprawiających tajemnicze płasy dziewcząt. Z fontanny tryskała srebrzyście woda i Elryk wydało się, że bluźnierstwem jest wnosić Czarny Miecz do takiego sanktuarium spokoju.

— To Ogród Runów — powiedziała księżniczka Mishiguya. — Znajduje się w samym środku naszego wymiaru i tej krainy, w centrum tego pałacu. Był pierwszym dziełem świeżo przybyłych tu Yadhaghów.

Odetchnęła głęboko delikatnym aromatem róż, a uczyniła to z takim skupieniem, jakby czynić to miała po raz ostatni.

Tayaratuka położyła skryty wciąż w pochwie miecz na ławie i poszła obmyć dłonie w zimnej wodzie, wylewając ją sobie także na głowę. Może pragnęła otrzymać jakieś błogosławieństwo? Shanug'a poszła tymczasem na drugi koniec pierwszej z trzech odchodzących od ogrodu galerii i wróciła szybko z wysadzonym rubinami cylindrem z bladego złota, który wręczyła Mishiguyi. Ta wyjęła ze środka jakąś tubę ze zdobionej złotem kości słoniowej i podała ją Tayaratuce, która dobyteła z wnętrza tuby rdzeń z szarego kamienia. Na powierzchni kamienia niczym żywe stworzenia wiły się i skręcały ciemnoniebieskie runy wyraźnie tego samego rodzaju, jak te zdobiące Zwiastuna Burzy. Elrykowi raz tylko zdarzyło się widzieć takie pismo na czymkolwiek innym niż jego miecz, było to Żałobne Ostrze, bliźniaczy oręż Czarnego Miecza, niegdyś w posiadaniu Yyrkoona, z fatalnym zresztą skutkiem. Mgliście przypominał sobie wprawdzie, że takie runy grawerowano w dziejach jeszcze na innych obiektach, ale tutaj wiedza jego była mizerna. Czy przedmioty te również odznaczały się szczególnymi właściwościami?

Tayaratuka trzymała kamienny walec przed sobą i wpatrywała się w ruchome runy, jakby ujrzała je po raz pierwszy w życiu, a jej usta poruszały się w miarę czytania słów ułożonych na długo przed tym, nim ona sama nauczyła się pierwszych głosek zwyczajnego alfabetu. To było dziedzictwo historii, Runy Władzy...

— Tylko trzy dziewice zrodzone z tej samej matki i tego samego ojca w tym samym czasie mogą poznać Rytuał Runów — wyszeptała Shanug'a. — Ale Runy tak długo nie będą kompletne, jak długo nie ujrzymy ostrza Czarnego Miecza i nie przeczytamy ich głośno w Ogrodzie Runów. Wszystko to musi zdarzyć się razem. Wówczas, jeśli wypowiemy wszystko właściwie i jeśli magia runów nie zwietrzała przez setki lat, wówczas może uda nam się obudzić potęgi, które nasi przodkowie sprowadzili ze sobą do tego świata.

Księżniczka Mishiguya podeszła do ławy, na której leżał piekielny miecz, wzięła i zaniósła go do fontanny, gdzie czekała mokra już mocno Shanug'a. Wzię-

ła mocno pochwę w obie drobne dłonie i powoli, cał po calu, wyciągnęła gorejące szkarłatnymi runami ostrze. Miecz śpiewał, ale tej pieśni Elryk jeszcze nie sły-  
szał. W każdych innych rękach, pewnie i w rękach Gaynora, nagi Czarny Miecz  
zwróciłby się błyskawicznie przeciwko uzurpatorowi, zabijając go na miejscu. By  
obnażyć go i pozostać przy życiu, potrzebne były zaiste wielkie czary. Pieśń zaś  
była dziwnie słodka, pełna smutku przy tym, tęsknoty i żalu po niespełnionych  
pragnieniach, że albinos aż się przeraził. Czegoś takiego nijak po swym mieczu  
nie oczekiwał.

Zwiastun Burzy nie milkł ani na chwilę, gdy Shanug'a uniosła go wysoko  
i ustawiła na czubku pośrodku miski. Fontanna umilkła momentalnie i cisza zapa-  
dła w różanym ogrodzie.

Wszystko zamarło w oczekiwaniu. Czekały kwiaty, czekały kamienie, nawet  
niebo czekało na tę chwilę, która pisana była owemu miejscu od niepamiętnych  
lat.

Również i trzy siostry zamarły w bezruchu.

Zdumiony tą sceną Elryk poczuł się nagle intruzem i już myślał odejść, ale  
księżniczka Tayaratuka odwróciła się do niego z uśmiechem i podała mu grawe-  
rowany walec.

— Ty to musisz przeczytać — powiedziała. — Tylko ty, spośród wszystkich  
istot multiwersum, masz dość siły. To dlatego tak pilnie cię poszukiwałyśmy. Mu-  
sisz przeczytać te Runy, naszym zadaniem jest odczytanie miecza. To dopiero  
plecie moc naszej magii. Do tego właśnie byłyśmy przyuczane niemal od kołyski.  
Musisz nam teraz zaufać, Elryku.

— Przywołałem przysięgę więzów krwi — odparł Elryk i jego zdaniem roz-  
wiązywało to sprawę. Gotów był uczynić wszystko, czegokolwiek by zażądały,  
nawet jeśli znaczyć by to mogło śmierć i wieczne tułanie się w czeluści. Zaufał  
siostronom bez dalszych indagacji.

Potworny miecz stał prosto w misie, pieśń wciąż wibrowała w powietrzu, a ra-  
ny iskrzyły się na tle lśniącej czerni. Zdawało się, że miecz usiłuje przemówić,  
usiłuje odmienić swój kształt, może wrócić do pierwotnej i właściwej mu postaci.  
Elryk zadrzał, bowiem przez chwilę miał wrażenie, że spogląda w swoją przy-  
szłość, że dostrzega cień z dawna postanowionej zagłady, do której ta uroczystość  
ma być próbą generalną. Potem jednak opanował się i zajął tym, co mu wyzna-  
czono.

Siostry stanęły w trójkącie, każda po jednej stronie trójgraniastej kolumny  
i zaczęły własną unisono pieśń, którą jednak trudno było odróżnić od kadencji  
miecza...

... Elryk ze zdumieniem spostrzegł, że mimowolnie podnosi do oczu kamien-  
ny walec, a z jego ust dobywają się nie przypominające wcale słów dźwięki pie-  
śni...

Poszukiwały go dla miecza, ale również i dla tego unikatowego daru. Tylko

on jeden spośród wszystkich żywych, on, Elryk z Melniboné, miał dość siły, by odczytać tak znaczące symbole i wymówić je należycie, ze wszystkimi właściwymi tej pieśni subtelnościami. Napisy siostry znały na pamięć, ale rany płonące na Czarnym Mieczu były im nieznane. Dopiero talenty i umiejętności całej czwórki odczytującej oba napisy mogły ożywić najpotężniejsze ze wszystkich Runy Władzy.

Pieśń narastała, komplikowała się. . . .

. . . przyszła pora kantorów tkających frazy pieśni w obszarach poza czasem, poza słyszalną skalą dźwięków, aż powietrze wpadło w wibrację poruszone tysiącami misternie wiązanych nici. . .

. . . runów wiązanych misternie w jedną całość, całość napawającą niewyobrażalną siłą, siłą skłaniającą do okrzyków i tańców, wkoło zaś krzewy i kwiaty kołysały się, jakby i one pragnęły dołączyć swój akompaniament do tego muzykowania.

Wszystko ożyło. Wszystko stapało się i rozdzielało, zmieniało i przemieniało. Kolory płynęły rzeką przez powietrze, bezimienne siły objawiały erupcjami swe istnienie, by krażyć potem wkoło, aż tylko misa, miecz i walec z runami zdawały się trwać nieruchomo jako ostatnie stałe w tym podwójnym trójkącie.

Elryk zrozumiał, w jaki sposób to miejsce koncentrowało energię psychiczną. To stąd najpewniej płynęła ta siła, która umożliwiła ostatnim osadom tego świata tak długie opieranie się Chaosowi. Wzbożacy o Czarny Miecz, Ogród Runów stawał się tym samym źródłem siły potężniejszej, niż ktokolwiek mógłby wywołać w pojedynkę.

*. . . aby roztrzaskać Miecz Alchemii i z jednej potęgi uczynić trzy. . .*

Nagle albinos pojął, że dociera doń wijąca się pomiędzy runami opowieść, drobiazg w sumie, drobny akcent w całości pieśni. Była to historia o tym, jak ten tutaj lud, wiedziony poprzez wymiary przez smoka, który niegdyś władał w mieczu, przybył do owej krainy. Legenda mocno przypominała te historie, które pamiętał z Melniboné, i bez wątpienia musiała brać korzenie we wcześniejszych, wspólnych jeszcze dziejach. Nowo odkryta kraina okazała się nie zamieszкана, uczynili ją zatem sobie poddaną, wpasowując swe siedziby w kształt ziemi, w rzeki i lasy. Najpierw jednak zbudowali Ogród Runów, bowiem dzięki swej biegłości w sztuce czarów zdołali okiełznać moce, które raz już ich uratowały i mogły jeszcze w razie potrzeby posłużyć potomkom.

Pieśń trwała, historia ciągnęła się dalej. W fontannę wbudowano to, co w pieśni nazwano „narzędziem ostatniej szansy”. Przodkinie księżniczek przekazywały sobie tu z pokolenia na pokolenie onże kamień runiczny, przekonane, że żaden mężczyzna nie utrzymałby długo jego istnienia w tajemnicy.

Wszystkie te umiejętności i rekwizyty wykorzystane mogły być jedynie przeciwko Chaosowi i dopiero wówczas, gdyby wszelkie inne środki zawiodły. Do ich ożywienia potrzebny był jednak jeszcze jeden przedmiot spośród wielkich Insy-

gniów Władzy. To, co siostry pożyczyły i wozily ze sobą, zamierzając darować Elrykowi w zamian za jego pomoc, nie wiedząc przy tym, że jest ich rodakiem, nie miało dość mocy, by ożywić rytuał.

Gaynor ukraść je, wiedząc że Chaos pożąda tych przedmiotów, lękając się ich równocześnie. Jeden z takich przedmiotów został wcześniej już skradziony Róży, ale wrócił do niej zdumiewającym sposobem. Pozostałe znajdowały się pod odpowiednią strażą, ale żaden z nich nie był na tyle potężny, by poruszyć Ogród Runów.

Podczas gdy trzy siostry szukały Elryka i Czarnego Miecza, inni, jak albinos, poszukiwali tego, co miały ze sobą. Teraz krąg się zamknął i wszystkie elementy tej psychicznej układanki trafiły na swoje miejsca, dając całej czwórce możliwość uwolnienia myśli i sięgnięcia nimi poza wymiary, nawet poza multiwersum, by powrócić mogły bogatsze o wiedzę i zrozumienie potrzebne do właściwego uformowania podstawy wszelkich czarów, dostarczające formy dla wszelkiej pieśni i poezji, dostarczające osnowy dla każdej nowej myśli, definiujące piękno i brzydotę. . . Podążali coraz dalej, śledząc wzory i strumienie myśli, poznając sposoby zasklepiania ran i uszczerbków w murach Czasu i Przestrzeni. Otaczała ich przy tym aura tak silna, że sięgała nawet do pozostałych Insygniów Władzy.

Runy komplikowały się, a cała czwórka coraz głębiej tonęła w pieśni dążąc ku niemal nieskończonej tęczy dźwięku, przemierzając niezliczone, samotne światy, poznając tysiąclecia niczym nie zmaconej radości i prozę zwyczajności nie dającej sercu ludzkiemu innej pożywki do uciechy, prócz kłamstw. . .

Były to dawne zaklęcia nieludzkiego rodu zawarte w obietnicy runów, zaklęcia zdolne opanować potęgę amoralnej magii, która nigdy nie znała innych władców, jeno samej siebie.

Czar zaczął żyć własnym życiem. Zbierał siły, wijąc się i skręcając niczym żywopłot cisowy, zerkał coraz częściej sam na siebie, przekształcając swe spłoty, sprawdzając wszystko, smakując, wachając, aż w końcu zgromadzona ponad Czarnym Mieczem moc przybrała idealny kształt i gotowa stała się do uwolnienia. . .

Ale pieśń musiała trwać dalej, bowiem trzeba jeszcze było ową moc wziąć w cugle i osiodłać, nasycić ją treścią, nauczyć tę prymitywną, ślepą siłę, że istnieje pewien porządek czynienia wyborów. A do tego sięgnąć należało po przymus. . .

Nieugięta, dyscyplinująca wola skupiona w jednym sztychu energii psychicznej przypuściła atak z zewnątrz i od środka i nie dała się zwieść żadnej groźbie czy wykrętowi. . .

Cztery istoty tak podobne do siebie, jakby jednym były organizmem, jednym umysłem, nie ustępowały. . .

Trwały w zamiarze, przekazując siłę poprzez Czarny Miecz, który stał się w tej chwili głównym jej, idealnym zresztą, przekaźnikiem, razem z bryłą kamienia, z której niegdyś, tysiące lat temu, wykuto misę, kolumnę i cokół.

I kamień ulegał przemianie. Z martwej materii w ożywioną postać energii tak nasyconej i tak potężnej, że trudno było nawet samym adeptom wyobrazić sobie pełnię jej możliwości czy stojącą za nią moc.

Energetyczne jestestwo zauważyło wreszcie swe istnienie i dołączyło swą pieśń do śpiewu sióstr, albinosa i runicznego miecza, aż powstał chór słyszany w całym multiwersum, w każdej sferze i na każdej planecie, echem wracający przez niezliczone plany, a echo to miało zawsze już trwać obietnicą harmonii i miłości, przyrzeczeniem równowagi. Bo to właśnie metafizycznie pojmowana równowaga była tym, co pozwoliło okiełznać prymitywną siłę i wymusić na niej posłuszeństwo, a końcu dać jej szansę działania. . .

. . . co objawiło się pod postacią trzech nowych Insygniów Władzy, które ukazały się ich oczom, gdy zniknęła fontanna.

Pośrodku niedużego basenu stał Czarny Miecz, a wokół. . .

. . . wokół widniały trzy inne miecze, każdy wagi i rozmiarów Zwiastuna Burzy, każdy jednak inny:

Pierwszy był z kości słoniowej, z takimż ostrzem i takąż gardą i rękojeścią owiniętą złotą taśmą, która zdawała się wrastać w kość.

Drugi był ze złota, ale równie był ostry jak poprzednik, a rękojeść miał z hebanu.

Trzeci był z szarobłękitnego granitu oprawnego w srebro.

Oto były miecze skrywane dotąd przez Runy i nasycone obecnie potęgą wystarczającą, by równać się z samym Zwiastunem Burzy. . .

Odziana w złocistości księżniczka Tayaratuka wyciągnęła dłoń po złoty miecz i z westchnieniem przytuliła go do piersi. . .

Jej siostra, Mishiguya, cała w szarościach i błękitach, sięgnęła po miecz granitowy, uśmiechając się przy tym triumfalnie. . .

. . . a księżniczka Shanug'a, poważna w śnieżnej bieli, ujęła miecz kościany i ucałowała go.

— Teraz — powiedziała, zwracając się do pozostałych — gotowi jesteście do walki z Władcami Chaosu.

Wyczerpany ceremonią Elryk pokuśtykał, by wziąć własny miecz. Coś podpowiedziało albinosowi, by położyć na jego miejscu odczytywany przed chwilą kamień runiczny.

*Elryku, mój synu, czy masz szkatułkę? Czy siostry ci ją dały?*

To głos ojca. Przeczucie, co może się stać, jeśli spotka księcia porażka. A ta zdawała się nieunikniona. . .

*Elryku, czas się zbliża. Moje czary słabną i nie starczy mi sił na długo. . . Będę musiał podążyć do ciebie, synu. . . Podążyć do tego, którego najbardziej w całym multiwersum nienawidzę. . . I żyć z nim po wsze czasy. . .*

— Nie znalazłem twej szkatułki, ojczu — mruknął Elryk pod nosem i podnosząc głowę spostrzegł, że wszystkie trzy siostry patrzą nań ze zdumieniem. W tej-

że chwili jak spod ziemi wyrósł obok Koropith Phatt.

— Och, niebu niech będą dzięki! Myślałem, że już po was. Jakaś dziwna burza się tu rozszalała, ale przecież jesteście! A tak obawialiśmy się już podstępного ataku od wewnątrz. . .

— Gaynor? — spytał Elryk, chowając dziwnie milczące teraz ostrze. — Wrócił?

— Gaynor to chyba nie, przynajmniej nie wydaje nam się, ale mamy tu całą armię Chaosu. Nadciąga i jest już blisko. Och, książę, i wy, panie księżniczki, nie ma już dla nas nadziei!

Na te słowa pobiegli ile sił w nogach za młodzieńcem, by dołączyć do pozostałych, wyglądających przez skryty w zieleni listowia naturalny balkon wykutej ze skały komnaty. Widać stąd było dobrze całą okolicę, w tym i krystaliczne drzewa, padające obecnie tuzinami pod pochodem wielkiej rzeszy uzbrojonych, na wpół ludzkich istot.

Armia zniekształconych po zwierzęcemu ludzi i bestii przypominających istoty ludzkie, trochę potworów naturalnie zrodzonych, jak gigantyczne karaluchy. Całe towarzystwo zbrojne zaś było w piki, pałki, żelazne kule na łańcuchach, miecze i inne narzędzia rzezi. Jedne jechały wierzchem na drugich, inne szły samopas, inne jeszcze ciągnęły powarkujących towarzyszy broni, wszystkie zaś szwargotały, kłóciły się, aż jeszcze głośniejsze wrzaski odznaczających się hełmami z żółtym symbolem Chaosu oficerów przywoływały je z powrotem do szeregów.

Jazgocząc niczym czekające na egzekucję w rzeźni bydło, armia Chaosu parła naprzód i trudno byłoby się pomylić co do celu ich ataku i zamiarów.

Róża spojrzała z przerażeniem na przyjaciół.

— Nie jesteśmy w stanie przeciwstawić się tej sile. Znowu czeka nas odwrót, a co potem. . . ?

— Nie — powiedziała księżniczka Tayaratuka. — Tym razem nie będziemy się wycofywać. — Oparła się o miecz, niemal równie wysoki jak i ona sama, noszony jednak z takim wdziękiem i wprawą, jakby posługiwała się nim od lat.

Jej siostry wyglądały podobnie, trzeba jednak przyznać, że wszystkie trzy kobiety nabrały pewności siebie.

— Te miecze są dość potężne, by zmierzyć się z Chaosem? — spytał Whel-drake, który pierwszy się czegoś domyślił. — Wielkie nieba, wasze wysokości! No proszę, jak to stare rymy zawodzą, gdy przychodzi oddać prawdziwą wartość epickich opowieści! Zawsze chciałem to powiedzieć, gdy oskarżali mnie o nazbyt wybujałą wyobraźnię! Tego tutaj nie zdołałbym wymyślić! A przecież się dzieje, widzę to! — Poeta mocno się ożywił. — No i proszę, co jest bardziej niezwykle, opowieści czy ten świat? Naprawdę przyszedł wreszcie pora na otwartą walkę z Chaosem?

— Ty musisz zostać tutaj z babcią — powiedziała Charion. — To twój obowiązek, kochany.



— Ty też, drogie dziecko! — krzyknął Fallogard w wielkim wzburzeniu. — Przecież nie jesteś rycerzem, a tylko jasnowidzem!

— Teraz jestem już jednym i drugim, wujku — odparła z przekonaniem. — Nie mam cudownego miecza, ale mam mój dar, który daje mi przewagę nad wrogami. Wiele się nauczyłam, wujku, w służbie Gaynora Przekłętego! Błagam, pozwólcie mi ruszyć z wami!

— Tak — stwierdziła Mishiguya. — Jesteś dobrze przygotowana do walki z Chaosem. Możesz do nas dołączyć.

— To i ja się z wami wybiorę — powiedziała Róża. — Z magii jestem chwilowo wyprana, ale wiele razy wychodziłam już cało z potyczek z Chaosem. Wesprę was Szybkim Cierniem i Małym Cierniem w walce, jeśli pozwolicie. Jeśli zaś mamy zginąć w tej potrzebie, to niech chociaż wypełnię moje powołanie.

— Niech zatem tak będzie — powiedziała Shanug'a, spoglądając pytająco na pobratymca. — Pięć mieczy stawi czoła Chaosowi... czy może sześć?

Elryk przyglądał się wciąż strasznej armii, w której zgromadziła się cała brzydota, wszystkie odrażające wady i zło, jakie kiedykolwiek cechowały rodzaj ludzki. Obrócił się w końcu i wzruszył ramionami.

— Sześć, oczywiście. Ale będziemy musieli zmobilizować wszelkie siły, by ich pokonać. Podejrzewam, że to jeszcze nie wszystkie siły, które Chaos pchnął przeciwko nam. Niemniej ja też jeszcze wszystkich nie wykorzystałem...

Przycisnął dłoń do ust i zadumał się nad tym, co akurat przyszło mu do głowy, w końcu powiedział:

— Pozostali muszą zostać tutaj, gotowi w razie potrzeby do ucieczki. Na twoje barki, mistrzu Wheldrake, składam ciężar odpowiedzialności za bezpieczeństwo starszej pani, Koropitha i Fallogarda...

— Nie zawiodę... — odparł niepozbywany idealista.

— Wierzę w ciebie, sir — powiedział Elryk — ale wiem, że nie masz w tych sprawach doświadczenia. Musicie być gotowi do ucieczki, jako że nie jesteście w stanie się bronić przed Chaosem, za to wasze zdolności psychiczne, panie Phatt, powinny być aż nadto wystarczające, by się wymknąć. Uciekajcie z tego wymiaru, jeśli będzie trzeba i weźcie ze sobą kogo się da!

— Nie odejdę bez Charion — stwierdził Wheldrake.

— A dla dobra pozostałych powinienes — mruknęła dziewczyna. — Wujek Fallogard może cię potrzebować.

Widać jednak było, że Wheldrake postanowił już swoje i nie odstąpi od zamiaru.

— W stajniach na niższych poziomach znajdziemy konie — powiedziała Tayaratuka. — Sześć wierzchowców w barwie miedzi i srebra. Wszystko zgodnie z rytuałem...

Wheldrake patrzył za odjeżdżającymi przyjaciółmi i nieco żałował, że nie wybrał się z nimi, wybierając los reportera zdarzeń jedynie, miast uczestnika, z dru-

giej jednak strony, z niechęcią bo z niechęcią, ale musiał przyznać, że wcale nie ma ochoty stawiać czoła tak odrażającemu wrogowi. . .

Chwilę później, gdy oparty o balustradę balkonu lustrował postępujące ku nim mdlące i brutalne ucieleśnienie zła, ujrzał sześć wyłaniających się z cienia urwiska postaci, wszystkie na miedzianoskórych rumakach ze srebrnym rzędem. Bez wahania jeźdźcy wpadli do krystalicznej puszczy. Elryk, trzy siostry, Charion Phatt i Róża, bok przy boku, wyprostowani w siodłach i gotowi do walki o swą przyszłość, walki nie tylko ze złem, ale i z zapomnieniem. . .

Widząc to, Wheldrake odłożył pióro i miał szukać natchnienia, by zrodzić kolejną romantyczną balladę, zaczął się modlić o żywoty i dusze ukochanych przyjaciół. Zaiste umiłował tych dumnych ludzi i obawiał się teraz o nich bardziej, niż potrafiłby to wyrazić słowami.

Patrzył, jak Róża wypuszcza się przed kompanię i zbliża się samotnie na kilka kroków ledwie do pierwszych szeregów masywnych bestii, po części ssaków, po części gadów, które Chaos zwykle wykorzystywał w roli rumaków bojowych. Pokryte naciekami śluzu nozdrza wyczuły już jej obecność, obecność kogoś obcego, nietkniętego odrażającym trądem Chaosu.

Nagle z obszernego, obwieszzonego ludzkimi skórami i tym podobnymi pamiątkami siodła na grzbiecie wiodącej bestii wysunęła się jakaś głowa i spojrzała na coraz bliższą ciźbie Różę.

Wheldrake błyskawicznie i bezbłędnie rozpoznał ten hełm.

Należał do Gaynora.

Niegdysiejszy Książę Uniwersaliów przybył osobiście, by ujrzyć ostatnie chwile tych, którzy tak skutecznie mieszały mu dotąd szyki.

## Rozdział 4

### Walka w krystalicznym lesie: Chaos odrodzony. Płatawica. Gdzie jest Okręt Bywszy?

— Wraz ze swą armią najechałeś te krainę, Gaynorze — powiedziała Róża gniewnie, ale zachowując wymogi dyplomacji. — Nakazujemy ci zawrócić. Przybyliśmy, aby wygnać Chaos z tego wymiaru.

— Różo kochana — odparł chłodno Gaynor — chyba oszalałaś ze strachu przed nami. Nie stawaj nam na drodze. Przybyliśmy, aby na wieki wieków ustanowić tu władzę Gaynora. Warn ofiarować zaś mogę jedynie miłosierdzie szybkiej śmierci.

— Kłamliwa to miłosierność! — krzyknęła Charion ze swego miejsca w szeregu. — Jak wszystko, co mówisz. Zawsze albo kłamstwa albo przechwałki.

Gaynor zwrócił powoli hełm na dziewczynę i zachichotał.

— Dzielną jesteś, ale naiwna, dziecko. Nie macie dość siły, by przeciwstawić się potędze Chaosu, potędze, której ja rozkazuję.

W głosie Gaynora pobrzmiwała nowa nuta, jakby przybyło mu pewności siebie. Elryka zaniepokoiło to i zainteresowało równocześnie. Skąd brało się owo niepokojące poczucie siły? Czyżby przekłety książę uzyskał poparcie dalszych władców Chaosu? Czy może była to zapowiedź wielkiej bitwy między Ładem a Chaosem, od stuleci już zapowiadanej w licznych prorocत्वach?

Róża uniosła się w siodle i wyciągnęła Szybki Cierń. Elryk nie mógł opanować podziwu dla jej samokontroli, stała przecież przed kimś, kto najpierw ją zdradził, a potem przyczynił się okrutnej śmierci jej najbliższych, a mimo to nie okazywała mu ani pogardy, ani nienawiści. Dwakroć już Gaynor pobił ją w walce, nie pokonując wszakże i chyba dobrze o tym pamiętał, zatem może to właśnie było przyczyną jego fanfaronady? Może raz jeszcze chciał omamić ich wszystkich złudną potęgą swej władzy?

Róża wracała już ku przyjaciółom.

— Wiedz to, Gaynorze Przekłety — krzyczała — że czeka cię los najgorszy z możliwych. Nim wieczór zapadnie, ziszczą się najgorsze twoje lęki. Tyle mogę ci obiecać!

Odpowiedzią Gaynora był śmiech, ale jakoś niezbyt szczery, bardziej przypominający groźbę.

— Żadna kara mi nie straszna, pani. Nie wiedziałaś tego jeszcze? Skoro odmówiono mi dobrodziejstwa śmierci, zwykłem sam jej szukać, miliony innych dobierając sobie do towarzystwa. Każdy zgon, który dzieje się za mą przyczyną, jest mi na chwilę ukojeniem. Ty też umrzesz zamiast mnie. Wszyscy tak umrzecie. Za mnie. — Zaczął przemawiać słodko, niczym burdelowy kochanek, a każde jego słowo pieściło plecy umykającej niczym rozpusta ucieleśniona. — Za mnie, pani.

Zająwszy miejsce w szeregu, dziewczyna spojrzała spokojnie na hełm Gaynora, osnuty płomieniami i dymem jego męki.

— Nikt z nas nie umrze, książę — powiedziała. — A już na pewno nie za ciebie!

— Surogaty moje! — roześmiał się znów Gaynor. — Ofiary! No dalej, szukajcie sobie śmierci! No już! Nie rozumiecie, że jestem waszym dobroczyńcą?

Jednak cała szóstka sięgnęła już mieczy i z Elrykiem i Różą wysforowanymi nieco przed resztę, ruszyła stępa przez lśniącą i dźwięczącą puszcę. Ich wierchowce sprowadzone przez siostry z odległej epoki, gdzie hodowano te specjalną rasę koni bojowych, unosiły wysoko kopyta w oczekiwaniu na czas ataku. Srebrna uprząż podzwaniała o kryształowe gałęzie, wielkie łby rzucały się niecierpliwie, nozdrza rozdymały w oczekiwaniu na odór krwi, a ślepie toczyły po okolicy wypatrując wroga. Rumaki czuły, że walka jest blisko, a tak je właśnie wyszkolono, by ożywiały się w pełni dopiero w gęstwie bitewnej.

Zadowolony, że przyszło mu dosiadać tak wspaniałego ogiera, Elryk dobrze rozumiał, że można z utęsknieniem wypatrywać wojny. Znał radość, którą niosła, upraszczając wszelkie odczuwanie, wyostrzając zmysły. Cokolwiek działo się wcześniej, podczas bitwy zawsze nagle nabierało sensu, a myśl o śmierci odchodziła w cień. Książę dobrze wiedział, jak złudną jest odmiana i nie po raz pierwszy zastanowił się, jakie to fatum skazuje go na wieczne poszukiwanie narkotycznego niemal transu walki. Może, jak te konie, w tym jednym celu pojawił się na świecie? Nie cierpiał tego stanu, ale uzależnienie było silniejsze, i gdy pierwsze kreatury Chaosu były już blisko, szal bitewny ogarnął go bez reszty...

Patrzący na to wszystko z balkonu powyżej Wheldrake ujrzał sześciu jeźdźców zderzających się z armią Chaosu i zdało mu się, że niekształtna ciżba pochłonie śmiałków w marszu. Czy sama masa bestii Chaosu nie była aż nadto wystarczającą, by mimochodem zgnieść napastników?

Nagle szarżujący jeźdźcy znaleźli się w samym środku kręgu roziskrzonego blasku. Wheldrake dojrzał sześć jego źródeł. Pierwsze rozpoznał łatwo po mrocznej radiacji, to był Zwiastun Burzy. Dwa lśniły jedynie światłem odbitym od me-

talowych kling, ale pozostałe trzy jaśniały, jeden kremową bielą, jeden szarością granitu, a ostatni starym złotem. Na wpół oślepiiony rozszczepianym przez kryształy światłem poeta stracił na chwilę całe towarzystwo z oczu, a gdy znów je ujrział, nie mógł oprzeć się zdumieniu!

Cztery na wpół gadzie bestie rzucały się pomiędzy kryształami w konwulsjach agonii, miażdżąc przy tym palankiny na grzbietach.

Pokazał się też i Gaynor, metalowa, wściekła wyraźnie postać biegnąca z powrotem ku głównym siłom w poszukiwaniu nowego wierzchowca. Czarnożółty miecz migotał mu w dłoni, jakby istniejąc nieustannie w dwóch różnych wymiarach. . .

Wheldrake domyślił się, że trzy siostry nie były jedynymi adeptkami pieśni runicznej, skoro Księżę Przeklęty także potrafił wyposażyć się w nowy miecz.

Niemniej bestie Chaosu padały nieustannie przed cienkimi, lśniącoymi żądłami pustoszącymi ich szeregi równie pewnie, jak kosiarz postępujący przez pole jęczmienia. . .

Przysłaniając dłonią oczy przed wielokolorowym blaskiem kryształów, Elryk pracował wielkim mieczem napotykając tylko niewielki opór tam, gdzie wygładniały Zwiastun Burzy trafiał na cielska i dusze wielkich bestii, niegdyś ludzi, którzy oddali się jednak całkowicie w służbę Chaosowi. . .

Takie zabijanie nie sprawiało mu satysfakcji, nawet jeśli sama walka była radością. Podobnie widzieli sprawę i jego towarzysze, wiedząc, że wystarczyłaby drobna odmiana losu, jakiś przypadek, a i oni sami też mogliby stać się częścią owej armii dusz potępionych. . . Ostatecznie większość śmiertelników nie wybierała wcale Chaosu dobrowolnie. . .

Trzeba jednak było zabijać — albo samemu lec martwym i oddać cały ten świat na pastwę najeźdźcy, by nasycił się łupem i ruszył na podbój dalszych terenów. . .

Z wdziękiem tancerzy i precyzją chirurgów, z oczami pełnymi żalu nad taką masakrą, trzy siostry walczyły z tymi, którzy wygubili większość ich pobratymców.

Charion zsiadła ze zbyt rosnącego dla niej wierzchowca i spieszona pojawiała się na mgnienie oka w coraz to innym miejscu, tnąc na prawo i lewo i dzięki darowi jasnowidzenia unikając każdego ataku, nim jeszcze został wyprowadzony. Podobnie jak siostry, i ona ograniczała ruchy miecza do niezbędnego minimum i nie czerpała z owego mordowania żadnej przyjemności. . .

. . . Tylko Róża podzielała radość Elryka, bowiem i ona szkolona była do walki z dowolnym przeciwnikiem. Szybki Cierń bez trudu odnajdywał czułe miejsca przeciwników, zaś sprawność i szybkość chroniły dziewczynę przed cudzymi ciosemi. Wiodąc wierzchowca w najgęstsza cizbę, rozcinała ją tak akuratnie, że jedno

padające monstrum przygniatało następne, zabijając przy tym drżącymi spazmatycznie łapami kolejnych towarzyszy broni.

Elryk przywołał na usta dawną pieśń bitewną i ruszył za Różą w samo serce ugrupowania wroga i pożywiał miecz energią, której Zwiastun Burzy nie zatrzymywał dla siebie, toteż po jakimś czasie oczy Elryka lśnić zaczęły równie upiornie, jak to piekielne spojrzenie, które dawało się dostrzec czasem w wizjerze hełmu Gaynora...

Wheldrake patrzył z podziwem, jak już ponad połowa armii Chaosu legła pod ciosami sześciu mieczy przedzierających się przez masę porąbanych ciał, powyginanych groteskowo kończyn i jeszcze osobliwszych łbów unoszących się w ostatnich podrygach cierpienia...

... Z drugiej jednak strony parł ku kręgowi walki Gaynor Przeklęty. Odpychał wyciągnięte na oślep pazury, gdzieniegdzie zatapiał stal w gardziel, podważając czym się dało, kością czy ciałem, napotykaną przeszkodę. Zbroja jego spryskana była krwią pokonanych podwładnych, a miecz pulsował w jego dłoni żółcią i czernią niczym żywa chorągiew, a na jego ustach pojawiały się imiona, niczym przekleństwa, wzywające wszystko, czego nienawidził, bał się czy najbardziej pożywał...

... i była to nienawiść objawiająca się w wybuchu furii, lęk rodzący agresję, pożądanie tak intensywne i frustrujące, że stawało się najnikczemniejszą rzeczą, której Gaynor zazdrościł każdej napotkanej istocie...

... a najbardziej zazdrościł Elrykowi z Melniboné, który mógłby być jego alter ego, kosmicznym przeciwieństwem wybierającym w swej wędrówce raczej trudne szlaki, niż łatwych. I to jego Księżę Przeklęty nienawidził najbardziej, bowiem przed Elrykiem stała otworem przyszłość osiągalna niegdyś i dla Gaynora...

... tak dalece uległ Gaynor atmosferze bitwy, że bardziej przypominał teraz oszalałą bestię niż księcia Chaosu. Warczał i zawodził miotając się po stosach trupów, jęczał i bełkotał, jakby już teraz dane mu było skosztować anemicznej krwi Elryka...

— Elryku! Elryku z Melniboné! Zaraz odeślę cię na wieczną służbę do twego wygnanego pana! Arioch cię oczekuje, Elryku! Prześlę mu duszę jego krnąbrnego sługi...

Ale Elryk tego nie słyszał. W uszach dźwięczała mu pradawna pieśń wojenna, a całą uwagę skoncentrował na systematycznym ścinaniu kolejnych przeciwników.

Te dusze nie były przeznaczone dla Ariocha, skoro bóg okazał się tak niestającym patronem, który na dodatek nie miał żadnej władzy w tym wymiarze. Esbern Snare zdołał przed unicestwieniem wyrzucić Ariocha z tego świata z powrotem

do własnej domeny demona, gdzie pozostało Ariochowi jedynie zbierać siły przez następnym starciem z odwiecznym rywalem.

Charion i Róża także nie ustawały w walce, zaś trzy równie groźne, bratnie miecze Zwiastuna Burzy pobrzmiwały, unosząc się i opadając, własną muzyką. Elryk nigdy nie widział śmiertelników władających taką potęgą, ale świadomość posiadania takich sprzymierzeńców napełniała go dumą i tym bardziej zagrzewała do nieustawiania w masakrze, gdy zdało mu się, że ktoś woła go z daleka po imieniu.

Dwóch wojowników Chaosu, obaj w skórzanych, nabijanych ćwiekami zbrojach, natarło nań równocześnie, ale byli zbyt ślamazarni, jak na Elryka. Ich głowy odleciały z impetem na bok, a jedna z włóczni trafiła w oko wojownika z drugiej nadciągającej pary, co tak zmieszało przeciwników, że pozabijali się nawzajem. Elryk tymczasem gnał już obok bestii, która po stercie trupów wspinała się do Róży. Dwoma szybkimi cięciami albinos zoperował bestii właściwe ścięgna, skutkiem czego legła na ciałach towarzyszy rycząc przy tym z bezsilnej złości, zdumiona własną śmiertelnością...

Niemniej wciąż słychać było skądś z dali znajome wołanie...

— Elryku! Elryku! Chaos czeka na cię! — Wysoki, zawodzący krzyk jak mściwy wichur.

— Elryku! Niedługo już skończy się twój optymizm!

Brnąc przez zwały trupów, Elryk ruszył ku przeciwnikowi, by rozstrzygnąć ostatecznie wynik bitwy...

Wheldrake widział go z balkonu, jak z uniesionym mieczem w prawej ręce wspinał się na cmentarzysko, lewą dłonią zasłaniając oczy przez dokuczliwym blaskiem pokruszonych kryształowych drzew. Powódź światła i kolorów sprawiała, że scena zdarzeń wydawała się jeszcze bardziej odległa. Widząc zaś coś, czego Elryk jeszcze nie dostrzegł, Wheldrake znów zaczął mamrotać stosowną modlitwę...

Torując sobie drogę pomiędzy błyskawicznie gnijącymi szczątkami, po uszy upapwany w smrodliwej posoce i bez reszty opętany żądzą zemsty Gaynor parł naprzód, wciąż powarkując imię albinosa.

— Elryku!

Księżę usłyszał wołanie wątłe jak kwilenie ptaka, rozpoznając w nim jednak głos Charion.

— Elryku! On jest już blisko. Czuję go. Jest o wiele silniejszy, niż przypuszczaliśmy. Musisz go jakoś pokonać... W przeciwnym razie zabije nas wszystkich!

— ELRYKU! — Z ostatnim sieknięciem wysiłku, Gaynor znalazł wreszcie drogę między ciałami i stanął naprzeciw swego największego wroga, a miecz mi-

gotął mu w dłoni niczym świeżo zrodzona z wulkanu lawa. — Nie sądziłem, że ten nowy, potężny oręż w ogóle będzie mi potrzebny, ale jednak. I proszę, oto znów się spotkaliśmy!

I nie czekając, natarł na Elryka, a ten bez trudu uniósł Zwiastuna Burzy, by zablokować cios. Gaynor jednak, nie wiedząc czemu, roześmiał się tylko i nie cofnął miecza, aż nagle albinos zrozumiał co się dzieje i podjął wysiłek, by uniknąć dłuższego zwarcia. Miecz Gaynora był pijawką gotową wyssać wszelkie życie ze wszystkiego, z czym się zetknie. Elryk słyszał niegdyś o takich ostrzach żywiących się energią, pasożytach mogących pokonać miecze w rodzaju Zwiastuna Burzy dzięki osobliwym czarom promieniującym z obcego żelaza, z których pijawki były wykuwane.

— Wygląda na to, że sięgnąłeś dziś po szczyptę mało eleganckich czarów, Gaynorze. — Elryk był pewien, że zostało mu jeszcze sporo energii, ale wiedział, że nie może pozwolić sobie na dalsze trwonienie jej na rzecz pijawki.

— Nie ma w moim słowniku pojęcia takiego, jak honor — odparł niemal beztrudnie Książę Przeklęty, wywijając mieczem. — Ale gdybym jednak znał to słowo, to powiedziałbym, że brakuje ci dziś odwagi, by stanąć ze mną twarzą w twarz i zmierzyć się w walce na miecze. Bo przecież czy nie jesteśmy godnymi siebie przeciwnikami, Książę Ruin?

— Zapewne, zapewne — mruknął Elryk, mając nadzieję, że siostry pojmą powagę sytuacji i przyjdą mu z odsieczą. Odsunął się wraz z koniem, unikając kolejnego, niemal od niechcienia wyprowadzonego ciosu.

— Boisz się mnie, Elryku? Co jest? A może boisz się śmierci?

— Śmierci nie — odparł Elryk. — Nie tej zwykłej śmierci, która jest tylko przeniesieniem. . .

— A co z nagłą śmiercią sprowadzającą wieczne zapomnienie?

— Też się nie boję. Chociaż podobnie jej nie pragnę.

— Ale ja owszem! Dobrze o tym wiesz.

— Tak, ale nie jest ci ona pisana. Nigdy nie zaznasz jej ukojenia.

— Może — odparł powściągliwie Gaynor, spojrzawszy przez ramię i zachichotał, widząc nadciągającą księżniczkę Tayaratukę. Reszta kompanii nadal masakrowała armię Chaosu. — Ciekawe, czy jest w multiwersum cokolwiek stałego? Może i Równowaga nie jest niczym innym, jak tylko wymysłem śmiertelników pragnących dodać sobie nieco odwagi wyobrażeniem, że istnieje jednak jakiś porządek i cel w życiu? Ale czy jest na to jakiś dowód?

— Owszem, to nasze dzieło — powiedział cicho Elryk. — Sami jesteśmy dowodem. Zdolni jesteśmy stanowić prawa, porządek, harmonię. . .

— Zwykle moralizowanie, książę. Słabość typowa dla śmiertelnych umysłów. Bierze się najpewniej ze zbyt wielkiego ciężaru sumienia.

— Ty mi na sumieniu z pewnością nie zlegniesz, Gaynor. — Elryk zdołał się nieco odprężyć i rozluźnić mięśnie twarzy. — A poza tym sumienie nie zawsze



jest ciężarem.

— Odezwał się morderca braci swoich! A co niby tobie sumienie dotąd za-fundowało, prócz obrzydzenia do siebie samego? — Gaynor starał się szermować nie tylko mieczem, ale i słowami, mając nadzieję pozbawić w ten sposób albinosa ducha walki i koniecznej do przetrwania koncentracji.

— Więcej zabiłem dotąd zwykłych łajdaków niż ludzi porządnych — stwierdził pewnie Elryk, chociaż Gaynor zdawał się mieć na wszystko gotową odpowiedź. — Żałuję jedynie, że ciebie nie mogę posiekać na plasterki, niewydarzony sługo Równowagi.

— Mogę zapewnić cię, panie, że to ostatnie byłoby po równi przyjemnością dla nas obu — powiedział Gaynor i znów zaatakował, aż Elryk poczuł, jak znów opuszczają go siły. Czarnożółty miecz zaczął pulsować brudnym światłem.

Wciąż zdumiony mocą oręża Gaynora Elryk cofnął się i omal nie spadł z siodła, a runiczny miecz wypadł mu z dłoni i zwiśł na rzemieniu. Łapiąc ciężko powietrze, albinos zrozumiał, że całe ich zwycięstwo obraca się wniwecz... Krzyknął chrapliwie na Tayaratukę, by uciekała, za wszelką cenę unikając kontaktu z ostrzem pijawką, która była teraz dwakroć silniejsza niż na początku...

Ale księżniczka go nie słyszała. Wdzięcznie, niemal nieważko, z rozwianymi czarnymi włosami, spadła na Gaynora przekłętego ze złotym mieczem pośpiwującym w uchwycie prawej dłoni i fiołkowymi oczami wypatrującymi już zagłady rycerza...

...który jednak zablokował jej cios i roześmiał się, a Tayaratuka poczuła ze zdumieniem, jak siły opuszczają i miecz, i ją samą...

...aż w końcu Gaynor bez wysiłku stracił ją z siodła samym uderzeniem rękojeści. Padła bez życia pomiędzy krwawe szczątki, a Księżę Przekłęty pogalopował na jej koniu ku centrum bitwy.

Księżniczka Tayaratuka spojrzała na albinosa, gdy ten pomagał jej stanąć na nogi.

— Czy nie znasz żadnych czarów, które mogłyby nam pomóc, Elryku?

Elryk gorączkowo przetrząsał pamięć, sięgając nawet do opowieści dzieciństwa, ale nie miał siły, by zaintonować jakąkolwiek pieśń...

— Elryku — szepnęła Tayaratuka. — Zobacz... Gaynor powalił już Shanug'ę, koń jej poniósł... teraz Mishiguya spadła z siodła... Jesteśmy zgubieni! Pomimo wszystko przegraliśmy!

Księżciu zaczęło jednak świtać z wolna coś na temat stworzeń nie z tego świata, które jego lud przywoływał w potrzebie za czasów założenia Melniboné, ale spośród wszystkiego, jasno przypomniał sobie tylko jedno imię...

— Płatawica — mruknął suchymi, popękаныmi ustami. Czuł się, jakby całe ciało miał odwodnione i tak słabe, jakby przy najmniejszym poruszeniu miało rozlecieć się na tysiące kawałków. — Róża powinna wiedzieć więcej...

— Dalej — powiedziała Tayaratuka, łapiąc wierzchowca Elryka za uzdę. — Musimy im to powiedzieć. . .

Ale Elryk nie miał nic więcej do powiedzenia, było to ledwie wspomnienie wspomnienia o pewnym naturalnie zrodzonym duchu, który nie czuł się poddanym ni Ładu, ni Chaosu, ale który reagował na pewne zakłęcie, którego nauczył się niegdyś w dzieciństwie tytułem prostego ćwiczenia. . .

Plątwica?

Ale nie mógł sobie przypomnieć, kim właściwie była ta istota.

Gaynor zniknął pomiędzy tłumem swych wojowników. Uzbrojony w miecz czterokrotnie potężniejszy niż przeciwnicy, pognał na poszukiwanie Charion i Róży. Pragnął wypróbować ostrze na ciele zwykłych śmiertelniczek. . .

Wciąż pograżony w modlitwie Wheldrake widział to wszystko z balkonu. Księżniczka Tayaratuka schowała złoty miecz i poprowadziła konia Elryka ku miejscu, gdzie zebrały się jej równie wyczerpane siostry. Ich konie pognały w ślad za Gaynorem.

Ten jednak nie zdołał jeszcze dostać Róży, zaś Charion wymknęła mu się równie sprawnie, jak nieletni urwis umykający przed straganiarzem na targu i dołączyła szybko do pozostałych, z miejsca zwracając się z czymś do opadłego z sił, powalonego albinosa. . .

. . . wtedy właśnie zza sterty trupów wyjechała Róża, widząc swych przyjaciół w mizerii. . .

I ona uknęła przy leżącym, biorąc go za rękę. . .

— Jest pewne zakłęcie, które próbuję sobie przypomnieć — powiedział Elryk. — Ma jakiś związek albo z tobą, Rózo, albo z kimś z twego ludu. . .

— Ale wszyscy moi nie żyją. Tylko ja zostałam. A i to chyba już nie na długo.

— Nie! — Elryk pozbierał się na nogi i przytrzymał łęku siodła, nie wiedzieć czemu nagle przekonany, że to jeszcze nie koniec walki. — Musisz mi pomóc, pani. Rzecz dotyczy jakiejś kobiety czy raczej. . . Plątwicy. . .

Imię to nie było jej obce.

— Ale tyle tylko znam, że. . . — i zmarszczywszy czoło, wyrecytowała:

*W pierwszych dniach, kiedy to powstawał świat,  
Dawno temu, gdy nie płynął jeszcze czas,  
Gdy nie rządził ni Chaos, ni Ład,  
Żyła wtedy istota z ciała i listowia,  
I bardzo chciała świat utkać na nowo.  
Więc na początek utkała łono matecznika,  
Całe było z kwiatów i jeżynowych witek,*

*Dziecię cierniste jej kołysała  
Aż wyrosło na róży doskonały kwiat.*

— Wheldrake twierdzi, że napisał to w swych młodych latach.

Jakimś niezrozumiałym sposobem zdołała jednak tym cytatem poruszyć coś w pamięci bladolicego księcia, bowiem Elryk poruszył nagle ustami, a jego oczy spojrzwały w jakiś niewidoczny dla pozostałych świat. Z jego ust dobyły się melodyjne dźwięki, ale nawet trzy siostry nie rozumiały, co takiego mówił, nie był to bowiem żaden ludzki język. Był w tej mowie odór bagien i wijących się korzeni, woń jeżynowych mateczników, w których, jak głosiła legenda, prymitywni i dzicy przodkowie ludu Vadhagh hodowali niegdyś osobliwe stwory, ni to z ciała, ni to roślinne. Byli to mieszkańcy puszczy i zapomnianych ogrodów, którzy... Albinos zawahał się, a wówczas Róża wspomogła go w pieśni, bowiem i w jej żyłach płynęła po części krew tych samych przodków.

Śpiewali razem, przez wymiary sięgając miejsca, w którym rozmarzona senie istota drgnęła wreszcie i poruszyła milionem jeżynowych kończyn, obróciła swe różyczkowe oblicza. Nie słyszała tej melodii już od setek tysięcy lat i chociaż od dawna już życie jej pozbawione było sensu i coraz chętniej wypatrywała śmierci, zaciekawiona nagle zmobilizowała swe jeżynowe ciało i poruszyła kolejno wszystkimi rękami, nogami i głowami, by w szeleście listowia przybrać postać przypominającą nieco sylwetkę człowieka, sporo jednak większą.

Potem uczyniła krok przez czas i przestrzeń, pojęcia jej nieznanne, bowiem nie było jeszcze ani czasu, ani przestrzeni w chwili, gdy zdecydowała się ułożyć do snu, i stanęła na pełnym ohydnych woni, zasłanym trupami pobojuwisku. Wyczuła jednak w tym chaosie jeszcze jeden zapach, dziwnie znajomy, pochyliła zatem krzaczastą głowę z kwiatami i liśćmi zamiast oczu, otworzyła wrzoścowe usta i głosem tak niskim, że aż grunt się zatrząsł, spytała, za jaką to przyczyną córka ją wezwała?

Róża odparła jej w tym samym języku, Elryk zaś wyśpiewał jej swoją opowieść. Po chwili patrzącym wydało się, że gałęzie wokół Róży jakby zgęstniały i że liściasta istota spogląda z dziwną niechęcią w kierunku Gaynora i wrosłych nagle w ziemię resztek armii Chaosu, która dostała już rozkaz do ponownego ataku!

Siostry połączyły swe dłonie z Charion i Elrykiem, dodając im mocy w stopniu wystarczającym, by przekazać prymitywnej duszy Płatawicy sedno sprawy. Polecili jej sięgnąć gałęziami ku Gaynorowi, który ledwo opanował konia i przemknął pod istotą, chlastając po drodze jej roślinne ręce. Ale Płatawica nie była ani człowiekiem, ani w pełni rośliną i nie poddawała się mocy pijawki ni żadnej broni używanej przez istoty śmiertelne, bowiem szramy na korze, nie dość że drobne, to jeszcze goiły się błyskawicznie.

Działając ze spokojnym rozmysłem, zupełnie jak ktoś, komu przyszło usuwać

skutki wizyty nazbyt rozhulanych gości, Płatawica wyciągnęła palce ku szeregom Chaosu. Nie zwracając najmniejszej uwagi na siekące miecze czy kolące piki jak i na pazury i kły wszelkich bestii i ścisnęła całe zgromadzenie w ramionach.

Jedna tylko postać jej umknęła, pędem oddalających się od krwawego lasu i poganiając konia po zadzie pijawkowym mieczem.

Istota sięgnęła go, ale nie miała już dość siły, by zatrzymać Gaynora, i zdołała wyrwać mu jedynie miecz z osłabłej dłoni i zanieść do triumfalnie w głąb puszczy, gdzie formować zaczynał się już z wolna czarny staw, okoliczne kryształki zamieniający w węgiel.

Potem pijawkowy miecz zniknął i dał się słyszeć wściekły krzyk Gaynora, który wciąż poganiał konia ku wylotowi dolinki, aż nie oglądając się, zniknął wszystkim z oczu.

Kobieta też przestała się nim interesować. Powoli wycofała jeżynowe kończy-ny, zostawiając poznaczone cierniami martwe ciała. Była to z pewnością śmierć bardziej czysta, niż ta zadawana przez Zwiastuna Burzy.

W chwili jednak, gdy wszyscy odwrócili spojrzenie, Elryk wdrapał się na siodło i pojechał dobijać rannych, by nasycić swój miecz choć odrobiną energii. Postanowił znaleźć i ukarać Gaynora za wszelkie dokonane tu zło. Nieczuły na jęki wciąż jeszcze żywych wrogów, dokańczał dzieła, choć nie przynosiło mu ono chluby ni satysfakcji. Było jednak po prostu konieczne.

— Muszę odebrać wam to, czego wasz pan nas pozbawił — wyjaśniał swym ofiarom.

Gdy wrócił do towarzyszy, Płatawica już zniknęła, zapewne wybrałszy sobie coś w nagrodę za pomoc. Na polu bitwy nie pozostał nikt żywy.

— Armia Chaosu została pokonana — powiedziała księżniczka Shanug'a. — Ale Chaos wciąż jeszcze tu rządzi, Gaynor wciąż ma władzę. Będziemy musieli się nim zająć.

— Nie możemy pozwolić, by wrócił tu kiedykolwiek — dodała Róża, ocierając Szybki Cierń połą kaftana. — Musimy odesłać go z powrotem do piekła, by nigdy już wam nie zagroził!

— Owszem — mruknął pogrążony w rozmyślaniach Elryk. — Trzeba dobić bestię w jej własnym gnieździe. Musimy mieć pewność, że go pokonaliśmy, nawet jeśli nie możemy go uśmiercić. Pokażesz nam drogę, Charion?

— Zaraz sprawdzę — powiedziała. Otrzymała kilka pomniejszych ran, które towarzysze pomogli już jej opatrzyć. Dziewczyna była wesoła i ożywiona jak rzadko, tak silna była radość z niespodziewanego ocalenia. — Wrócił. Bez wątpienia wrócił na *Okręt Bywszy*.

— To jego schronienie... — mruknęła Róża.

— Jego moc musi tam być o wiele większa — powiedziała Mishiguya, wskazując na siodło.

— To się zgadza — przytaknęła Charion, ściągając brwi. — Dysponuje tam mocami potężniejszymi niż cokolwiek, co zademonstrował nam przed paroma chwilami na polu walki. Nie rozumiem jednak, czemu nie użył tego wszystkiego przeciwko nam. . .

— Może czeka na nas — zasugerował Elryk. — Wie, że przybędziemy. . .

— I tak musimy odzyskać skarby Róży — powiedziała księżniczka Tayaratuka. — Nie możemy pozwolić, by je sobie zatrzymał.

— W rzeczy samej — zgodził się Elryk czując, że wstępuje weń nowy, niecierpliwy duch. Pamiętał dobrze, iż wśród łupów Gaynora znalazła się również dusza Sadryka, o którą Arioeh lub też jakiś inny demon piekielny prędzej czy później bez wątpienia się upomni i nawet uciezka ojca do syna nic tutaj nie zmieni.

Książę zdjął czarne rękawice i przytknął dłonie do zgrzanych boków konia, ale i tak żadne ziemskie ciepło nie było w stanie uciszyć miotających albinosem dreszczy.

— A co z resztą? — spytała Charion. — Co z moim wujkiem, babcią, kuzynem no i z moim ukochanym? Chyba trzeba by ich uspokoić.

Wrócili wolno do jaskiniowego miasta i zostawiwszy konie na dole, wspięli się ukrytymi w ścianach schodami na balkon, gdzie oczekiwał ich samotny Wheldrake.

Poruszony, ze łzami w oczach objął Charion, ale wszystkie te gesty wyrażać zdawały się nie tyle radość, ile wzburzenie.

— Odeszli — powiedział. — Gdy tylko ujrzeli, że przegrywacie, a przynajmniej gdy tak im się wydało. Fallogard stwierdził, że winien jest należyłą opiekę synowi i matce, którzy wcale nie chcieli odchodzić, ale namówił ich. Tyle to on potrafi. Zabrałby i mnie, ale mnie nie tak łatwo jest przekonać, a czasu miał niewiele.

— Odeszli? — spytała Charion, odsuwając się odeń na długość ramienia. — Odeszli?

— Starsza pani otworzyła coś, co nazwała „fałdą” i wszyscy wpakowali się do środka, a właściwie pod spód i zniknęli. Dokładnie w tej samej chwili, gdy na dole zmaterializował się ten ogromny żywopłot. Ale było już za późno. Uciekli!

— Przed czym? — krzyknęła wściekła Charion. — No i gdzie? Do licha, czy my wiecznie musimy się szukać?

— Na to wygląda, ukochana — odparł pojednawczo Wheldrake. — Szczególnie, jeśli zgodnie z naszymi planami, zamierzamy uzyskać błogosławieństwo twego wuja.

— Musimy ruszyć za nimi — powiedziała z przekonaniem.

— Jeszcze nie teraz — zaprotestowała spokojnie Róza. — Najpierw trzeba nam znaleźć *Okręt Bywszy*. Muszę wydobyć to i owo od Gaynora. Chciałabym też przepytąć nieco tych, których najpewniej trzyma u swego boku.

## Rozdział 5

**Dotyczący zdobycia i licytacji pewnych okultystycznych artefaktów jak i zmian na szczytach władzy. Ponadto, Róża dopełnia dzieła zemsty, a pewien kosmiczny kompromis traci na wadze.**

Mała karawana zatrzymała się nierównym szeregiem na skraju urwiska. Wszystkie wierzchowce, niektóre niosące po dwóch pasażerów, były kompletnie wyczerpane, ostatecznie jednak udało się dotrzeć do Ciężkiego Morza oddychającego powolnym rytmem wyczołgujących się na plażę fal. Ponad głowami podróżnych przesuwwały się nisko zawieszona chmury, a pod nimi rozciągała zatoka o wąskim ujściu i wysokich, obsydianowych ścianach, u stóp których ciągnął się pas plaży usłanej kawałkami kwarcu, wapienia i półszlachetnych kamieni i zwykłymi głazami.

Pośrodku zatoki kotwiczył statek, który Elryk rozpoznał od razu. Żagiel był zwinięty, ale wielka zakryta klatka na forkasztlu dawała mu nadal przegłębienie na dziób. Statek z załogą dołączyli do swego pana. Za odległą ostrogą skalną, która skrywała przed ich spojrzeniem resztę zatoki, zdawała się trwać jakaś aktywność, mignęło tam nawet kilka postaci. W tej sytuacji wędrowcom pozostało powściągnąć konie, by jak najostrożniej szukały drogi na wąskiej i śliskiej ścieżce prowadzącej ze szczytu urwiska na plażę. W końcu kopyta zachrzęściły na drobnych kamykach i okazało się, że obok ostrogi można spokojnie przejechać lądem i że plaża ciągnie się także i za nią.

Księżniczka Tayaratuka wypuściła się naprzód, za nią podążyły na jednym koniu obie jej siostry. Następnie Róża, Elryk i Charion w towarzystwie trzymającego ją mocno drobnymi rękami w pasie Wheldrake'a. Nader zróżnicowana kompania, mająca jednak duchowo wiele wspólnego...

Objechali skalną ostrogę i ujrzeni *Okręt Bywszy*.

Ich oczom ukazał się twór tak groteskowy, że nie było chyba nigdzie we wszystkich światach dziwniejszego odeń miejsca zamieszkania.

Niegdyś rzeczywiście musiał to być okręt, którego liczne pokłady wznosiły się coraz wyżej w formie wielkiego, żeglującego zikkuratu zapełnionego przez masywne, nieludzkie stworzenia. Jednostka zaiste godna samego Chaosu. Jego linie

miały w sobie coś organicznego, kojarzyły się z odwodnionymi tkankami jakiegoś zamęzonego na śmierć stworzenia. Tu i ówdzie dostrzec można było sugestywne zarysy potwornych twarzy, kończyn, torsów czy też ptaków, gigantycznych ryb i stworzeń będących krzyżówkami jednych i drugich. Elryk skłonny był go uznać za wytwór samego Ciężkiego Morza, które unosiło się tutaj i opadało jak lśniący płynny, zielony kwarc, pieniście załamując fale na ponurej plaży, gdzie mężczyźni, kobiety i dzieci lustrowali rozmaite szczątki pozostawione tu przez setki przyptyków i poszukiwali w nich czegokolwiek cennego, co mogliby zanieść ze sobą do mrowiska statku. Ubrani byli we wszelkie możliwe szmaty i rzadko które miało w miarę dobrany strój. Widać było i sobole jakiegoś zamordowanego króla, portki i kaftany bezimiennych marynarzy, koszule i bieliznę zdartą chyba z topielców, kapelusze, klejnoty i koronki, niegdyś przedmioty dumy tych, którzy dawno już posłużyli rybom za karmę. Sam statek leżał na plaży, prawą burtą zagrzebany w osadach, z lewą uniesioną na tyle wysoko, że chyba tylko maszt zapobiegł kiedyś przewróceniu się jednostki do góry stępką.

Martwy okręt roił się od ludzkich mieszkańców zasiedlających go na podobieństwo robactwa pożerającego padłego morskiego giganta. Kalali go samą swą obecnością, tak jak żerujące na zmarłym pośrodku pustyni ścierwojady bezczeszcza jego szczątki odchodami i piórami. Wewnątrz kadłuba tętniło nieustające życie, pozbawione jednak wszelkiej godności, szacunku czy zróżnicowania. Jedna, szara masa, której posykiwania, piski, kłótnie, walki, zawodzenia i przepychanki niosły się daleko ponad wodą niczym szum samego morza. Byli to ludzie opanowani przez Chaos, ale jeszcze przezeń nie przekształceni, istoty, których bez wątpienia nikt nie pytał, jakiego chcą mieć pana, zagarnięte przez Gaynora, gdy ten w imię hrabiego Mashabaka ruszał na podbój nowych ziem. Ze wszystkich normalnych uczuć został tym wrakom ludzkim już tylko wstyd powodujący, że nikt nie spojrział na Elryka, gdy wraz z towarzyszami podjeżdżał pod ponury maszyw *Okrętu Bywszego*.

Nie chcieli też odpowiadać na pytania albinosa, nie słuchali, gdy siostry próbowały się z nimi porozumieć. Opanowani strachem i wstydem, porzucili już wszelką nadzieję, nawet tę na poprawę losu po śmierci. Skoro niezmiennie cierpią takie katusze, myśleli, to musi być znak, że całe multiwersum zostało już opanowane przez ich dręczycieli.

— Przybyliśmy tutaj — powiedział w końcu Elryk — aby uwięzić księcia Gaynora Przekłętego i rozliczyć go z jego zbrodni!

Ale to ich nie poruszyło. Przywykli już do podstępów Gaynora, do jego sztuczek, kiedy to z nudów igrał ich życiem i emocjami. Dla nich wszelkie słowa były z definicji kłamstwem.

Cała siódemka podjechała do prymitywnego mostu zwodzonego wbudowanego w kadłub przewróconego statku i bez wahania ruszyła do środka, gdzie przywitał ich koszmarny widok mrocznych korytarzy i postrzępionych, nieregularnych

dziur wybitych w ściankach i grodziach. Wszędzie plątały się fragmenty sieci i sznury, na których suszyły się ubrania, szmaty i niedoprane kawałki materii. Gdziegdzie widać było prymitywne szałas, wzniesione czasem tuż nad skrajem niekompletnego pokładu. Coś bardzo dużego musiało niegdyś zderzyć się z tym statkiem, kończąc jego karierę morską i przy okazji rujnując wnętrze.

Przez bulaje i wywietrzniki sączyło się z pokładu na pokład mgliste, niemiłe światło, kręte korytarze pełne były niewyraźnych cieni, czasem będących jedynie cieniami, a czasem sylwetkami snujących się jak duchy i jęczących przy tym, kaszlących i jazgoczących mieszkańców niezdolnych myśleć o życiu inaczej, jak tylko z lękiem i przygnębieniem. Na wszystkich pokładach leżała gruba warstwa ludzkich nieczystości pomieszana ze śmieciami na tyle podłymi, że nawet tutaj nie stanowiły żadnej wartości. Wheldrake przycisnął dłoń do ust i zeskoczył z wierzchołka Charion.

— Ufff, to gorsze niż slumsy Stepney. Róbcie swoje. Ze mnie nie będziecie tu mieli żadnego pożytku. — I ku niejakiemu zdumieniu Charion wrócił na względnie czystą i spokojną plażę.

— To prawda — mruknęła Róża. — Niewiele mógłby nam tutaj pomóc. Ale jego poetyckie inspiracje są niezrównane, jeśli chodzi o wydobycie tego nastroju emocjonalnej jedności z multiwersum. . .

— To jego największa zaleta — zgodziła się Charion z typowym dla osoby zakochanej entuzjazmem i zadowolona, że ktoś jeszcze zauważa przymioty jej wybranka, uwalniając w ten sposób ją samą od podejrzeń, czy cały ten romans nie jest wynikiem jej obłądu.

Elryk stracił w końcu cierpliwość do całej tej ogłupiałej konspiracji i wjechawszy wyżej, wyciągnął runiczny miecz z pochwy. Czarne światło Zwiastuna Burzy zalało zrujnowane wnętrze kadłuba, a mrukliwa pieśń wypełniła wszystkie zakamarki ponurymi groźbami wobec tego, kto nie tak dawno usiłował pozbawić miecz całej energii.

Rumak zarżał, stając na tylnych łapach, a szkarłatne oczy albinosa wpatrzyły się w zalegający wszędzie mrok. Wykrzyknął imię tego, kto stworzył to ludzkie uroczysko, czyniąc je siedliskiem mizerii, kto nadużywał wszelkiej władzy, odpowiedzialności czy zaufania.

— Gaynor! Gaynorze Przeklęty! Ty nikczemny pomioście piekielny! Przyszliśmy rozprawić się z tobą!

Gdzieś z wysoka, gdzie mrok był najgłębszy a konstrukcja statku wciąż najmocniejsza, dobiegł chichot mogący zwiastować przybycie jednej tylko postaci.

— Co za retoryka, kochany książę! I to słownictwo!

Elryk ruszył na górę, torując sobie drogę na mgliście oświetlonych korytarzach i trapach, które niegdyś musiały służyć naprawdę roslým marynarzom, ale teraz przypominały zapomniane wysypisko śmieci. Odtrącał na bok parujące kociołki i mizerne ogniska nie przejmując się stratami czy groźbą pożaru. Z jakich-



kolwiek materiałów zbudowano ten kadłub, rozniecony przez człowieka ogień nie był w stanie go spalić. Róża jechała tuż za nim, Charion zamykała pochód.

Z wszelkich mrocznych i śmierdzących dziur skurczone i pozbawione nadziei postaci śledziły przejazd tych, którzy poszukiwali ich pana, gotowi uwolnić wszelkie stworzenie od jego tyranii. Róża pierwsza zdecydowała się zaintonować w tym ponurym wnętrzu czystą i melodyjną pieśń opowiadającą bez słów o straconej miłości, takiejż ojczyźnie i pragnieniu zemsty kończącej ową perwersyjną niesprawiedliwość czynioną w imię multiwersum. To Róża pierwsza wciągnęła swój Szybki Cierń i uniosła go jak sztandar. Siostry poszły za jej przykładem, dobywając trzy różne miecze i przyłączając się chórem obiecującym, że niedługo będzie już cieszył się swym dziełem sprawca tych wszystkich nieszczęść. Tylko Charion milczała. Nie była najlepszym jeźdźcem i została nieco z tyłu za gromadką, oglądając się raz po raz za siebie z nadzieją, że Wheldrake może jednak do niej dołączyć.

Dotarli wreszcie do masywnych drzwi wyrzeźbionych w niemożliwe do odcyfrowania znaki. Niegdyś, skryte w głębi kadłuba, musiały one chronić kajutę bestii będącej kapitanem statku, obecnie jednak, skutkiem zniszczeń, znalazły się blisko dachu. Słychać było tu nawet szum załamujących się fal.

— Może powinienem nawet nagrodzić taką lekkomyślność — odezwał się znów Gaynor rozbawionym tonem. — Miałem zamiar zaprosić was tutaj, uroczę księżniczki, by pokazać moje niewielkie królestwo, ale odmówiłyście! A teraz, proszę, ciekawość sprowadziła was tu i tak.

— Nie ciekawość nami powoduje — odparła księżniczka Shanug'a zsiadając z konia i wraz z siostrami wpierając ramię w ustępujące z wolna pod naciskiem masywne drzwi. W końcu otworzyły się na tyle, by można było je pokonać pieszo. — Zamierzamy położyć kres twym rządóm w tym wymiarze!

— Dumne to słowa, pani. Gdyby nie ta prymitywna, plemienna magia, po którą sięgnęliście, wszystkich was miałbym w tej chwili pod kluczem. Zresztą, co się odwlecze. . .

Wewnątrz powietrze było gorące i smrodliwie zastałe. Płonące tu pochodnie dawały niewiele więcej światła niż posykujące na niegdysiejszym suficie, obecnie zawieszonych szmatami ścianie, migotliwe i ociekające długimi, woskowymi kroplami świece. Wszędzie było pełno grubych pajęczyn, najpewniej tworzących jakichś zmutowanych stawonogów, w mrocznych kątach kłębiły się i popiskiwały szczury. Elrykowi wydało się jednak, że wszystko to jest złudzeniem, zasłoną skrywającą prawdziwą zmienność Chaosu. I rzeczywiście, po chwili otoczenie uległo zmianie, stało się kolorowe, a na tle wielkiej, metamorficznej kuli zarysowała się czarna sylwetka Gaynora Przekłętego. Stał przed czymś, co przypominało ołtarz, na którym złożono kilka niewielkich przedmiotów. . .

— Och, jesteście mi nader miłymi gośćmi — powiedział wyraźnie nie dowierzając swemu szczęściu i pewien, że oto przyjdzie mu przyjąć bezwarunkową

kapitulację niedawnych adwersarzy. — Możecie darować sobie te wszystkie obelgi i wyzwania. Pewien jestem, że dojdziemy do porozumienia! — Jego hełm pulsował szkarłatnym ogniem naznaczonym czarnymi żyłkami. — Dajmy sobie wreszcie spokój z wulgarną przemocą i porozmawiajmy jak cywilizowani ludzie.

— Gdzieś już to słyszałam, Gaynorze — powiedziała Róża. — Czy nie było to wtedy, gdy usiłowałeś skłonić me siostry, by złęknione o swe życie zapomniały o honorze? Ze mną nie pójdzie ci wcale łatwiej niż z nimi!

— Dawne to wspomnienia, moja pani. Już o tym zapomniałem i to samo doradzam. To dzień wczorajszy, a ja obiecuję ci świetlane jutro!

— A cóż takiego ty mógłbyś nam obiecać? — spytała Charion. — Wprawdzie zawilosci twego umysłu są dla mnie zagadką, ale pewna jestem, że kłamiesz. Nie panujesz już nad tym wymiarem, siła, która cię wspierała, zostawiła cię samego. Ale bardzo chciałbyś znów uzyskać jej pomoc...

W tejże chwili lśniąca kula za plecami Gaynora rozjarzyła się mocniej i na chwilę zarysowały się w niej trzy płomienne ślepia, rozwarte paszcze i ostre szpony. Elryk zrozumiał z przerażeniem, że Mashabak wcale się nie uwolnił, za to Gaynor zdołał jakoś zapanować nad ektoplazmą boskiego więzienia czyniąc z Władcy Chaosu swego podwładnego i kombinując, jak by tu samemu zająć jego miejsce!

Esbern Snare wygnał ostatnim swym wysiłkiem Ariocha, ale Gaynor okazał się o wiele bardziej zuchwały, niż ktokolwiek przypuszczał. Postanowił najwyraźniej nie uwalniać swego pana, ale samemu zająć miejsce Ariocha! Niemniej, chociaż przetrzymywał hrabiego Chaosu, nie potrafił jeszcze okiełzać jego potęgi i wykorzystać jej do swoich celów. Czy to dlatego próbował za pomocą pijawkowego miecza wykraść energię aż czterech magicznych mieczy?

— Owszem — powiedział Gaynor, odczytując z oczu przeciwnika nie zadane głośno pytania. — Zamierzałem nabrać siły innymi metodami, ale jak chyba już sami zrozumieliście, ostatecznie jestem praktycznym nieśmiertelnym i jeśli muszę się jednak z wami układać, to chętnie podejmę wszelkie pertraktacje!

— Nie masz niczego do zaoferowania — odparł chłodno Elryk.

Ale niegdysiejszy Książę Uniwersaliów uśmiechając się kpiąco wziął już w ręce jeden ze spoczywających na ołtarzu obiektów.

— Naprawdę nie chciałbyś tego, książę? Czy to nie tego szukasz niecierpliwie od tak dawna po całym tym świecie?

Elryk poznał rzeźbione w czarne różyczki puzdro z drewna różanego. Nawet tutaj doszła go lekka, kwietna woń. Schronienie duszy jego ojca.

Gaynor kusił dalej, przemawiając coraz głośniej.

— Zostało ukradzione przez jednego z twoich czarnoksięskich przodków, potem trafiło do twojej matki, następnie do ojca, który ledwie zrozumiał, czym jest to pudło, zaraz powziął swój oszukańczy plan, na koniec jego sługa zgubił ten skarb! Potem zostało sprzedane za jakieś nędzne cztery grosze na aukcji pirackiej

w Menii. Powiedziałbym, że kryje się w tym niejaka ironia. . .

— Nie zyskasz od nas nic w zamian za to puzdro! — krzyknęła nagle Róża.

Elryk zdumiał się jej agresywnością, która zdawała się narastać od chwili przekroczenia rzeźbionych drzwi. Czyżby Róża gotowała się do właściwej chwili, przemyślawszy uprzednio każde słowo i gest?

— Ależ nie mam innego wyjścia, pani! — Gaynor otworzył szkatułkę i samymi koniuszkami palców wyciągnął stamtąd wielką, intensywnie karmazynową różę. Wyglądała, jakby zerwano ją dopiero chwilę temu i była zaiste ideałem róży. — To ostatni żywy kwiat z twej ojczyzny, pani. Prócz ciebie samej, rzecz jasna. Jedyne taki świadek owego radosnego zwycięstwa. Podobnie jak ty, zdołała przetrwać wszystko, co Chaos mógł jej zgotować. Aż do tej chwili. . .

— Nie jest twoja — powiedziała księżniczka Tayaratuka. — To Róża dała nam ją, gdy po raz pierwszy usłyszała o naszym ślubowaniu. Miała prawo dysponować swoją własnością, a naszym obowiązkiem jest zwrócić jej rzecz pożyczoną. To Wieczna Róża.

— Cóż, pani, obecnie jest w moim posiadaniu i mogę wymienić ją, na co zechcę — powiedział Gaynor z arogancką niecierpliwością w głosie, zupełnie jak dziecko, które nie zrozumiało przeznaczonych dlań wyjaśnień.

— Nie masz żadnego prawa do tych skarbów — stwierdziła księżniczka Mishiguya. — Oddaj mi wrzoscowe pierścienie, których piastowanie było moim zadaniem.

— Nie są twoją własnością — warknął Gaynor. — Dobrze o tym wiesz, pani. Zostały wam tylko powierzone, byście mogły ruszyć pomiędzy wymiary na poszukiwanie Elryka.

— Wobec tego oddaj to w moje ręce. — Róża wystąpiła przed pozostałych. — Bo należą do mnie i mogłam wedle życzenia pożyczać je lub rozdawać. To ostatki skarbów mej zapomnianej ojczyzny. Wzięłam je ze sobą, mając nadzieję na odzyskanie spokoju myśli, ale i Chaos przybył w końcu i tutaj, a moi gościnni gospodarze znaleźli się w potrzebie tak wielkiej, że nie mogłam odmówić im pomocy. Teraz jednak już trzy siostry mają upragnione miecze i nie muszą na nic wymieniać się z Elrykiem. W tym też tkwi niejaka ironia, książę. Przybyliśmy, by odzyskać te skarby. Oddaj nam je, Gaynorze, bo w przeciwnym razie będziemy musieli odebrać ci je siłą.

— Siłą, pani? — Gaynor roześmiał się głośno i chrapliwie. — A skąd ją weźmiecie, by zmusić mnie do czegokolwiek? Jak pokonacie Mashabaka? Niezbyt go jeszcze kontroluję, ale zawsze mogę go wypuścić. Mogę uwolnić go, choćby tutaj, i dać mu takiego kopniaka, że migiem załatwi nas wszystkich. Nie powiem, sprawiłoby mi to nawet pewną radość, podobnie jak chętnie zapanowałbym nad jego mocą. Zresztą, jeśli nawet, to nie z mojej winy dojdzie do tego. Jeśli już, to za sprawą tej oto gałązki tarniny. Wystarczy ją poruszyć. — Odsłonił cienką, czarną witkę oprawną w mosiądz i trzymaną przezeń w dłoni. — Ledwo tknięcie

kuli i... pyk! Powtarzam, pani, nijak nie możecie zmusić mnie do czegokolwiek. Jak długo wszyscy zostaną na swoich miejscach, tak długo i różdżka nie tknie kuli i wszyscy będziemy równie bezpieczni jak sam Ariocho, gdy zamykał Mashabaka w tej klatce...

Z kuli dobiegło nagle wycie i warczenie. To Mashabak dostał ataku furii na dźwięk imienia swego prześladowcy, który ograbił boga z honoru i jeszcze oddał na zabawkę pomniejszemu demonowi. Tak intensywna była bijąca ze środka sfery energia, że Elryk i jego towarzysze cofnęli się o krok jakby sam widok rozgniewanego Władcy Piekieł mógł zabijać.

— A ty, księżę Elryku — krzyknął ile sił w płucach Gaynor, chcąc być słyszalnym mimo jazgotu. — Ty też masz się o co targować. O co? A nie chciałbyś tego? Oto skóra, która została po twym porywczym przyjacielu. — Zademonstrował szare wilcze futro, niegdyś własność przybysza z Północy.

Dla Elryka nie było to żadne trofeum, ale istotny znak wskazujący, że Esbern Snare odszedł jako istota śmiertelna i wolna.

— Podzielam zdanie przyjaciół — odparł Elryk. — Nie zamierzam targować się z kimś takim, jak ty, Gaynorze Przeklęty. Nijak nie jesteś już godzien mojej uwagi.

— Nadal jednak mogę zdumiewać stopniem zepsucia i rozpustnością. Urozmaiconą i nader kreatywną... Nie powiedziałem wam jednak jeszcze, czego ze chcę w zamian. Otóż, pragnę waszych mieczy.

— To osobisty oręż — stwierdziła Mishiguya. — Miecze są nasze prawem dziedzictwa i prawem krwi i po to się pojawiły, by cię pokonać i wygnać stąd na zawsze. Nigdy ich nie dostaniesz, Gaynorze Przeklęty!

— Ależ przecież oferuję wam w zamian skarby, które pożyczyłyście i zgubiłyście. Powiem krótko, pani. Chcę waszych czterech mieczy. W zamian otrzymacie sześć przedmiotów, same Insygnia Władzy. Sześć za cztery! Czy to nie okazja? Więcej nawet, czy to nie głupota z mojej strony?

— Nie tyle głupota, co szaleństwo, Gaynorze — powiedziała Shanug'a. — Musiałeś chyba postradać rozum. Miecze są nasze i naszymi pozostaną. To nasze dziedzictwo i powinność nosić je u boku.

— Ale czy nie jest także waszą powinnością oddać, co pożyczyłyście? Pomyślcie o tym przez chwilę, a ja wypełnię tymczasem obowiązki gospodarza wobec Elryka i zaoferuję mu duszę jego ojca! — krzyknął Gaynor kładąc okutą w stal dłoń na różanym puzderku.

Elryka zatkało z wściekłości na Ariocho, który musiał wypłacić sekret. Zatem Gaynor znał prawdziwą wartość puzdra i wiedział, co jego zawartość znaczy dla syna Sadryka!

— Czy wolisz połączyć się z rodzicielem, czy może chciałbyś pozostać wolny? — spytał Gaynor smakując z osobna każdą sylabę i dobrze wiedząc, jak trudny wybór staje przed albinosem.

Elryk rzucił się w milczeniu do ołtarza, ale Gaynor szybko przysunął gałązkę do kuli, niemal dotykając ektoplazmy. Wewnątrz więzienia aż się zagotowało, tak chciwie Mashabak wypatrywał uwolnienia, które pozwoliłoby mu zamienić cały ten świat w jeden wielki, pulsujący kłęb bólu.

— Dusza twego ojca w zamian za twój miecz. Chyba raczej wolałbyś ją dostać, co? Głowa do góry, Elryku, nie trzeba się tym tak smucić. Dobijmy targu. Pozbędziesz się trosk i oddalisz ponurą perspektywę, książę. . .

Elryk faktycznie poczuł pokusę uwolnienia się raz na zawsze od piekielnego ostrza, uwolnienia się od tej wcale nie upragnionej symbiozy, która przerodziła się w uzależnienie, jak i od wiszącej wciąż nad nim groźby pojawienia się ducha ojca. Niechby odszedł w spokoju i połączył się z jego matką w Puszczy Dusz, gdzie ani Ład, ani Chaos ani nawet Równowaga nie mają nic do powiedzenia.

— Dusza twego ojca w zamian za wolność, Elryku. Koniec cierpienia. Ostatecznie niepotrzebny ci miecz do życia. Codzienne sprawy świetnie załatwiasz i bez niego. Daj mi miecz, Elryku, a ja dam ci wszystkie te skarby. . .

— Chcesz miecza, by zapanować nad tym demonem — odezwał się albinos. — Ale czy znasz zakłęcie, które dałoby ci dość siły? Może i tak, lecz samo zakłęcie nie wystarczy. Musisz jeszcze wiedzieć, jak wystraszyć hrabiego Mashabaka. . .

Kula znów ożyła piskami i groźbami. . .

— . . . i wydaje ci się, że dokonasz tego z pomocą Zwiastuna Burzy. To jednak nie starczy, by zapanować nad Władcą Chaosu!

— Święta prawda, książę. — Ton Gaynora znów był spokojny i przypoehlebny. — Szczęśliwie mam coś więcej niż tylko twój miecz. Róża zna to zakłęcie, o które ci chodzi. . .

Róża podniosła głowę i splunęła na Gaynora, który roześmiał się radośnie.

— Ach, jakże przewrotni są kochankowi. Wystarczy byle co, a zaraz żałują, że wyjawili swe sekrety. . .

W tej chwili Elryk zrozumiał, skąd wzięło się w nim tyle sympatii do tej kobiety, ostatej z własnego narodu, i tyle zrozumienia brzemienia ciężącego jej tak.

— Daj mi miecz, książę Elryku. — Gaynor wyciągnął lewą rękę po zdobycz, podając równocześnie różane puzdro. W prawej trzymał wciąż gałązkę tarniny. — Nie masz nic do stracenia.

— Zastanawiam się tylko — mruknął Elryk — czy pozwolisz mi odejść potem wolno.

— Oczywiście. Czemu miałbym ci przeszkadzać czy robić krzywdę?

Elryk znał już jednak pełną odpowiedź. To jego kompani mieli ucierpieć, podobnie jak i cała kraina, a i to tylko na początek. Co będzie się działo, gdy Gaynor podporządkuje sobie Mashabaka, trudno wręcz przewidzieć. Ostatecznie nawet Elryk nie wiedział, jak dokładnie działają te miecze na Władców Chaosu, ale

wyraźnie jakiś wpływ mieć musiały. Zdradzone niegdyś przez Różę zakłęcie dotyczyło bez wątpienia właśnie sposobu wykorzystania owego wpływu.

— A może chcesz się na zawsze połączyć z ojcem, Elryku z Melniboné? — spytał Gaynor o wiele chłodniej, tonem bliskim groźby. — Gotów będę podzielić się z tobą moją nową władzą. Ostatecznie to twego miecza użyję, by poddać Mashabaka moim rozkazom. . .

Elryk czuł, że w głębi serca pragnie ugody z Gaynorem. Gdyby był prawdziwym Melnibonéaninem, nawet takim jak Sadryk, bez namysłów oddałby miecz w zamian za puzdro. Albinos jednak różnił się od pobratymców nie tylko krwią, ale i charakterem, znał bowiem lojalność wobec towarzyszy i nie zamierzał wydawać jednego nawet żywego stworzenia na łaskę i niełaskę Chaosu.

Tak zatem odmówił.

Co sprawiło, że Gaynor wybuchnął gniewem, w prawdziwej furii wściekłości wypominając Elrykowi, że jest zwykłym głupcem, który mógł przecież ocalić cokolwiek z tego świata, w tej sytuacji skazanego już nieodwołalnie na skutki złości Mashabaka. . .

. . . i darł się tak jeszcze, gdy nagle coś zajęczało, tynk osypał się ze ściany, runęły na podłogę świece i pochodnie, aż ostatecznie zajęczały jakieś ukryte wrota w kadłubie i nad głowami zgromadzonych pokazała się rysa. Gdy rysa nabrała już rozmiarów sporej dziury, pojawiła się nader szkaradna morda.

Był to Khorghakh, ropuch ze statku Gaynora. Niuchając, rozejrzał się po wnętrzu i w końcu dostrzegł Charion. Mruknąwszy z satysfakcji, zaczął złazić po rzeźbionej ścianie, Elryk tymczasem, korzystając z rozproszenia uwagi Gaynora, podbiegł doń paroma susami, wytrącił mu z ręki tarninową różdżkę i ostatecznie natarł na niego. Książę Przekłety gorączkowo sięgnął po własny miecz i spróbował trafić nim w głowę albinosa.

Wprawny jednak w prowadzeniu wojny psychologicznej Zwiastun Burzy zaatakował najpierw Gaynora falą gniewu, pasji i wściekłości tak dojmującej i bolesnej, że aż jęk wydobył się z hełmu nie znajdującego od tysięcy lat cierpienia księcia przeklętego. Podniósł ostatecznie miecz, by zasłonić się przed cięciem Elryka, ale zachwiał się na nogach.

Elryk cofnął runiczny oręż, by zaraz wymierzyć je w miejsce, gdzie zbroja Gaynora winna skrywać jego serce. Zatopił ostrze w stali pancerza. Książę Przekłety zawył z nagłego bólu, gdy niczym nadziana na szpikulec ostrzyga, machając rękami i nogami, uniesiony został w górę. Jego wrzaski mieszały się z łomotem czynionym przez uwięzionego Mashabaka, gdy wisiał tak bezradnie na czubku ostrza Zwiastuna Burzy. . .

— I jakież tu dla ciebie znaleźć piekło, by przyjęło twą nędzną istotę, racząc ją prawdziwą męką i karą? — spytał Elryk przez zaciśnięte zęby.

— Znam takie miejsce, Elryku — odparła spokojnie Róża. — Musisz tylko wezwać swego patrona. Wezwij Ariocho do tego wymiaru!

— Chyba oszalałaś, pani!

— Musisz mi teraz zaufać. Arioch będzie bardzo słaby, nie miał czasu, by dojść do siebie. Ale musisz z nim porozmawiać.

— A co niby nam z tego przyjdzie dobrego? Chcesz zwrócić mu jego więźnia?

— Wezwij go — nalegała. — Tak trzeba. Musisz wezwać go, Elryku. Tylko w ten sposób zdołamy przywrócić tu równowagę.

Tak zatem, trzymając wciąż Gaynora przed sobą niczym pająka na kiju, wykrzyczał imię swego patrona, istoty zdradliwej i skłonnej uczynić ze wszystkich swoich poddanych.

— Ariochu! Ariochu! Przybądź do swego sługi! Książę Ariochu, błagam cię!

Ropuch spelzł tymczasem na podłogę i z wyraźnie uradowaną mordą doczłapał do Charion, swej utraconej miłości, która bez oporów poklepała go po łapach i podrapała po łusce.

— Widzę, że zjawiliśmy się dokładnie w porę — rozległ się z góry piskliwy głos, a w otwartym luku pojawiła się głowa Wheldrake'a. Poeta był wyraźnie zadowolony z siebie. — A już się bałem, że się spóźnimy.

Charion wciąż gładziła z uśmiechem łeb rupuchy.

— Nic nam nie powiedziałaś, kochany, że idziesz ściągnąć pomoc!

— Czasem lepiej niczego nie obiecywać. Mam jednak jeszcze inne dobre wiadomości. — Spojrzał na drogę, którą ropucha dostała się na dół, i potrząsnął głową. — Dołączę do was niebawem, niech tylko znajdę jakiś dogodniejszy trap. — I zniknął.

— Ariochu! — krzyknął znów Elryk. — Przybądź, mój patronie! — Nie mógł jednak zaoferować dziś Władcy Chaosu ani krwi, ani dusz.

— Ariochu!

W kącie pomieszczenia pojawiło się nagle coś pokurczliwego i ruchomego jak kłęb dymu, co kilkoma spazmatycznymi manewrami przekształciło się jednak w postać przystojnego, chociaż niezbyt cielesnego, młodzieńca, który uśmiechnął się tak słodko, jakby właśnie pożarł całą barć miodu.

— Cóż takiego się dzieje, kochasiu? No, piesku, czemu mnie wzywasz?

— Masz teraz szansę dobić targu na własnych warunkach, Elryku — podpowiedziała mu Róża. — Co chciałbyś uzyskać od tego demona?

Spoglądając to na Ariocha, to na Gaynora, Elryk spostrzegł, że patron zastygł zdumiony na widok ekto plazmatycznej kuli i przyszpilonego Księcia Przeklętego.

— Jego rezygnację z praw do duszy mego ojca — odszepnął Elryk.

— No to poproś go o tę przysługę — popędziła go Róża. — Niech da spokój jego duszy!

— Nie zgodzi się — mruknął albinos, który czuł, że nawet mimo własnej energii miecza, brzemień Gaynora zaczyna mu już nieco ciążyć.

— Dalej, poproś.

Ostatecznie Elryk krzyknął przez ramię:

— Mój panie, mój patronie, czy zgodzisz się zrezygnować z praw do duszy mego ojca?

— Nie, bo i czemu niby? — spytał zdumiony Arioch. — Jest moja, podobnie jak i twoja dusza.

— Nigdy ich nie dostaniesz, jeśli uwolnię Mashabaka — odparł Elryk. — Dobrze o tym wiesz.

— Oddaj mi go — pisnął Arioch. — Oddaj mi mego więźnia, który prawnie mi się należy, którego sam opętałem potęgą mych okultystycznych umiejętności. Oddaj mi Mashabaka, a ja zrezygnuję z moich roszczeń.

— Mashabak nie do mnie należy, panie, bym ci go oddawał — powiedział Elryk, pojmując wreszcie, w czym rzecz. — Ale mogę sprezentować ci w zamian Gaynora.

— Nie! — wrzasnął Książę Przekłęty. — Nie zniósłbym takiej sromoty!

Arioch jednak uśmiechnął się radośnie.

— Och, kochasiu, brzydki nieśmiertelny zdrajco, i to byś zniósł i jeszcze wiele innych rzeczy poza tym. Poznałem ostatnio kilka nowych sposobów zadawania tortur, które najpewniej cię zaskoczą. Zapewniam cię jednak, że pomyślisz jeszcze o tych pierwszych dniach w moich rękach z nostalgią, jak o czasie błęgiego spokoju i szczęśliwości. Zajmę się tobą miast Mashabaka i uraczę cię wszystkim, co chowałem dla niego. . .

Po czym młodzieniec rzucił się na Gaynora, który daremnie głosem jak tur wzywał wszystkie świętości i błagał Elryka, by nie wydawał go w ręce tego zbrojnego.

— Nie można cię zabić, Gaynorze Przekłęty — powiedziała Róża z satysfakcją — ale ukarać owszem. Arioch zajmie się tobą, a gdy będziesz cierpiał, to pamiętaj, że jest to skutek zemsty, którą przysięgła ci Róża za zniszczenie raję, w którym żyła!

Elryk zrozumiał, że niewiele tak naprawdę zdarzyło się w ostatnich dniach za sprawą przypadku, że była to raczej sprawna realizacja planu, który Róża oparła na założeniu, iż Gaynor nadal będzie skłonny oszukiwać tak wszystkich swych towarzyszy jak i wrogów. I nie pomyliła się, docierając aż tutaj i wspierając trzy siostry w dziele obrony własnych ziem.

— Dalej, Gaynorze, w drogę! — Patrzyła, jak złocisty cień Ariocha obejmuje wyrwijącego się księcia. . . wchłania go z wolna, jak cofa się z powrotem do kąta i znika w stworzonym przez Elryka tunelu do innego wymiaru.

— Tak, Gaynorze, czeka cię nieustające pasmo wszystkich tych okropieństw, które, jak sądziłeś, znasz aż nazbyt dobrze. . . — mówiła Róża z wyraźną satysfakcją, zaś hrabia Mashabak aż pysk przycisnął do ektoplazmatycznej błony, by widzieć odejście objuczonego i jakby nawet poniekąd wdzięcznego Losowi za tę małą nagrodę rywała. . .

— Elryku, rezygnuję z prawa do duszy twego ojca. . .



— A co z Mashabakiem? — spytał Elryk, gdy dotarł doń ciężar odpowiedzialności, którą wzięli na swoje barki. — Co pocniemy z Mashabakiem?

Róża uśmiechnęła się łagodnie i mądrze.

— Mam pewien pomysł — powiedziała, odwracając się ku trzem siostram i coś do nich szepcząc. Kobiety wzięły swoje miecze i na czubku każdego umieściły po jednym wrzoścowym pierścieniu, aż nagle ostrza pojaśniały spokojnym blaskiem, energią samej natury skutecznie przeciwstawiającej się furii Chaosu. Potem podsunęły miecze pod ektoplazmatyczną kulę, aż wszystkie ostrza dotknęły czubkami membrany.

Hrabia Mashabak jęknął i mruknął coś złowróbnego w sobie tylko znanym języku, niemniej był wciąż bezsilny. Jako istota obdarzona dotąd praktycznie nieograniczoną władzą, wciąż przeżywał paraliżujący wszelkie działanie szok porażki. Nie wiedział ani jak błagać, ani jak targować się z dozorcami tego więzienia, będąc bardziej prostodusznym nie opanował nawet ulubionej przez Ariocha sztuki umizgów. Przywykł, że każde jego życzenie jest z miejsca realizowane i w pełni polegał na swej potężnej sile. Teraz też tylko krzyczał do nich, by go uwolnili, tymczasem miecze unosiły coraz wyżej więzienie tego prymitywnego bożka, którego zdolność komunikacji z innymi ograniczała się do gróźb.

Róża uśmiechnęła się, jakby oto wreszcie dane było jej ujrzeć wszystko, czego pragnęła od lat.

— Zaraz go poskromimy — mruknęła.

O ile przedtem Elryk z naganą patrzył na zuchwalstwo Gaynora, o tyle śmiałość Róży godna była podziwu.

— Cały czas dobrze wiedziałaś, jak zapanować nad Mashabakiem — powiedział. — Tak manipulowałaś zdarzeniami, abyśmy koniec końców wszyscy znaleźli się tu w tym samym czasie... — To ostatnie nie było oskarżeniem, ale prostym stwierdzeniem faktu.

— Wykorzystałam tylko te zdarzenia, które i tak miały mieć miejsce — odparła po prostu Róża. — Posplatałam co najwyżej te czy inne okoliczności towarzyszące. Nawet jednak w chwili, gdy Gaynor targował się o duszę twego ojca, wciąż jeszcze nie wiedziałam na pewno, co z tego wyniknie. Nadal zresztą nie wiem, co wyniknie. Zobacz!

Podeszła do stołu, gdzie Gaynor umieścił wykradzione skarby i wzięła do raki słodko pachnące różane puzderko. Z nim to w ręku zbliżyła się ku trzem siostram dźwigającym na mieczach ektoplazmatyczną kulę równie delikatnie, jakby była to bańka mydlana. Na ostrzach pulsowała teraz dziwna, bulgocząca energia, na każdym mieczu przybierająca inny kolor i postać. Na kości była dymną bielą, na granicy szarą, włóknistą masą, na złocie przypominała zaś świeżo ścięty żarnowiec. Wszystkie barwy mieszały się w górze, tworząc spiralę spowijającą kulę.

Idąc za przykładem Róży, siostry zaczęły śpiewać, zaprzęgając do pracy strumienie energii życiowej multiwersum i tkając z nich lśniąca blade i otaczającą je

z wolna sięć.

— Teraz ty, Elryku! — krzyknęła Róża, otwierając równocześnie puzderko. — Chodź tu z mieczem. Raz jeszcze musi nam posłużyć za przewodnik całej tej energii!

Albinos podszedł, a uczynił to krokiem zgodnym ze starym rytuałem, o którego istnieniu ni znaczeniu nie miał nawet dotąd pojęcia.

Uniósł protestujący z cicha Czarny Miecz i umieścił go dokładnie pośrodku pomiędzy pozostałymi trzema.

Róża podeszła ostrożnie, podsuwając otwarte pudełko dokładnie pod rękojęść runicznego miecza i krzyknęła:

— W górę! W górę, Elryku, dokładnie w samo serce demona...!

Albinos krzyknął gniewnie i skupił wszystkie siły na tym jednym pchnięciu, a pobłyskująca mrocznie nieświęta dusza Mashabaka spłynęła po drażącym ostrzu Zwiastuna Burzy prosto do różanego pudełka.

Elryk wiedział już, że dokonali dzięki Róży wszystkiego, co sobie zamierzili.

— Ale dusza mego ojca! — jęknął. — Teraz na zawsze zamknięta będzie z tym demonem! Już po niej!

— I już nad nim panujemy! — Róża aż zarumieniła się z radości. — Mamy Mashabaka. Żaden śmiertelnik nie jest w stanie go zniszczyć, ale został naszym więźniem. I tak zostanie już na zawsze! Jego samego zniszczyć bowiem nie możemy, ale jego duszę owszem. W ten sposób zmuszamy go do posłuszeństwa, a poprzez niego będziemy w stanie odrodzić te wszystkie światy, które zniszczył — powiedziała i przyknęła oczy.

— A jakim to cudem chcesz nad nim zapanować, skoro nawet Gaynorowi się to nie udało? — Elryk spojrział na demona, który z całym spokojem, ucihły już teraz i bierny, przyglądał im się ze swego więzienia.

— Bo mamy jego duszę, nie rozumiesz? Oto zemsta, która mnie satysfakcjonuje.

— Mało widowiskowy rodzaj zemsty. Niegodny dramatu — powiedział Whel-drake, wyłaniając się zza grzbietu rywalizującego z nim o względy Charion ropucha.

— Chciałam znaleźć ukojenie dla mego żalu — wyjaśniła Róża — a zarówno ja, jak i moje siostry, uważałyśmy zawsze, że destrukcja żal raczej podsyca, stąd i takie a nie inne rozwiązanie. Poza tym, wprawdzie tych dwóch i tak nie da się zniszczyć, niemniej można zaprząć ich do pożytecznej roboty. To jedyna forma zemsty, jaką potrafię zaakceptować.

Wpatrujący się z coraz większym przerażeniem w puzdro Elryk nie podzielał jej radości. Wydawało mu się, że przegrał wszystko w chwili, gdy był już o włos od sukcesu.

Róża uśmiechnęła się do niego i pogładziła delikatnie po twarzy. Odpowiedział na jej spojrzenie, jednak nie mógł wykrztusić ni słowa.

Siostry opuszczały miecze. Wyglądały na wyczerpane, ledwie schowały broń. Charion zostawiła wreszcie ropucha i Wheldrake'a i podeszła, by pomóc siostrze.

— I co my tu mamy? — Róża podniosła ze stołu spoczywający na pudełku z pierścieniami żywy kwiat i wręczyła go Elrykowi. Na płatkach mieniły się wciąż kropelki rosy.

— Dziękuję za pamiątkę, pani — powiedział cicho, nie mogąc jednak oderwać myśli od czekających go upiorności.

— Zabierz go dla swojego ojca — powiedziała. — Będzie oczekiwał cię w ruinach tego miasta, w którym twój lud zawarł niegdyś pakt z Chaosem.

Elryk nie potrafił w tej akurac chwili docenić jej poczucia humoru.

— Z ojcem rzeczywiście spotkam się pewnie już niedługo. — Westchnął głęboko i schował miecz. Przyszłość rysowała mu się w nader czarnych barwach. . .

Róża roześmiała się.

— Elryku! Dusza twego ojca nigdy nie spoczywała w tym puzdrze! W każdym razie nie była w nim nigdy uwięziona, tak jak dusza Mashabaka. Wrzoścowe pierścienie są tu zamkiem, bowiem skrzynka od początku została zaprojektowana w ten sposób, by można w niej było przetrzymywać duszę demona. Wieczna Róża by tego nie zniosła, jest zbyt delikatna, może pomieścić tylko duszę śmiertelnika, który kochał w życiu kogoś bardziej niż siebie samego. Kwiat chroni ją wówczas i w zamian jest przez nią nieustannie ożywiany. Ta róża istnieje dzięki duszy twego ojca. Ogrzewa ją to wszystko, co było w nim dobre. Zabierz ją dla ojca. Gdy już ją dostanie, będzie mógł dołączyć do twej matki, za którą tak tęskni. Arioch wyrzekł się praw do niego, a Mashabak jest obecnie bezsilny. Wykorzystamy zatem jego moc i zmusimy hrabiego Piekieł, by odrodził wszystko, co kochaliśmy. Zło obróci się w dobro, a przeszłość odmieni. Tylko tak śmiertelnicy mogą odmieniać swój los! Poprzez pozytywną zemstę, że tak powiem. A teraz weź ten kwiat.

— Zaniosę go ojcu, pani.

— A potem — powiedziała — możesz zabrać mnie ze sobą do Tanelorn.

Spojrzał w jej spokojne, lekko zamglone oczy i zawahał się przez chwilę.

— Będzie to dla mnie zaszczyt, pani.

— Ropuchu! Ropuchu! — rozdarł się nagle wielkim głosem Wheldrake, bowiem stworzenie poczłapało na masywnych kończynach ku drzwiom, dalej korytarzami i kajutami na zrujnowany pokład, gdzie kłębili szukając drogi na zewnątrz niedawni niewolnicy Chaosu. Poeta gonił cały czas za nim, wołając: — Zatrzymaj się, ropuchu miły! Rywalu kochany! Przez wzgląd na miłość naszą wspólną, przystańże, błagam!

Ropuch jednak przystanął dopiero przy wejściu na *Okręt Bywszy*, skąd obejrzał się na Wheldrake'a i Charion, która też puściła się w pogoń, i przez chwilę jakby na nich oczekiwał. Gdy byli już blisko, skoczył w blask dnia, lądując na plaży, gdzie całymi rzeszami, niczym rojne wszy, wolni teraz ludzie umykali na

ład, który nie był już pod władaniem tyranii. Tam ropuch przycupnął, znów oczekując...

... a obok pojawiła się nagle w rozkołysanej lektyce starsza pani Phatt poganiająca spoconych syna i wnuka do szybszego biegu. Ledwie jednak ujrzała wnuczkę i Wheldrake'a, zaraz wrzasnęła na potomków, by dla odmiany stanęli wreszcie.

— Radości moje, kochani, cudowni... Wesołku umiłowany! — Cisnęła podartą parasolkę, którą osłaniała swą starczą głowę, i wyszczerzyła się do Wheldrake'a. — Podporo moja, kowalu słów! Och, jakaż szczęśliwa będzie Charion! Jaka i ja byłabym szczęśliwa, gdybyście byli już w Putney! Postawcie mnie! Postawcie mnie, chłopcy! Jesteśmy na miejscu. Mówiłam wam, że nic nam nie grozi! Mówiłam, że ona ma w rękawie jeszcze jedną sztuczkę dla poratowania sytuacji! Koguciku mój grzebieniasty! Hulako rymów! Chodźcie ze mną. Poszukamy Krańca Czasu!

— Miejsce to dość konfundujące, jak pamiętam — stwierdził Wheldrake, ale i tak pławił się cały w aprobacie okazywanej mu przez starszą panią, która najwyraźniej już dawno uznała go za ukochanego członka rodziny.

— Mówiłem, że nie mogliśmy daleko odejść, ojcze! — stwierdził Koropith tonem tak triumfalnym, że aż Fallogard zgromił go spojrzeniem — Chociaż i ty, rzecz jasna, miałeś rację rozpoznając tę plażę.

Róża i trzy siostry też pojawiły się na brzegu, by przywitać przyjaciół, ale niosły ze sobą jedynie puzdro z duszą. Poddany metafizycznemu filetowaniu i zapuszkowaniu hrabia Piekiel miał pozostać we wraku, miejscu sposobnym do rozmyślań o kolejach losu, którego wyrokiem miał się niebawem oddać dziełu o wiele bardziej zbożnemu niż dotąd. W lewej ręce Róża niosła szarą wilczą skórę, którą Gaynor przywłaszczył sobie nie rozumiejąc, że jej porzucenie przez Esberna było miarą sukcesu tego dobrego człowieka.

— Co? — zdumiał się Wheldrake. — Czyżbyś uznała to futro za cenną zdobycz, pani?

Róża jednak łagodnie pokręciła głową.

— Niegdyś należała ona do mojej siostry. Tej jedynej, która prócz mnie ocalała przed Gaynozem...

W ten sposób Elryk poznał ostatni zapewne element wielkiej manipulacji, którą Róża zaaranżowała na skalę całego multiwersum.

Matka Phatt spojrzała na nią pytająco.

— Czujesz się usatysfakcjonowana, dziecko?

— Na ile to możliwe — przyznała Róża.

— Wielkiej potędze służysz — dodała starsza pani, złącząc z lektyki i powoli, ale z zadowoleniem kuśtykając przez żwir plaży. — Czy owa potęga nie jest przypadkiem zwana Równowagą?

Róża wzięła starszą panią pod ramię i pomogła jej usiąść na przewróconym wiadrze.

— Powiedzmy, że jestem po prostu bezkompromisowym przeciwnikiem wszelkich tyranii, niezależnie czy opierają się one na Ładzie, Chaosie, czy na jakiegokolwiek innej sile. . .

— A zatem służyć musisz najpewniej Losowi — powiedziała pewnym głosem matka Phatt. — Dokonałeś bowiem naprawdę wielkiego dzieła, dziecko. Na nowo ukształtowałaś realia multiwersum. Naprawiłaś to, co tak nas martwiło. Czy możemy już ruszać w dalszą drogę?

— A dokąd się wybieracie, matko Phatt? — spytał Elryk. — Gdzie chcecie szukać spokojnej przystani?

— Przyszły mąż mej bratanicy przekonał nas do uroków zacisznego zakątka zwanego „Putney” — powiedział Fallogard, niezbyt jednak pewnym tonem. — Zatem poszukamy Putney wraz z nim. Powiedział ponadto, że zostawił tam nie dokończoną, dwutomową opowieść epicką tycząca jakiegoś miejscowego bohatera, zatem na początek i tak musi zajrzeć właśnie tam. Ostatecznie jesteśmy teraz jedną rodziną i nie zamierzamy ponownie się rozdzielać.

— I ja idę z nimi — powiedział Koropith, chwytając dłoń Róży i całując ją z zakłopotaniem. — Weźmiemy statek Gaynora i ropucha i raz jeszcze przepłyniemy przez Ciężkie Morze. Stamtąd wrócimy po śladach poprzez wymiary, a w końcu trafimy najpewniej nieuchronnie i do Putney.

— Życzę wam bezpiecznej i niedługiej podróży — powiedziała Róża i też ucałowała jego dłoń. — Będzie mi ciebie brakować, panie Phatt. Wspaniale znajdujesz ślady w multiwersum. Rasowy ogar mentalny!

*Z fatalnej plaży książę Elryk zmykał,  
Wszakoż nadzieja wielka serce mu rozpiera,  
Bo w jego dłoni róży kwiat zakwitał,  
A to oznacza skarb, co nie umiera. . .*

— zaintonował rudowłosy poeta, po czym wrzucił ramionami tytułem przeprosin.

— Nie byłem dziś gotów na nijakie epilogi. Szykowałem się raczej na szlachetny koniec. Dalej, ropuchu! Chodź, Charion! Chodź, cała rodzino! Pożeglujemy przez Ciężkie Morze! Do dalekiego Putney i błogosławionego ciepła ogniska domowego!

Żegnając się z nimi, Książę Ruin też przez chwilę zatęsknił jakby za życiem o wiele mniej urozmaiconym, takim, jakie toczyć się może w prowincjonalnym miasteczku.

Po czym odwrócił się do Róży, wciąż tajemniczej Władczyni Przeznaczenia, i skłonił głowę.

— Proszę ze mną, pani. Musimy jeszcze wezwać smoka i mamy przed sobą szmat drogi! Mój ojciec bez wątpienia nie na żarty niepokoi się stanem swej skołatanej duszy.

# EPILOG

## W którym Księżę Ruin dopełnia przyrzeczenia.

Smoczyca Bliznopyska podniosła wspaniały łeb do pełnego, wrześniowego księżyca, wciągnęła wiatr w nozdrza i uderzywszy raz a mocno skrzydłami, wleciała w mrok nocy, z której wynurzył się duch Sadryka.

Elryk włożył żywą różę w bladą dłoń ojca. Na jego oczach płatki zwiędły, i nie ożywiany dłużej przez skrytą w nim siłę kwiat obumarł. Sadryk zaś westchnął głęboko.

— Nie potrafię już dłużej żywić do cię nienawiści, synu — powiedział. — Dostałem dziś od ciebie o wiele więcej, niż miałem nadzieję otrzymać.

Po czym ojciec ucałował syna w policzek i okazało się, że jego wargi stały się nagle gorące. Nigdy za życia nie okazał Elrykowi tyle serdeczności. — Będę oczekiwać na ciebie, mój synu, tam gdzie czeka teraz na mnie twoja matka, w Puszczy Dusz.

Albinos patrzył, jak duch znika niczym szept na wietrze, aż podniósłszy głowę zauważył, że wstrzymany dotąd w biegu pośród ruin czas ruszył na nowo kształtując krwawą historię Melniboné, z całym jej tysiącletnim okrucieństwem bezlitosnych podbojów. Wszystko zaczynało się raz jeszcze.

Przez krótką chwilę kusiło Elryka, by spróbować zmienić dzieje Świetlistego Imperium, uczynić jego mieszkańców łagodniejszymi i szlachetnymi istotami, ale ostatecznie potrząsnął tylko głową i odwrócił się plecami do H'hui'shan, do swej przeszłości i wszelkich spekulacji, co by było gdyby. Potem zasiadł w naturalnym wgłębieniu na smoczym grzbiecie i z nową nadzieją w głosie zawołał do swego wierzchowca, by wlatywał w przestworza.

Rozganiając skrzydłami chmury, smoczyca wzniosła się z nim w rozgwieżdżoną melnibonéańską noc podążając tam, gdzie na umówionym rozstaju dróg na krańcu Czasu czekała na Elryka Róża.

Obiecał jej bowiem, że pierwszy raz widząc Tanelorn, ujrzy go z grzbietu smoka.